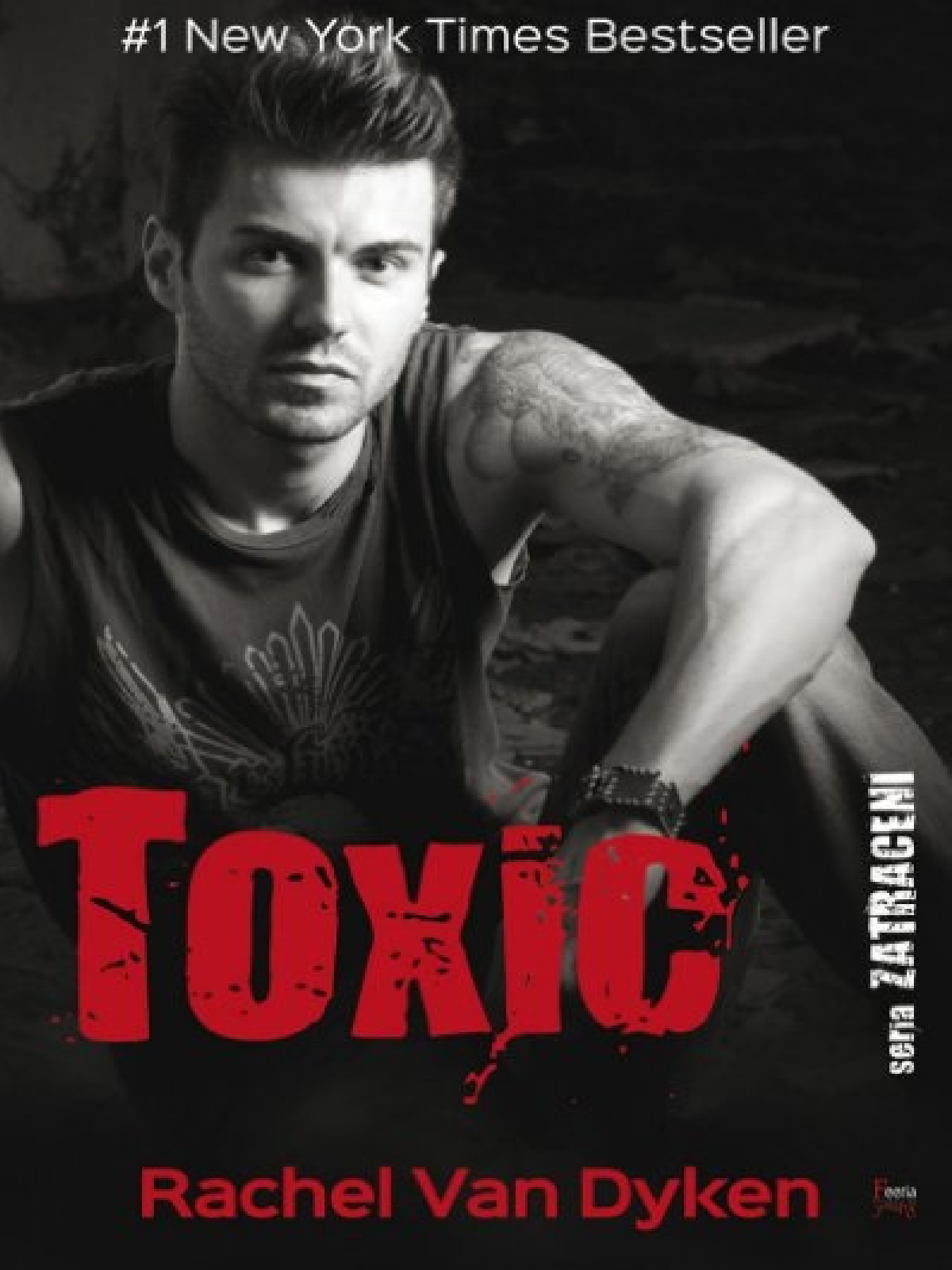


#1 New York Times Bestseller



TOXIC

seria ZATRACENI

Rachel Van Dyken



Toxic

Rachel Van Dyken

Przekład:
Anna Dobrzańska

Feeria
young

Prolog

Koniec semestru
wiosennego

Poszedłbym za nią wszędzie.

Zabawne, prawda? Ludzie utrzymują, że wiedzą, czym jest miłość, a jednak kiedy mają szansę to udowodnić, wycofują się i tchórzą.

Szkoda, że nie mogłem się wycofać. Szkoda, że nie mogłem odejść cztery lata temu. Może dzięki temu miałbym siłę, żeby odejść teraz. Spojrzeć jej w oczy i powiedzieć: „Przepraszam, ale kolejny raz tego nie zrobię”.

Ludzie rzadko myślą to, co mówią. Dla mnie „przepraszam” to tylko kolejne słowo, którego nadużywają – podobnie jak „kocham”.

„Kocham lody”, „kocham naleśniki”, „kocham kolor niebieski” – gówno prawda. Bo kiedy ja mówiłem „kocham”, to znaczyło, że wykrwawiałem się dla ciebie. Kiedy wypowiadam słowo „miłość”, powołuję je do życia. Uskrzydlałam swoją duszę – łączę się z twoją.

Odkąd pamiętam, słyszałem o rozdrożach, o tym, jak ludzie dostają w życiu szansę i dokonują wyborów, które

przesądzają o ich przyszłości. Do głowy by mi nie przyszło, że dostanę drugą szansę, a jeśli już, to że jej nie wykorzystam.

Jej oczy patrzyły na mnie błagalnie. Serce waliło mi jak młotem. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć – cokolwiek, byleby tylko zrozumiała głębię tego, co czuję, ale wiedziałem, że z chwilą, gdy opowiem jej o swoich uczuciach, wszystko się skończy.

Moje serce, moja dusza – nie przeżyłbym, gdyby coś jej się stało. Gdyby nie była częścią mojego świata, moje serce przestałoby bić. Wiedziałem, że to ją zabija, bo mnie również to dobijało.

Ale powrót do tamtego życia.

Nawet dla niej.

Był wykluczony.

Zakochiwanie się i wyskakiwanie, ze świadomością, że mnie złapie. To było niemożliwe. Ponieważ wszyscy wiedzą, że gdy w grę wchodzi miłość, nie spadanie boli najbardziej... ale lądowanie. A ja wiedziałem, że prędzej czy później machnie na mnie ręką i pozwoli mi się potłuc.

Bo tak naprawdę tym właśnie byłem – potłuczoną skorupą. Wydmuszką człowieka.

– Nie rozumiem! – Okładała pięściami moją klatkę piersiową. – Obiecałeś! Obiecałeś, że nigdy mnie nie zostawisz! – Łzy spływały jej po twarzy, twarzy, którą kiedyś tak bardzo kochałem.

Zamknąłem oczy i obejrzałem się na Saylor, która

ściskała w dłoni kluczyki, czekając na moją decyzję.

Tak, byłem na rozdrożu. Jedna droga prowadziła do mojej przyszłości, druga do przeszłości i całkowitej samozagłady.

Nie mogłem na nią patrzeć. Wyciągnąłem rękę, ignorując własne uczucia i rozkoszując się bólem serca, które rozpadało się na milion małych kawałków.

– Masz rację – przyznałem. – Obiecałem.

– Gabe! – krzyknęła stojąca z tyłu Saylor. – Nie musi tak być.

– Nie rozumiesz – odparłem ze spokojem, nie odwracając się za siebie. – Zawsze tak było i zawsze będzie. Ostrzegałem cię.

– Ale...

– Dość tego! – ryknąłem w obawie, że lada chwila sam się rozpłaczę. – Powiedziałem, dość. Powinnaś już iść.

Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi.

– To nic! – zapewniła, ujmując w dłonie moją twarz. – W końcu wszystko się ułoży!

– Będzie dobrze, Księżniczko. – Słowa więzły mi w gardle. – Będzie dobrze. – Opatuliłem jej szyję różowym szalikiem i otoczyłem ją ramieniem.

– Dzięki – powiedziała radośnie. – Obiecywałeś, że się mną zaopiekujesz. Nie możesz odejść, nie możesz tak po prostu...

– Nie odejdę – przyrzekłem, bo przecież to ja ponosiłem odpowiedzialność za to, co się wydarzyło.

Tak jak za całą resztę.

– Możemy teraz w coś pograć, Gabe?

– Tak, skarbie, możemy. – Poprawiłem koc, którym okryte były jej nogi, i wyjechałem wózkiem z pokoju z pełną świadomością, że z każdym kolejnym krokiem podążam coraz dalej niewłaściwą ścieżką.

Rozdział 1

*Wydawałoby się, że najgorsze już
minęło. Teraz, na miłość boską,
chcę tylko znaleźć swój kąt. – Gabe
H.*

Połowa semestru
wiosennego

Gabe

– Skup się, Kiersten. – Pstryknąłem jej palcami przed twarzą. – Stadia mitozy. No już.

Cały rano siedzieliśmy w miejscowym Starbucksie. Zapach mielonej kawy zaczął przyprawiać mnie o mdłości, ale mogłem winić za to wyłącznie siebie. Najwyraźniej nowe życie pachnie jak świeżo mielona kawa. A ja właśnie zaczynałem wszystko od nowa.

Kiersten zerknęła do książki. Widząc to, odsunąłem podręcznik i czekałem cierpliwie z rękami splecionymi na stole.

Otworzyła usta, jakby zamierzała odpowiedzieć, ale

zamiast tego spojrzała na mnie tępym wzrokiem i jęknęła:

– G-a-a-a-be. – Uśmiechnęła się i dodała: – Może zrobimy sobie przerwę na kawę? Proszę...

– Nie wydymaj warg.

Posłuchała.

– Kiersten... – rzuciłem ostrzegawczo.

– Proszę! – Chwyliła mnie za rękę i jeszcze bardziej się nadała.

Poddałem się z ciężkim westchnieniem, żeby pokazać, że nie podoba mi się to, że zawsze stawia na swoim, choć przecież tak właśnie wyglądała nasza przyjaźń. Ona mówiła „skacz”, a ja pytałem, jak wysoko i jak daleko mam skakać, no i jak szybko mam wykonać polecenie.

– Zgoda, zrobimy sobie przerwę na kawę.

– Tak! – Zatrzasnęła książkę. – Teraz ja stawiam.

Jej absurdalnie słodki uśmiech wprowadził mnie w wesoły nastrój. Do diabła, ta dziewczyna wiedziała, jak mnie rozśmieszyć, a w tym momencie swojego życia jak nigdy potrzebowałem śmiechu. Poza tym byłem pewny, że gdybym się nie śmiał, szlochałbym jak dziecko, a ostatnią rzeczą, jakiej było mi trzeba, to pokazać światu, że ja też mam uczucia.

Cholera, nawet ja wolałem o tym zapomnieć.

– Nie. – Machnąłem ręką, ale i tak musiałem ją przytrzymać, żeby nie pobiegła do bufetu. – Teraz moja kolej. Poza tym Wes by mnie zabił, gdyby się

dowiedział, że kazałem ci płacić za swoją kawę.

– Za bardzo mnie rozpieszczacie. – Odchyliła się na krześle i splotła ramiona. – Kiedyś będziecie musieli pozwolić mi działać na własną rękę, Gabe. Obaj, ty i Wilk – dodała, używając przezwiska Wesa. – Nie mogę wiecznie żyć pod kloszem. – Ziewnęła, przeciągnęła się i przypadkiem uderzyła rękę o ścianę.

– Biedna mała Owieczka – zwróciłem się do niej tak, jak robił to Wes. – Zrobiła sobie kuku?

– Zamknij się.

– Przyniosę ci kawę.

Zmrużyła oczy.

– Byle szybciej, Żółwiku.

Gdyby była facetem, pokazałbym jej środkowy palec, ale że była dziewczyną, parsknąłem śmiechem i poszedłem po kawę.

Nabijałem się z Owieczki i Wilka (ksywek, które Kiersten i Wes wymyślili dla siebie), aż w końcu sam doczekałem się przezwiska – dzięki mojej głupiotkiej kuzynce Lisie, która opowiedziała im historyjkę o tym, jak to płakałem w dzieciństwie po śmierci ukochanego żółwia.

Ale, niech to, ten żółw był istnym twardzielem! Kiedy umarł, urządziłem mu prawdziwy pogrzeb – i ryczałem jak bóbr.

Taka chwila słabości.

– To co zwykle? – zawołałem.

Kiersten złożyła ręce jak do modlitwy.

– Poproszę! – krzyknęła.

Uśmiechnięty rozejrzałem się dookoła i ustawiłem w kolejce. Starłem się zachowywać swobodnie i sprawiać wrażenie zwykłego, spokojnego gościa. Ha! Zabawne, jak ćwiczyłem bycie normalnym.

Spojrzałem w lustro i nakazałem sobie w duchu rozluźnienie ust, ramion i mięśni. Ze względu na to całe szaleństwo, które trwało od kilku lat, musiałem stworzyć sobie całkiem nowy wizerunek – w końcu ludzie rozpoznawali mnie nawet po sposobie chodzenia. I Bóg wie po czym jeszcze. W każdym razie byłem pieprzonym mistrzem kamuflażu. Nie tylko moje życie od tego zależało – jej także.

Może to przez zbliżający się koniec studiów, ale odkąd zaczął się ostatni semestr, byłem cały czas podminowany. Zachowywałem się jak jakiś żaloszny dupek, który siedzi przed domem i czeka, aż złapie go deszcz. Nie miałem powodu się w ten sposób czuć, ale tak było. I prawdę mówiąc, trochę mnie to przerażało. Miałem tylko nadzieję, że to efekt uboczny tego, że przestałem sypiać ze wszystkimi dziewczynami w kampusie. Może tak działa na facetów brak seksu? Sprawia, że robią się cholernie nerwowi i zachowują się jak paranoicy.

– Co podać? – spytała baristka chłodnym, beznamiętnym tonem.

Pochyliłem się do przodu i uśmiechnąłem.

– To zależy, co masz do zaoferowania.

– Cholera! – Pstryknęła palcami. – Zgubiłeś się? Sex shop jest niedaleko stąd. – Puściła do mnie oko, nachyliła się w moją stronę i szepnęła: – My tu sprzedajemy kawę.

– Jakie to... – oblizałem wolno usta, z łątwością wracając do starych przyzwyczajęń – żenujące. – Serce waliło mi jak oszalałe, gdy głodnym wzrokiem pożerałem jej drobne ciało, ledwie ukryte pod zielonym fartuszkim. To była moja gra, jedyne, na co mogłem sobie pozwolić. Jedyne, co sprawiało, że zapomniałem o przeszłości – o wszystkim. I wcale nie trzeba mi z tego powodu współczuć. Uwielbiałem to, uwielbiałem każdą minutę tej gry, bo każda taka minuta dawała mi wytchnienie od tego, co się wydarzyło.

Przeszłość, przeszłość, przeszłość. No tak, oto i on, powód, dla którego trzymałem swój interes w spodniach. Obietnica, którą złożyłem Wesowi i – co gorsza – samemu sobie. Ona nie chciałyby, żebym się tak zachowywał. Byłem rozdarty między poczuciem winy związanym z tym, co robiłem, i ulgą, że istnieje cokolwiek, co odsuwa ode mnie smutek.

– Bywa – rzuciła z zapartym tchem, wbijając wzrok w moje ciało.

Znałem takie spojrzenia. Byłem do nich przyzwyczajony. Żyłem dla nich. I dzięki nim udało mi się przetrwać.

Chwilę później odgarnęła włosy.

Woń perfum uderzyła mnie prosto w twarz,

skutecznie tłumiąc pożądanie.

Cholera. To były te same perfumy.

Zadrzałem i zmusiłem się do uśmiechu.

– No cóż, w takim razie poproszę dwie duże karmelowe latte z potrójnym espresso i porcją bitej śmietany na jednej z nich.

– Och. – Dziewczyna oblała się rumieńcem i wbiła zamówienie. – To wszystko? – Mówiąc to, pokręciła głową.

Jej głos pełen był żalosnej nadziei.

Ja jednak podjąłem już decyzję.

A może najpierw podjęło ją ciało, a dopiero później umysł. Tak czy siak chciało mi się rzygać, wybiec na zewnątrz i nie zatrzymywać się, aż znajdę się w pokoju muzycznym albo wsiądę na swojego harleya.

– Tak. – Zacisnąłem palce na ostrych krawędziach karty kredytowej – To wszystko.

Dziewczyna przyłożyła kartę do czytnika i oddała mi ją, mrużąc pod nosem: „duppek”. Stałem z boku, żeby upewnić się, że nie napluje nam do kawy.

Kilka minut później wróciłem do stolika.

– A więc... – Kiersten upiła łyk kawy. – Jak leci?

Przewróciłem oczami.

– Możemy tego nie robić?

– Nie robić czego? – Z miną niewiniątka wzruszyła ramionami.

– Możesz nie pytać mnie, jak się czuję, z nadzieją, że pękne, zacznę płakać i zdradzę ci swoje małe... –

pochyliłem się w jej stronę – sprośne... – nachyliłem się jeszcze bardziej – sekrety.

– Twoje maślane oczy nie robią na mnie wrażenia – rzuciła znudzonym głosem.

Zbyłem tę uwagę bezradnym wzruszeniem ramion i napiłem się kawy.

– Warto było spróbować.

– Naprawdę? – spytała Kiersten. – Wes by cię zabił.

– Wes brzydzi się przemocą – broniłem się.

– Wcale nie. – Roześmiała się i zerknęła w stronę drzwi. – Boże... to ona?

– Jaka „ona”?

Kiersten wiedziała, że jestem kiepski w zapamiętywaniu imion. Rzadko rozpoznawałem dziewczyny, z którymi sypiałem. Zaczynałem je kojarzyć dopiero, gdy podchodziły do mnie z bluzką nad głową. No dobrze, może nie było aż tak źle, ale dobrze też nie. Przysięgam, że rozpoznawanie ludzi przychodziło mi najłatwiej właśnie w takich okolicznościach.

– Raylynn – Kiersten zniżyła głos. – To ona!

– Nie wołaj jej do stolika – mruknąłem pod nosem. Ta dziwka była wariatką. Przespałem się z nią raz. Tylko raz! A ona łąziła za mną krok w krok przez trzy miesiące!

Kiersten naprawdę ją lubiła i uważała, że jest ładna. Moje zdanie się tu nie liczyło. Wiedziałem, że Kiersten byłaby szczęśliwa, gdybym w końcu się ustatkował

i przestał sypiać z kim popadnie. Tak przynajmniej twierdziła, gdy co kilka dni nachodziła ją dziwna potrzeba, żeby mi matkować. Nie miała pojęcia, że minęły miesiące, które ciągnęły się jak lata, dziesiątki lat... Do diabła. Kogo ja oszukiwałem? Miałem wrażenie, że to trwa całą wieczność.

– No i proszę, zobaczyła mnie! – pisnęła radośnie Kiersten.

– Może dlatego, że do niej pomachałaś?

– Przeciągałam się.

– Machałaś.

– Raylynn! – Radosny głos Kiersten brzmiał tak, jakby w poprzednim wcieleniu była cheerleaderką. – Jak leci?

– Dobrze.

Teraz już wszyscy patrzyli na mnie.

Utkwiłem wzrok w kawie. Kiersten kopnęła mnie pod stołem. Zakląłem w duchu, spojrzałem na nią i rzuciłem:

– Joł.

– Joł? – powtórzyła bezgłośnie Kiersten.

– No, cześć. – Raylynn się zaczerwieniła.

Niech to szlag.

Jej blada skóra i wyjątkowo jasne włosy nie pomagały ukryć zakłopotania.

– Co słyhać? – spróbowałem jeszcze raz.

– Jestem ostatnio dość zajęta. – Odchrząknęła. Zerknęła to na mnie, to na kawę, jakby miała nadzieję, że

zaproszę ją do stolika albo, co gorsza, poproszę o kolejne spotkanie.

Martwa cisza. Znów. Nagle zrozumiałem, czym dokładnie jest wymowna pauza.

– Cóż... – zaczęła Kiersten i znów kopnęła mnie pod stołem. – Miło było cię spotkać!

– Was też. – Raylynn spojrzała na mnie po raz ostatni, przygarbiła się i odeszła.

– Ty dupku! – Tym razem stopa Kiersten trafiła mnie w piszczel. – Joł? Czy ty naprawdę powiedziałeś „joł”? Nikt, kto jest tak biały jak ty, nie powinien używać tego słowa. Nigdy. Nawet gdybyś został porwany i żeby odzyskać wolność, musiałbyś wybierać między powiedzeniem „joł” a odgryzieniem sobie ręki, ani mi się waży mówić „joł”. Już raczej odgryź sobie rękę.

– Kto powiedział „joł”? – Męski głos przerwał monolog Kiersten.

– Ach, Wilczek – rzuciłem zadowolony, że nie będę już sam z przeszywającym wzrokiem Kiersten i jej trudnymi pytaniami.

– Żółwik – odparł w zemście Wes.

– Gabe powiedział „joł”.

– Na głos? – Wes prawie krzyknął. – Chce, żeby spuścili mu łomot?

Ukryłem twarz w dłoniach i jęcząc, czekałem, aż przestaną mówić o mnie, jakby mnie tam nie było.

Zawsze tak robili. Kiersten mówiła coś w stylu: „Martwię się o Gabe’a”, na co Wes odpowiadał: „A co,

przestał jeść?”. Wówczas podnosiłem rękę i stwierdzałem: „Nic mu nie jest, pół godziny temu zjadł burrito”.

– Ludzie! – warknąłem i opuściłem ręce na blat. – Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Powiedziałem „jo!”, bo jestem gangsterem. Pogódźcie się z tym.

Gapili się na mnie, jakbym właśnie oświadczył, że zamierzam wstąpić do zakonu.

– Doszły mnie dziś rano pewne słuchy. – Wes sięgnął po kawę Kiersten, upił duży łyk i odchylił się na krzesło.

Gdybym nie był jego najlepszym przyjacielem, nienawidziłbym go. Był uosobieniem amerykańskiej gwiazdy futbolu. Grał na pozycji rozgrywającego, miał jasne włosy, niebieskie oczy, był zabójczo przystojny i wyluzowany. Tak, na pewno bym go nienawidził.

– Czyżby? – Zmrużyłem oczy. – Powiedz, plotkarzu, co takiego usłyszałeś? – Mówiąc to, upiłem solidny łyk kawy.

– Seksualna posucha.

Wyplułem kawę na stół i mało się nie zakrztusiłem. Przekłęta Lisa, przekłęta rodzina, przekłęta kuzyneczka.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jasne. – Wes oblizał wargi, ale nie ciągnął tematu. Pochylił się, pocałował Kiersten w czubek głowy i szczelnie opatulił jej szyję jedwabnym szalikiem.

Ten zwyczajny gest prawie rozłożył mnie na łopatki.

Sposób, w jaki otulił ją szalem, przyprawił mnie o myśli samobójcze. Gdyby tylko ludzie wiedzieli,

gdybym mógł zaufać im na tyle, żeby wszystko im opowiedzieć, wyznać, że w głębi duszy czuję się wrakiem człowieka...

Ale nie. Musiałem dalej odgrywać swoją rolę. Byłem Gabe'em. Nigdy więcej nie będę tamtym człowiekiem, nigdy więcej nie będę człowiekiem, którym byłem w przeszłości.

Kiersten roześmiała się i pocałowała Wesa w czubek nosa.

Tego było już za wiele. Nagle poczułem, że mam wszystkiego dość i coś do mnie dotarło. Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę sytuacja przerosła mnie już cztery lata temu – mój czas dobiegał końca. Nadciągały burzowe chmury.

– Słuchajcie, muszę lecieć.

– Jasne – rzuciła Kiersten, nie odrywając wzroku od Wesa. – Widzimy się na wtorkowym tacy?

– Tak. – Nie odwróciłem się. Nie pomachałem na pożegnanie. Chwyciłem koszulę i wybiegłem na zewnątrz, jakby goniło mnie stado piekielnych ogarów.

Bo po raz pierwszy od czterech lat czułem, że bomba zegarowa wybuchnie, i nie miałem pojęcia, jak sobie z tym poradzę.

Dźwięk nadchodzącej wiadomości wyrwał mnie z zamyślenia.

Nadeszła z Puget Sound. *Ona cię potrzebuje. Możesz zadzwonić i zaśpiewać? Albo wysłać jej wiadomość multimedialną?*

Bomba... wciąż tykała.

Dobra. Zadzwońię za chwilę – odpisałem.

Rozdział 2

*Ludzie idą przez życie,
usprawiedliwiając każdą cholerną
decyzję... Będą walczyć w każdej
niesłusznej sprawie, aż w końcu ta
jedna, słuszna spojrzy im prosto
w oczy. To wtedy zaczynają liczyć
się wybory. Człowiek jest bowiem
niewolnikiem własnych
przyzwyczajzeń. Może chcieć podjąć
dobrą decyzję, ale koniec końców
wybierze źle – tylko dlatego, że jest
do tego przyzwyczajony. To
tragiczne, ale czy życie samo
w sobie nie jest tragiczne? – Wes
M.*

Gabe

- Seksualna posucha naprawdę daje ci się we znaki, co?
- Lisa dotknęła mojego czoła.

Zgromiłem ją wzrokiem i odepchnąłem jej rękę.

– Nazywanie tego posuchą nie jest na miejscu, skoro to mój wybór – mruknąłem. – A tak przy okazji, dzięki, że powiedziałaś Wesowi.

Wybiegłszy ze Starbucksa, poszedłem prosto do akademika, w którym mieszkała Lisa, z zamiarem wygarnięcia jej wszystkiego. Wystarczyło jednak, że otworzywszy drzwi, uśmiechnęła się do mnie – ten uśmiech niósł zapewnienie o jej dozgonnym oddaniu i zrozumieniu.

Tak naprawdę nie była niczemu winna, nie mogłem się na niej wyżywać.

Patrzyłem na nią kilka dni po tym, kiedy wszystko do mnie dotarło. Uświadomiłem sobie, na czym opierała się nasza relacja. To była szczególna koegzystencja. Ja daję ci swój ból, a ty dajesz mi swój. Miałem tego dość. Nie mogłem znieść myśli, że była częścią tego wszystkiego, a jednocześnie wciąż byłem zszokowany tym, że pierwszy raz od czterech lat wreszcie miałem na tyle odwagi, żeby ją od tego odsunąć. Nie zasługiwała na to, by żyć w mroku.

W przeciwieństwie do mnie.

– Marudo. – Klapnęła na kanapę i zmierzwiła mi włosy. – Musisz częściej wychodzić.

– Mam pytanie. – Wyłączyłem dźwięk w telewizorze i odsunąłem ją od siebie. – Czy to przypadkiem nie ty powiedziałaś mi kilka tygodni temu, że albo umrę samotny, albo wykończy mnie jakaś choroba weneryczna?

Niebieskie oczy Lisy błysnęły z rozbawieniem, kiedy chwyciła pilota i z powrotem włączyła dźwięk.

– Nie dramatyzuj. Powiedziałam, że umrzesz

w samotności na chorobę weneryczną. – Odgarnęła czarne, kręcone włosy i roześmiała się.

– Jasne. Wielka mi różnica. Dzięki za pocieszenie. Kuzynka roku – mruknąłem i rozsiadłem się na kanapie. Już-już odpływałem, gdy dostałem w twarz poduszką.

Klnąc pod nosem, zerwałem się na równe nogi.

Wes wyciągnął w moją stronę poduszkę i przechylił głowę.

– Kiepski poranek? Wybrałbyś się dokądś mimo wszystko?

– Stary – wychrypiałem i pokręciłem głową. Tylko nie on. Czułem, że zaczynam pękać.

Drzwi do pokoju otworzyły się i w progu stanęła wykończona Kiersten. Pot łał się z niej strumieniami, więc domyśliłem się, że po porannej porcji zakuwania Wes wziął ją ze sobą na trening. Przysięgam, tych dwoje robiło wszystko razem. Odkąd się zaręczyli, byli praktycznie nierozłączni, w zasadzie mieszkali razem. Nie przeszkadzało mi to (no, może nie przeszkadzało mi to tak bardzo), ale ich publiczne okazywanie sobie uczuć momentami było naprawdę męczące. Na przykład dziś rano w Starbucksie – gdybym nie wyszedł wcześniej, musiałbym patrzeć, jak Wes dosłownie pożera Kiersten.

– Wyglądasz, jakby ktoś ci umarł – zażartowała Kiersten, stając obok Wesa i opierając się o niego.

A niech to. Idealna para. Będą mieli piękne dzieci. Cholera, kompletnie mi odbija. Czy naprawdę

wyobrażałem sobie ich potomstwo? I rozczulałem się nad nim? No pięknie, najwyraźniej mam coś w oku. Pieprzoną łzę. Muszę stąd spadać.

– Ha! – Zmrużyłem oczy. – Jeszcze na to za wcześnie.

– Koniec dowcipów o śmierci. – Wes roześmiał się, objął Kiersten i przywarł do jej ust z taką siłą, że ja, Gabe Hyde, zbereźnik roku, poczułem, że się czerwienię.

– Ludzie, nie przy jedzeniu. – Wskazałem leżące na stole owoce. – To upiorne.

– Obściskiwanie się przy bananach? – Wes wypuścił Kiersten z objęć. – Poważnie, stary? I kto to mówi? Naprawdę, Gabe, co się z tobą dzieje?

W pokoju zapadła cisza. Cudownie. Po prostu pięknie. Machnąłem ręką i spróbowałem się uśmiechnąć.

– Sami wiecie, moja świrnięta kuzynka twierdzi, że nastał czas posuchy.

– No tak. – Wes pstryknął palcami. – Prawie o tym zapomniałem.

– Powtarzam po raz ostatni! – Podniosłem głos. – To nie posucha, to mój własny wybór! – Rzadko krzyczałem. Wszyscy patrzyli na mnie, jakbym postradał zmysły. Byłem kochankiem, nie wojownikiem. Zdzirowatym flirciarzem, który dymał wszystko, co się ruszało. Kolesiem, który potrafił kompletnie zawrócić w głowie sędzinie federalnej. Krzyk? Wściekłość? Taa... Zagryzłem wargę i wbiłem wzrok w podłogę. *Tik-tak, tik-tak.* Naprawdę zaczynało mi odbijać.

– No tak – powtórzył Wes. – Wiesz, Gabe, mógłbyś wpaść do mnie na chwilę? Chciałbym, żebyś mi w czymś pomógł.

– Jasne – odparłem, patrząc to na niego, to na Kiersten, która udawała, że nie zauważyła napięcia między nami.

– Do zobaczenia na obiedzie, Wes. – Pocałowała go w policzek i zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

– Zabezpieczcie się! – zawołała Lisa, kiedy obaj z Wesem wychodziliśmy na korytarz.

– Cholernie zabawne! – rzuciłem, próbując zagłuszyć jej śmiech.

Szliśmy w milczeniu do pokoju Wesa. Dziwne, ale czułem się jak dzieciak, który ma wysłuchać kazania ojca. Zacząłem się pocić. Co jest, do cholery!?

Wsiadliśmy do windy i bez słowa wjechaliśmy na szóste piętro. Poszedłem za Wesem w głąb korytarza i w końcu stanęliśmy pod drzwiami pokoju.

Choć na początku ubiegłego roku Wes zmagał się z chorobą nowotworową, władze uniwersytetu pozwoliły mu zostać opiekunem pierwszoroczniaków, wiedziałem więc, że nikt nie będzie się wtrącał, gdy Wes objedzie mnie za to, że podniosłem głos w obecności dziewczyn.

Kiedy weszliśmy do pokoju, zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i rzucił mi w twarz jedną ze swoich piłek.

– Co jest? – Uchyliłem się. Kolejna piłka poleciała

w moją stronę. Zdążyłem ją złapać, zanim rozkwasiała mi nos. – O co ci chodzi, Wes?

– W końcu! – krzyknął. – Jakaś reakcja. Zachowujesz się jak pieprzony zombie. Co jest? Tylko nie kłam. Kiersten powiedziała, że dziś rano też zachowywałeś się dziwnie.

Ziewnąłem, udając znudzonego, choć dłonie miałem mokre od potu.

– Nic, stary, takie tam uczelniane pierdoły.

– Uczelniane pierdoły? – powtórzył Wes. – Naprawdę myślisz, że kupię tę bajeczkę?

– Narkotyki? – zaproponowałem.

– Taa, jasne – parsknął.

– Dupek.

– Dziwka.

– Wes...

– Co? – Usiadł przy biurku i skrzyżował ramiona. – Co się dzieje?

Nie zamierzałem się żalić. Wiedziałem, że wiele mu zawdzięczam. Do diabła, ten facet uratował mnie, gdy byłem bliski śmierci, dzięki niemu znów poczułem, że żyję. Jego siła była niczym grawitacja, przyciągała do siebie wszystkich w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Przebywając w jego towarzystwie, człowiek miał ochotę stać się lepszy i na tym właśnie polegał problem.

– Lata lecą i obaj wiemy, że w każdej chwili mogę mieć nawrót choroby.

– Daj spokój! – Tym razem to ja rzuciłem w niego piłką. – O tym właśnie mówię!

– O czym? – Złapał piłkę i podrzucił ją w powietrze.

– Mów głośniej, nie słyszę cię.

Z jękiem ukryłem twarz w dłoniach.

– Jesteś taki cholernie idealny. To piekielnie irytujące.

– Dzięki – rzucił z uśmiechem.

– Mówię poważnie.

– Wiem.

Znowu jęknąłem.

– Gabe...

Sięgnąłem do kieszeni i poczułem pod palcami chłód medalionu.

– Spieprzyłeś kiedyś sprawę tak bardzo, że...

– Że co?

Odwróciłem wzrok.

– Chodzi o to... Jesteś moim najlepszym przyjacielem, nie zrozum mnie źle, ale mam wrażenie, że nigdy nie zrobiłeś niczego niewłaściwego. Jesteś mądrzejszy od większości terapeutów, masz kupę kasy, traktują cię tu jak pieprzonego boga... No i chodzący cud. Odhacz to wszystko na swojej liście. Wiem, że los nie był dla ciebie łaskawy, ale ty nie nawalasz, wychodzisz zwycięsko z każdej opresji i idziesz dalej. Chciałbym tak umieć.

Wes wybuchnął śmiechem.

– To trochę straszne, że masz o mnie takie dobre zdanie. Naprawdę chcesz, żebym zrobił listę rzeczy,

które spieprzyłem w swoim życiu?

– Przydałoby się – mruknąłem, krzyżując ręce.

Przez chwilę siedzieliśmy w całkowitej ciszy, ale nie przeszkadzało mi to. Tacy właśnie byliśmy. Nie musieliśmy przez cały czas gadać, śmiać się czy kłócić. Wes wiedział, że czasem bardziej niż czegokolwiek potrzebowałem ciszy. Wiedział o mnie więcej niż ktokolwiek – nawet Lisa. I coś mi się zdawało, że przejrzał mnie i poznał, że gram.

– O co naprawdę chodzi?

– To ten ciężar – odparłem. – Jakbym miał kulę u nogi, która ściąga mnie w najmroczniejszą otchłań oceanu, i tym razem nie zamierzam stawiać oporu.

– Dlaczego?

Podniosłem głowę. W oczach Wesa nie było osądu, tylko troska.

– Bo zasługuję na to, żeby pójść na dno.

– Jak my wszyscy?

– Nie, nie rozumiesz. – Wstałem i zacząłem krążyć po pokoju. – Wiesz, jak czuje się ktoś, komu się wydaje, że nikt go nie rozumie? Pamiętasz, jak mówiłeś, że już zawsze mógłbyś pić gównianą kawę, byle tylko móc żyć? Pamiętasz te wszystkie rozmowy o ludziach, którzy pojawiali się w twoim życiu i nie mieli bladego pojęcia o twoim bólu? O twojej życiowej wędrówce?

Wes pokiwał głową.

Zaczynałem się pocić. Ścisnąłem medalion tak mocno, że jego kształt odbił się na opuszkach moich

palców.

– Czym zasłużyliśmy sobie na to, żeby żyć? – spytałem.

– Podstępne pytanie – odparł Wes. – Nie zasłużyliśmy.

Dźwięk telefonu i głośne wibrowanie przerwało naszą rozmowę. Po dzwonku poznałem, że to mama. W ciągu ostatniej godziny dzwoniła co najmniej pięć razy. Wiedziałem, że powinienem z nią porozmawiać, ale na samą myśl o tym wracały złe wspomnienia. Poza tym byłem już spóźniony na zajęcia.

Odrzuciłem połączenie i krzywiąc się, spojrzałem na Wesa.

– Posłuchaj, muszę lecieć. Możemy pogadać później? Machnął ręką.

– Jasne, tylko nie skacz z budynków i nie sypiaj z całą drużyną pływacką, a wszystko będzie dobrze.

Przewróciłem oczami.

– Widzimy się później.

– I nie zapomnij o wtorkowym taco! – krzyknął, zanim zdążyłem zatrzaskać drzwi.

Rozdział 3

Moje odbicie w lustrze wydawało się obce... Nie pamiętałem samego siebie... człowieka, którym byłem. Żyłem, nosząc tę przeklętą maskę od tak dawna, że zupełnie się zatraciłem – wszystko zapomniałem. Dzięki Bogu. – Gabe H.

Gabe

Poszedłem na zajęcia. Albo raczej pobiegłem – Uniwersytet Waszyngtoński to ogromna uczelnia i normalnie pojechałbym harleyem, ale czułem, że muszę się przejść. Miałem nadzieję, że dzięki temu odzyskam jasność umysłu.

Kiedy przeszedłem przez ulicę, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Zatrzymałem się w drodze do gmachu szkoły biznesu i obejrzałem za siebie. Nic. Tylko ludzie spieszący w różnych kierunkach, rozmawiający, palący papierosy, śmiejący się – pogrążeni w swych małych światach. Podobało mi się to. Naprawdę. W ciągu

ostatnich kilku lat miałem parę sytuacji podbramkowych, ale teraz, kilka miesięcy przed końcem studiów w zasadzie wyszedłem na prostą.

Chciałem studiować – potrzebowałem normalności bardziej niż pieniędzy czy wrażeń. Rodzice tego nie rozumieli. Ale przecież nie rozumieli niczego, co kłóciło się z ich wyobrażeniem o mojej przyszłości. Jak mogli nie rozumieć, że prawie umarłem i zrujnowałem sobie życie tylko dlatego, że chcieli, żebym był kimś, kim nie jestem? Roześmiałem się na głos i schowałem rękę do kieszeni dżinsów, pragnąc poczuć pod palcami chłodny metal. Co roku wracałem do Los Angeles z innym tatuażem. Każdy kolejny był agresywniejszy od poprzedniego. Kiedy przekłułem nos, myślałem, że mama dostanie zawału. Ojciec prawie się mnie wyrzekł.

Szkoda. Chciałbym, żeby się mnie wyparli.

Lisa zawsze ostrzegała mnie, żebym nie przeginał – bała się, że ktoś na mnie doniesie. Wystarczyło, żeby ojciec opowiedział w mediach o moich tajemnicach, i byłbym skończony. O tajemnicach? Przeszłości? Pierwsze strony gazet. Życie, które stworzyłem? Zmieniłoby się na zawsze.

Przełknąłem dławiący mnie strach i ruszyłem w stronę budynku. Dwa miesiące do końca szkoły i zacznę żyć na własną rękę, z daleka od rodziny, od bolesnych wspomnień i człowieka, którym byłem kiedyś.

Wkraczając w progi starego budynku, od razu

poczułem się lepiej. Przygotowywanie się do zajęć było czymś, na czym mogłem się skupić... Może i wyglądałem, jakbym grał w punkowej kapeli, ale nie bez powodu dostawałem najwyższe oceny. Musiałem się postarać, żeby wyrwać się z uścisku, w którym trzymała mnie własna rodzina. Niemal czułem, jak ich ręce zamykają się na mojej szyi i wyciskają ze mnie resztki życia.

Wzdrygnąłem się, kiedy telefon zawibrował mi w kieszeni. Wcisnąłem „odbierz”, zamknąłem oczy i oparłem się o ścianę. Serce waliło mi jak oszałałe.

Chciałem jak najszybciej mieć to za sobą.

– Hej! – Usłyszałem głos Lisy. – Co robisz?

– Idę na zajęcia jak grzeczny chłopiec. Czemu pytasz? Coś się stało?

Lisa rzadko dzwoniła do mnie w ciągu dnia, chyba że chciała, żebym ją gdzieś podrzucił... albo akurat miała ochotę coś przekazać... albo... No dobra, wydzwaniała do mnie bez przerwy. A to, że należała do bardzo wąskiego grona moich przyjaciół, nie poprawiało sytuacji.

– Nie. – Odchrząknęła. – Ja, no, pomyślałam, że powinieneś usłyszeć to ode mnie.

– Usłyszeć? – powtórzyłem. – Usłyszeć co?

– Dzwoniła moja mama – oświadczyła i zamilkła.

– Co jest, Liso? Wyduś to wreszcie – warknąłem, udając poirytowanego, gdy tak naprawdę bałem się tego, co zaraz usłyszę. Nienawidziłem strachu. Sprawiał, że

czułem się słaby. A słabość zajmowała drugie miejsce na liście uczuć, których nie chciałem już nigdy doświadczyć.

– Twój ojciec... on... – Wzięła głęboki oddech i dodała pospiesznie: – Ma kłopoty finansowe... Nic poważnego. Wiem, że nie może ruszyć pieniędzy z twojego funduszu powierniczego, ale moja mama rozmawiała z twoją i... twoja matka obawia się, że ojciec chce sprzedać mediom twoją historię.

Krew uderzyła mi do głowy, poczułem przyływ adrenaliny i powiodłem dookoła oszalałym wzrokiem, szukając jego, kamer, dziennikarzy. Cholera, zaraz zwymiotuję. Ręka drżała mi tak bardzo, że telefon uderzał o ucho. Zrobiło mi się zimno. Roztrzęsiony jeszcze raz rozejrzałem się po okolicy i stanąłem w cieniu budynku.

– Przepraszam, Liso. Dzięki, że dałaś mi znać, ale muszę iść. Muszę... – Rozłączyłem się i zacząłem biec, nie wiedząc nawet dokąd. Omal nie wpadłem na drzewo. Moje nogi pracowały coraz szybciej, a mroźne powietrze chłostało mi twarz. Nadal czułem ich oddech na karku. I czułem smak krwi w ustach po tym, jak przygryzłem sobie język.

„Czy to był wypadek?” – pytała jedna z dziennikarek. „Masz ukończone osiemnaście lat. Myślisz, że zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności?”. Podstawiła mi mikrofon pod nos i czekała.

Rozejrzałem się dookoła, szukając pomocy.

Wokół było pusto.

Kogo ja chciałem oszukać? Nikt mi nie pomoże. Ona odeszła. Zniknęła.

„Bez komentarza” – bąknąłem.

„To wszystko, co masz do powiedzenia?” – zarzucił mi inny dziennikarz.

Spojrzałem w jego zimne, czarne oczy i pokiwałem głową.

„W tej chwili, tak”.

– Cholera! Cholera! Cholera! – Przeczesałem włosy palcami, zwolniłem i skierowałem się w stronę akademików. Co mogłem mu zaproponować, żeby nie sprzedał mnie pismakom? Miałem pieniądze, których nie mogłem tknąć do dwudziestych drugich urodzin, czyli przez kolejne cztery miesiące. Dostawałem miesięczne stypendium w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Mogłem wycofać pieniądze ze wszystkich swoich inwestycji, tylko co by to dało? Czy ten człowiek kiedyś przestanie? Choćbym oddał mu wszystko, co miałem, czyli jakieś dziesięć milionów, i tak w jakiś sposób roztrwoniłby te pieniądze i znów zaczął mnie tropić. Tu nie chodziło o kasę. Nie byłem głupi. Traktował mnie jak dojną krowę. Wciąż wściekał się, że odszedłem.

Zabawne. Ojciec nie był zły, że narkotyki, alkohol i to, co wydarzyło się potem, zniszczyły mój nieskazitelny wizerunek. Wkurzał się, że uciekłem, że porzuciłem to, co jego zdaniem było prawdziwą

kopalnią złota.

Przebiegłem obok akademika.

Wskoczyłem na swojego starego harleya. Musiałem się stąd wyrwać. Ratować się ucieczką. Narkotyki nie wchodziły w rachubę. Pozostało mi jedno wyjście.

Jechałem jak wariat w stronę wydziału muzyki. Parkując, mało nie przewróciłem motocykla, a potem wbiegłem po schodach do jednej z sal ćwiczeniowych. Zamknąłem za sobą drzwi, opuściłem rolety i podszedłem do pianina.

Wydawało mi się, że klawisze z kości słoniowej wpatrują się we mnie, przyzywając do siebie. Na ten widok moje serce zabiło mocniej.

Mój nałóg.

Cztery lata.

Od czterech cholernych lat nie grałem na pianinie.

Czułem, że nie wytrzymam już ani chwili dłużej.

Bomba wybuchła, zegar zadzwonił, moje dłonie pieściły klawiaturę. Z jękiem osunąłem się na drewnianą ławeczkę. Moje ciało pochyliło się nad instrumentem.

Nie byłem pewien, czy potrafię jeszcze grać. Nie wiedziałem, czy umiem wyrazić emocje, które pożerały moją duszę i powoli zatruwały ciało.

Ale musiałem spróbować.

Z chwilą, gdy moje ręce zawisły nad klawiaturą, a palce dotknęły klawiszy, poczułem, że muszę to z siebie wyrzucić, i zanim się zorientowałem, zacząłem grać. Grałem te same utwory, które ćwiczyłem, będąc

nastolatkiem, aż w końcu – jakby moje palce nie umiały się powstrzymać – zagrałem jej piosenkę.

Miałem wrażenie, że ogarnia mnie szaleństwo, kiedy coraz mocniej waliłem w klawisze. Może, gdybym uderzał w nie z wystarczającą siłą, wróciłaby? Może dostałbym drugą szansę i ostatnie cztery lata byłyby niczym więcej, jak tylko sennym koszmarem?

Próbując opanować łzy, z całej siły tłukłem w instrument. Przeklinałem przeszłość, która mnie dopadła.

Tik-tak, tik-tak. Z każdym uderzeniem moje serce było coraz szybciej.

Byłem skończony.

W głębi duszy wiedziałem, że długo tego nie wytrzymam.

Do diabła, to zadziwiające, że dałem tak fantastyczny popis. Ale przecież byłem wytrawnym aktorem. Zasługiwałem na Oscara.

Moje życie było jednym wielkim epickim żartem.

W końcu, niczym wyginany latami kawałek stali, złamałem się. Łza potoczyła się po moim policzku i spadła na klawiaturę.

Starłem ją palcem z klawisza. Płacz nigdy mi nie pomagał. Ale seks? O, tak. Mając przy sobie odpowiednią dziewczynę, byłem panem. Jednak zwykle zadowalałem się towarzystwem tych nieodpowiednich. Każdy miłosny podbój sprawiał, że czułem się jak bóg – niezwyciężony, silniejszy, gotowy stawić czoła

wszystkiemu i wszystkim. Tak naprawdę jednak odgradzałem się coraz wyższym murem. Składałem tym dziewczynom – jej – obietnice, których nie mogłem spełnić. Mogłem odgarnąć na bok odłamki swojego serca i udawać, że przeszłość jest nieistotna, ale tylko przez moment. Dlatego każdą chwilę z tymi dziewczynami traktowałem jak okazję, żeby zmienić się w to, co lata temu byłoby moim najgorszym koszmarem.

Przez jakiś czas to nawet działało.

Bo dawało krótkotrwałe przekonanie, że nigdy nie byłem tamtym człowiekiem.

Jedyny problem?

Nawet moje imię nie było prawdziwe.

Rozdział 4

*Jestem pewna, że nikt nie
pochwaliłby walenia w pianino
pałkami do gry na perkusji. –
Saylor*

Saylor

To były ostatnie ćwiczenia przed zmianą planu. Nienawidziłam tego głupiego seminarium dla pierwszoroczników. Było moją zmorą! Żeby nie stracić stypendium, musiałam mieć wysoką średnią, a te jedyne zajęcia całkiem sobie odpuściłam, dlatego, że nie sprawdzano na nich obecności. Opuszczałam je, żeby mieć więcej czasu na ćwiczenia.

Niestety znaczyło to również, że nie miałam pojęcia, co się na nich dzieje, choć do tej pory uchodziło mi to płazem. Powiedzmy, że profesor nie był zachwycony moimi licznymi nieobecnościami, mimo iż tłumaczyłam mu, że w tym czasie przygotowuję się do moich głównych zajęć.

No tak. Szłam korytarzem, lawirując wśród studentów, aż w końcu się zatrzymałam. Sala ćwiczeń,

z której zwykle korzystałam, była zajęta. Nic wielkiego, chociaż wśród studentów muzyki istniała niepisana zasada, według której jeśli ktoś codziennie przez rok korzystał o tych samych porach z tego samego pokoju, to w tym czasie ten pokój należał do niego. Tych, którzy owej zasady nie przestrzegali, uznawano za małych, paskudnych intruzów.

Dobra, zdenerwowałam się, ale tylko trochę. Ktokolwiek siedział za drzwiami, musiał mieć poważne problemy, sądząc po wściekłości, z jaką walił w klawisze. Żywiłam tylko nadzieję, że w procesie samopoznania nie roztrzaska instrumentu. Ja do tego celu nie wybrałabym raczej muzyki Ashtona Hyde'a. Może osiem lat temu, ale na pewno nie teraz.

Chryste, te dźwięki budziły zbyt wiele kiepskich wspomnień, przywodziły na myśl nocne jazdy na desce i szkolne imprezy. Wszystko to, o czym wolałabym zapomnieć jako miłośniczka muzyki.

Westchnęłam i już miałam wejść do sali naprzeciwno, gdy muzyka dobiegająca zza drzwi całkowicie się zmieniła.

Usłyszałam pewną zapadającą w pamięć melodię, a zaraz potem wiązanek przekleństw i dudnienie w klawisze. Wróciłam się i stanęłam pod drzwiami pokoju. Rolety były opuszczone. Walenie w klawisze nie ustawało, okraszone kolejnymi przekleństwami. Poważnie, koleś powinien poddać się terapii, na której uczono, jak radzić sobie ze złością. Nie wiedziałam, czy

lepiej będzie zgłosić natychmiast szefowi wydziału, że jakiś wariat dosłownie wybebesza jedno z drogich pianin, czy pilnować własnych spraw.

Problem rozwiązał się sam, wraz z gwałtownym otwarciem drzwi. Byłam tak zaskoczona, że zatoczyłam się do tyłu i klapnęłam na podłogę.

Cudownie.

Teraz wściekły pianista miał na mnie podwójnego haka – nie tylko wiedział, że podsłuchiwałam, ale też widział, jak wylądowałam na tyłku.

– P-p-przepraszam – bąknęłam pod nosem, niezdarnie gramoląc się z podłogi.

– Za? – spytał. Głos miał głęboki i przyjemny.

Podniosłam wzrok.

Uśmiechał się do mnie. Do mnie? Niby czemu? Aha. Pewnie próbował zachować powagę. Postanowiłam udawać, że nic się nie stało, i również się do niego uśmiechnęłam.

– Nie chciałam... noo... – Wskazałam na drzwi i wzruszyłam ramionami. Nadal siedziałam na podłodze.

– Szpiegować? – Zmrużył oczy, ale nie przestawał się uśmiechać. Był piękny. Miał ciemnobrązowe włosy, które opadały za uszami. Biała koszulka opinała szeroki, umięśniony tors. Skórę na obu rękach pokrywały tatuaże.

– Tak – wychrypiałam. Miałam wrażenie, że to jedno słowo utknęło mi w gardle, i czułam, że się czerwienię.

Obciągnęłam bluzę i przeklełam się w duchu za to, że wpadłam na pomysł, żeby założyć glany. Było mi gorąco i zaczynałam się pocić...

– To nic. – Wyciągnął rękę.

Zmieszana jego nagłą uprzejmością, pamiętając, że jeszcze chwilę temu walił w klawisze, jakby chciał kogoś zabić, zanim przyjełam pomoc, przyjrzałam się dokładnie jego dłoni. Jego palce zdobiły tatuaże i dziwne inskrypcje. Z cichym westchnieniem chwyciłam tę dłoń i pozwoliłam, by postawił mnie na nogi.

Jego niebieskie oczy otaczała firanka ciemnych rzęs. Sprawiało to wrażenie, jakby używał kredki do oczu, ale wiedziałam, że tak nie jest. To były piękne oczy. Nigdy wcześniej nie stałam na tyle blisko kogoś tak przystojnego. Im dłużej się na niego gapiłam, tym bardziej wydawało się to bezsensowne. Początkowo widziałam jedynie tatuaże. A teraz? Żałowałam, że wcześniej nie odwróciłam wzroku, bo teraz było już na to za późno. Jego oczy wwierciły się we mnie, przygwoździły mnie do ściany i zniewoliły, aż poczułam, że brakuje mi tchu. To były oczy, które sprawiały, że człowiek miał ochotę albo wyznać wszystkie swoje grzechy, albo zatracić się w tym spojrzeniu. Zamrugłam kilka razy, z nadzieją, że przerwę ową więź, która pozbawiła mnie instynktu samozachowawczego, i w końcu odwróciłam wzrok.

– Dzięki, że pomogłeś mi wstać i jeszcze raz przepraszam za to wszystko... – Machnęłam ręką

i przeszłam na drugą stronę korytarza do sali ćwiczeń, byle dalej od tego wytatuowanego przystojniaka z niebieskimi oczami.

– Grasz? – spytał, kiedy dotknęłam dłonią drzwi.

– Na pianinie. – Nie odwróciłam się, żeby znowu nie wpaść w pułapkę jego spojrzenia. Drżącą ręką chwyciłam klamkę. Jeszcze pięć minut i nogi będę miała jak z waty. Jasna cholera! Powinnam częściej dokąds wychodzić.

– Wszystko w porządku? – Głos miał gładki, aksamitny. Moje muzyczne „ja” było zaintrygowane. Ciekawe, czy śpiewał też coś innego? Arie operowe? Może miał wykształcenie klasyczne? To nowy nauczyciel czy co? Jedno było pewne, mówił jedwabście gładko. Powiedział mniej niż dziesięć słów, a ja nie mogłam przestać myśleć o barwie jego głosu. Zupełnie jakby rozgrzewał mnie od środka. Tak, zdecydowanie powinnam więcej spać, bo czułam, że jeśli jeszcze raz spojrzę w te oczy, jeśli jeszcze raz usłyszę ten głos, zemdleję.

Zabębniłam palcami w klamkę, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Mowę ci odjęło?

– Tak – warknęłam odrobinę za ostro i się odwróciłam. Miałam ochotę spiorunować go wzrokiem, bo wkurzało mnie to, jak na mnie działał. – Nic mi nie jest.

Odchylił głowę i się roześmiał. Jego śmiech odbił się

echem od pustych ścian.

– A więc jednak masz charakterek. Dobrze wiedzieć.

Spojrzałam na niego spod przymrużonych powiek. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale mnie uprzedził.

– Nie popsuj mi zabawy i nie próbuj się bronić. Jesteś grupie?

– Grupie... – powtórzyłam. Skąd on to wytrzasnął? Czyżby wehikuł czasu przeniósł mnie z powrotem do liceum? Czy ktoś jeszcze w ogóle tak mówił?

Wskazał głową moją bluzę.

Spuściłam wzrok. Rzeczywiście miałam na sobie starą bluzę zespołu, którego słuchałam w liceum. Czy to możliwe? Założyłam najbardziej obrzydliwą szarą bluzę ze swojej garderoby. A niech to.

– Jasne – wychrypiałam. – To znaczy, kiedyś byłam, ale...

– Tak myślałem. – Pokiwał głową. – Chcesz wiedzieć, skąd mi to przyszło do głowy?

– Muszę poćwiczyć. – Zmieniłam pośpiesznie temat i wskazałam na drzwi. Miałam ochotę krzyknąć na całe gardło, choć nie wiedziałam, czy powodował mną strach, czy może coś innego. Coś, co sprawiało, że serce biło mi szybciej niż zwykle, a dłonie zaczynały się pocić.

Podszedł do mnie dumnym krokiem i zatrzymał się tuż obok.

– Jesteś taka niewinna. Stawiam dwadzieścia dolców,

że ćwiczysz przynajmniej sześć godzin dziennie, kładziesz się do łóżka o dwudziestej pierwszej i wydaje ci się, że przetrwasz w tym wielkim złym świecie, specjalizując się w grze na pianinie. – Wykrzywił usta w kpiarskim uśmiechu. – Tatuś kupował ci wszystko, co ci się zamarzyło, łącznie z różowym kucykiem My Little Pony, którego pewnie nadal trzymasz w swoim pokoju. Twoje półki ozdabiają liczne trofea, a ostatni raz miałaś na sobie coś w tak skandalizującym kolorze jak czerwony, gdy przymierzałaś w pokoju sukienkę, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądała na twojej opalanej skórze. Myślisz, że faceci tacy jak ja to same kłopoty, ale wygląda na to, że chcesz więcej... – zniżył głos do uwodzicielskiego pomruku i przyłapałam się na tym, że nachylałam się w jego stronę, żeby usłyszeć, co chce mi powiedzieć. – Pragniesz więcej.

Odebrało mi mowę. Nie wiedziałam, śmiać się czy płakać, a może uderzyć go w tę jego piękną buźkę. Czy mówił poważnie? Co mu to dało? Nie znałam koleś. Najwyraźniej coś było z nim nie tak i zamierzałam mu o tym powiedzieć, ale było już za późno.

Nawet gdybym wiedziała z góry, że kontakt z tym pięknym nieznanym odmieni mnie na zawsze – nazaczy mnie do końca życia, zniszczy mnie i sprawi, że będę ledwie cieniem samej siebie – i tak dokonałabym tego samego wyboru.

Zabawne, że ludzie zawsze proszą o to, by dać im drugą szansę. Tymczasem gdybym ją dostała,

poszłabym dokładnie tą samą drogą. Za. Każdym. Razem.

Jego usta przywarły do moich – gorące wargi odcisnęły się w mojej pamięci, aż nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o ciepłej wilgoci jego ust i mojej skórze, która zdawała się płonąć w zetknięciu z jego dłońmi.

Przycisnął mnie do ściany i ujął w dłonie moją twarz w taki sposób, jakby bał się, że upadnie. Całowałam się wcześniej z chłopakami, ale żaden z nich nie całował tak jak ten boski nieznajomy. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Oparłam je na jego piersi, co potraktował jako swoistą zachętę, bo chwilę później poczułam w ustach jego ciepły, miękki język.

Naparłam na niego całym ciałem. Zatopił palce w moich włosach.

Jęknęłam, gdy położył ręce na moich ramionach – jego dłonie wypalały dziury w mojej skórze, przełamywały wewnętrzny opór i pozbawiały mnie pretekstu, żeby go odepchnąć.

Usta miał gorące. Jego język robił rzeczy, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Wszystko, co czułam, było nim. Gdy jego pierś dotknęła mojej, całe moje ciało stanęło w ogniu. W uszach mi huczało.

Nagle odsunął się ode mnie, jego oczy błysnęły wściekle. Jeśli wcześniej byłam wystraszona, teraz naprawdę się przeraziłam. Wyglądał, jakby chciał mnie zabić, i nie było w tym cienia przesady. Naprawdę się

bałam. To znaczy, bałam się i byłam kompletnie zaskoczona.

Chwilę później wyglądał już normalnie, jakby zdjął halloweenową maskę. Na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie ma za co – zakpił.

Musiałam wyglądać, jakbym chciała dźgnąć go jakimś ostrym narzędziem, bo roześmiał się i cofnął pod ścianę.

– No proszę, jesteś bardziej zadziorna, niż mogłoby się wydawać, a właściwa odpowiedź brzmi: „Dziękuję”.

– Mówiąc to, ukłonił się.

Miałam ochotę udusić go gołymi rękami.

– Za to, że na mnie napadłeś? – pisnęłam. – Chcesz, żebym podziękowała ci za to, że na mnie napadłeś?

Puścił do mnie oko.

– Skoro mnie o to błagałaś, nie nazwałbym tego napaścią.

– Błagałam? – powtórzyłam. – Błagałam cię o to, żebyś mnie molestował? – Podeszłam do niego i dźgnęłam go palcem w pierś. – Powiedz, napaliłeś się, patrząc na tę bluzę, czy może podnieciło cię to, że wystarczyło ci jedno spojrzenie i wiedziałeś, że ukrywam w pokoju różowego kucyka? – Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie i się odsunęłam. – Niestety się pomyliłeś.

– W kwestii? – szepnął. W jego niebieskich oczach znowu pojawił się mrok.

– Kucyka. – Odwróciłam się i buńczucznie uniosłam brodę. – Był fioletowy i wcale nie trzymam go w swoim pokoju w domu.

– Czyżby? – Uniósł brwi.

– Tak. – Zmrużyłam oczy i wyobraziłam sobie, że zrzucam go ze schodów. – Jest w moim pokoju w akademiku, ty dupku.

Rzucił mi ostatnie spojrzenie, od którego ciarki przebiegły mi po plecach, skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Do zobaczenia, Pony.

– Cześć, dupku – zawołałam za nim. – I dziękuję.

Zatrzymał się.

Nie powinnam była niczego więcej mówić. W zwykłych okolicznościach zamknęłabym się. Cholera! Zazwyczaj nie odzywałam się nie w porę i nie odszczekiwałam. Ale było w nim coś, co wyzwalało we mnie wszystko, co najgorsze.

– Zawsze chciałam się przekonać, jak to jest całować się z wytatuowanym, porywczym twardzielem. Wygląda na to, że ten punkt mogę skreślić ze swojej listy.

Jego ramiona zadrżały. Odwrócił się, wyraźnie rozbawiony moim komentarzem.

– Uważaj – ostrzegł.

– Bo co? Postraszysz mnie nożem?

– Skarbie, oboje wiemy, że nie potrzebuję uciekać się do przemocy, żeby cię nakręcić. – Uśmiechnął się krzywo, ocierając usta wierzchem dłoni. – I lepiej

uważaj, dziewczynko. Jesteś niebezpiecznie bliska tego, żebym się w tobie zakochał. A musisz wiedzieć, że ja nie bawię się w związki, ja zaliczam panienki. Zadzwoń, jeśli kiedyś poczujesz się samotna. Jestem pewien, że przy mnie nawet twój fioletowy kucyk się zarumieni.

– J-j-jesteś odrażający! – zawołałam za nim. Pięknie, Saylor. Jąkając się, tylko pokazałaś temu dupkowi, jak bardzo zawrócił ci w głowie.

– Nie ma za co! – powtórzył, machając na pożegnanie i powoli schodząc po schodach.

Drżącą ręką otworzyłam drzwi do pokoju i zatrasnęłam je z całej siły. Westchnęłam, opuszkami palców dotknęłam ust, oparłam się o ścianę i osunęłam na podłogę. Co. To. Miało. Być?

Rozdział 5

Co we mnie wstąpiło, że zachciało mi się nagabywać tę niewinną dziewczynę? No tak, upomniała się o mnie moja nieskazitelna przeszłość. Cholernie to irytujące. – Gabe H.

Gabe

Usta mnie piekły.

Traciłem rozum.

Rzadko bywałem zażenowany, jednak tym razem wstyd wisiał nad moją głową jak krople deszczu układające się w kształt tęczy. Co za porównanie. Skrzywiłem się, gdy dotarło do mnie, że nie potrafię nawet sklecić sensownej metafory. Muzyka wysysała ze mnie wszystko – złość, poczucie krzywdy, frustrację, smutek, nawet uczucie bezsilności. A ona tak po prostu stała tam i słuchała.

I te jej oczy.

Co za oczy.

Znałem je – to były oczy prawdziwego muzyka. Była

pod wrażeniem, oszołomiona i trochę zaniepokojona moim zachowaniem. Widziałem to, mogłem przejrzeć to, co działo się w jej małym, niewinnym mózdku. Intrygowałem ją, intrygowała ją moja muzyka i, dzięki Bogu, nie rozpoznała mnie.

Ale najgorsze w tym wszystkim?

Jej twarz przywoływała w moim umyśle obraz całego morza innych twarzy. Twarzy ludzi, których zawiodłem i opuściłem. Ludzi, którzy na mnie polegali, którzy patrzyli na mnie z podziwem, którzy – nie wiedząc, że skazują mnie na porażkę – postawili mnie na najwyższym z pieprzonych piedestałów.

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Zignorowałem go, szybkim krokiem zmierzając w stronę motocykla.

W ten właśnie sposób, tymi oczami patrzyła na mnie Kim.

– Dlaczego teraz? – spytałem sam siebie. – Dlaczego to wszystko dzieje się właśnie teraz? – W najmniej odpowiednim czasie. Dlaczego. Teraz. Czułem się tak, jakby Bóg rzeczywiście odwrócił się ode mnie. Byłem sam, utknąłem w bezmiarze nicości, bezbronny. Byłem łatwym celem, który rozkoszował się otaczającą go pustką.

W tej samej chwili mój mózg przypomniał sobie woń perfum, którymi pachniała rano baristka. Przyspieszyłem kroku.

Mój żołądek ścisnął się w supeł. Zbierało mi się na wymioty i czułem, że tylko długa przejażdżka pozwoli

mi oczyścić umysł i pozbyć się owej woni. Zupełnie jakby zapach żył własnym życiem, wirował wokół mojego umysłu i stopniowo przenikał kolejne skrawki mojego „ja”, aż stał się częścią mojej duszy. Jego macki oplatały moje serce i zaciskały się na nim tak mocno, że miałem ochotę wyrwać się i uciec.

Woń perfum o poranku, telefon od Lisy, dziewczyna w sali do gry... cholera. Najgorsze było to, że słyszała piosenkę. Tę, którą sam napisałem.

Co za beznadziejne wyczucie czasu – to zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Jak śmiała słuchać czegoś tak intymnego?

Nie zamierzałem jej całować, ale byłem wkurzony i pomyślałem, że jeśli ją wystraszę, wścieknie się i mnie spoliczkuje. Przynajmniej wtedy bym coś poczuł.

Myliłem się.

Odwzajemniła mój pocałunek.

Kiepskie posunięcie, zważywszy, że od dawna nie spałem z żadną dziewczyną, a jej drobne ciało pasowało do mojego jak ulał.

Nie mogłem jej winić – nie miała pojęcia, że ostatnia dziewczyna, którą uważałem za ideał... odeszła. Tak naprawdę nie byłem zły na nią. Byłem zły na siebie.

– No już, Kim! – Złapałem ją za rękę i jeden po drugim całowałem każdy palec, wsuwając je do ust i muskając językiem jej gorącą skórę.

Cholera, ale była niesamowita. Chichocząc, odsunęła się i zachwiała. Chwyciłem ją, żeby nie upadła.

– Skarbie! – Znowu się zaśmiała. Najwyraźniej źle znosiła połączenie trawki i alkoholu. – Na zewnątrz jest lodowato!

– Ale przecież będziesz ze mną. No chodź. – Przyciągnąłem ją do siebie. – Szybki zjazd i zaraz potem wrócimy do łóżka.

Kim zmrużyła oczy i wybuchła śmiechem.

– Jasne, zapominasz tylko, że jesteśmy trochę wstawieni, i nie jestem pewna, czy to bezpieczne.

– Znowu – westchnąłem i wyjrzałem przez okno. Śnieżny krajobraz wydawał się niezmqcony. – Będę przy tobie i obiecuję, że nie będziemy jeździć szybko. Nie daj się prosić! – Pocałowałem ją w czoło. – Zobaczysz, nic się nie stanie! Nikogo tam nie ma. Popatrz... –

Szarpnięciem rozsunałem zasłony. – Jest pięknie. W Kalifornii nie ma takiego śniegu, tylko w Whistler. No już.

– Dobrze! – Kim potrząsnęła głową i poszła do sypialni. – Pozwól tylko, że się ubiorę. Mam gdzieś twoje zapewnienia. Na zewnątrz jest lodowato.

Czekałem na nią nie pięć, a trzydzieści minut. Wreszcie chwyciłem klucz do pokoju hotelowego i oboje wybiegliśmy na korytarz. W wieku szesnastu lat nie powinniśmy wspólnie mieszkać, ale mój agent uznał to za dobrą reklamę. Byliśmy parą, obiektem westchnień wszystkich nastolatków, i ludzie chcieli oglądać nas razem.

Nie przeszkadzało mi to, zwłaszcza że miałem

autentyczną obsesję na punkcie tej dziewczyny. Jej życia. Uśmiechu. Do diabła, ożeniłbym się z nią w wieku szesnastu lat i dobrze o tym wiedziała.

– Gotowa? – spytałem, kiedy wyszliśmy na dwór. Na niebie nie było żadnych chmur, tylko gwiazdy. Puściłem do niej oko. Pokręciła głową i wybuchła śmiechem. Odwróciła wzrok, jakby się wstydziła. Cholera, ale miałem szczęście.

– Gotowa.

– Raz, dwa...

– Zaczekaj! – Kim dotknęła głowy. – Zapomniałam kasku.

– Tylko jeden zjazd. – Starłem się ukryć irytację. I tak byliśmy spóźnieni na przyjęcie. – Nic ci się nie stanie. Przysięgam.

Wyglądała na niezdecydowaną. Czyżby nie wierzyła, że potrafię ją ochronić?

– No dobra. – Zapięła narty i przygotowała się do szusowania po stoku.

– Raz, dwa...

– Trzy! – wrzasnęła i ruszyła w dół, zostawiając za sobą chmurę białego puchu.

Śmiejąc się, podążyłem za nią. Do moich uszu dobiegał wciąż szelest, z jakim jej narty sunęły po śniegu. Nagle usłyszałem krzyk.

Tuż po nim nastąpiła cisza.

– Kim? – wrzasnąłem. – Nic ci nie jest?

Czułem, że tego nie wytrzymam.

Podbiegłem do harleya, zwymiotowałem i otarłem twarz wierzchem dłoni. Bez względu na to, co zrobi mój ojciec i kto pozna moją prawdziwą tożsamość, jedno nigdy się nie zmieni. To była moja wina, krzyż, który musiałem dźwigać, i nie było takiej modlitwy, która ocaliłaby moją duszę od ognia piekielnego. Za to, co zrobiłem. Za to, co nadal robiłem.

Kiedy skończyłem rzygać – uwalniając żołądek od płatków śniadaniowych Captain Crunch – wsiadłem na motocykl. Przed oczami stanęła mi seksowna pianistka. Powinienem był ją przeprosić, zamiast zachowywać się jak dupek. Okres posuchy? Dobra, zrzućmy winę na to.

Zresztą, czy w ogóle była w tym moja wina? Skoro podsłuchiwała, jak gram. I była seksowna jak diabli. Ciekawe, czy była z pierwszego roku. Pokręciłem głową. Pewnie nie. Uniwersytet Waszyngtoński to ogromna uczelnia, a moim przedmiotem kierunkowym nie była muzyka – zbyt mocno kojarzyła mi się z przeszłością. Musiałem unikać wszystkiego, co łączyło mnie z kolesiem, którym byłem kiedyś, kolesiem, przed którym starałem się uciec.

Klnąc pod nosem, kopnąłem tylne koło motocykla. Rześkie wiosenne powietrze miało w sobie odrobinę wilgoci. Pod jej wpływem moim ciałem wstrząsnęły niekontrolowane dreszcze. Wyjąłem telefon i wybrałem numer Wesa. Musieliśmy dokończyć rozmowę. Jeśli ktokolwiek mógł mi pomóc, to tylko on. Byliśmy z Wesem jak ogień i woda. On uosabiał wszystko, przed

czym uciekałem, a jednak było w nim coś szczególnego. Był cudem. Oto kim był. W ubiegłym roku wygrał walkę z rakiem. Był też synem jednego z najbogatszych ludzi w Stanach, choć nie dawał tego nikomu odczuć.

Poznałem go rok temu i obiecałem – niech to szlag – obiecałem sobie wtedy, że dołożę wszelkich starań, żeby stać się lepszym człowiekiem, a teraz właśnie złamałem tę obietnicę. Po operacji Wesa przestałem zaliczać kolejne dziewczyny. Oczyszczenie umysłu wydawało się dobrym pomysłem, a nie mogłem tego zrobić, pieprząc każdą panienkę w promieniu trzydziestu kilometrów.

Szczerze mówiąc, nie ciągnęło mnie do tego.

Aż do dziś.

„Boska”... „zakazana”. Te dwa słowa przychodziły mi do głowy. Długie kasztanowe włosy z jasnymi pasemkami okalały falami jej twarz. Jej duże niebieskie oczy zdawały się niemal fioletowe. No i ta opalenizna.

Musiałem to przed sobą przyznać: wyglądała jak bardziej seksowna wersja Miley Cyrus, wicie, zanim ufarbowała się na blond i zaczęła ostro imprezować.

– Cholera. – Czekałem, aż Wes się odezwie.

Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Jadę do ciebie – rzuciłem. Miałem nadzieję, że był na miejscu i po prostu nie odbierał telefonu. Był opiekunem roku, mieszkał w tym samym akademiku co Lisa i bywał w nim możliwie jak najczęściej, zwłaszcza że jego narzeczona i miłość jego życia była

współlokatorką mojej kuzynki. Szczęściarz ze mnie. Żyłem w otoczeniu pięknych, szczęśliwych ludzi, a jedyne, czego chciałem, to naćpać się i udowodnić, że nie jestem taki jak oni.

Uruchomiłem silnik i wjechałem między budynki kampusu. Zanim dotarłem na miejsce, ułożyłem w głowie listę stu różnych rzeczy, którymi wolałbym się zająć – na przykład zadzwonić do mojego nieziemsko drogiego prawnika i poszczuć nim ojca, który chciał sprzedać mnie mediom.

Jednak zamiast zrobić którąkolwiek z nich, zatrzymałem się. Ostatnio często to robiłem, wahałem się w chwili, gdy powinienem był reagować. Tak samo było z Kiersten, dziewczyną Wesa. Chciałem być dla niej tym jedynym. Tym, który będzie przynosił jej kwiaty i ocierał łzy, a kiedy przyszło co do czego, moje niezdecydowanie przesądziło sprawę. Kiersten była stworzona do wyższych celów – a ja przecież zawsze daję ciała. Mogłem być jej przyjacielem. Mogłem być przyjacielem Wesa. A niech to, mogłem nawet być dobrym kuzynem dla Lisy, ale wiedziałem, że nigdy się nie zaangażuję. Moja bratnia dusza? Już ją poznałem.

Zresztą i tak nie miało to znaczenia.

W chwili, gdy wyłączyłem silnik, telefon zawibrował mi w dłoni.

– Cześć, Marto. – Przygryzłem wargę. Nie tego mi było trzeba. Nie teraz.

– Parker, cieszę się, że mogliśmy...

– Tu Gabe.

– Prawda – rzuciła gwałtownie. – Przepraszam, chodzi o to, że... ona mówi na ciebie Parker, więc zapominam.

– Jestem trochę zajęty, Marto, więc o co chodzi? – Przeniosłem ciężar ciała na drugą nogę i zamarłem w wyczekiwaniu.

– Ona pyta o ciebie.

– Ona zawsze o mnie pyta – roześmiałem się gorzko.

– Jak wszyscy.

– Tak, wiem, ale, Parker... to znaczy Gabe... –

Słyszałem smutek w jej głosie. – Tym razem jest naprawdę źle. Mógłbyś wpaść? Może weź ze sobą gitarę czy coś? Wiem, że to uwielbia. Albo kolory. Przechodzi teraz dziwną fazę fascynacji kolorami. – Jej entuzjazm powinien mi się udzielić, tymczasem jedyne, czego chciałem, to się naćpać. Uciec.

Tyle że nie zasługiwałem na ucieczkę. Może na tym polegał cały problem.

– Jasne. – Wytarłem twarz rękami. – Załatwione. Daj mi kwadrans.

– Dzięki... Gabe.

– Nie ma sprawy, Marto. Trzymaj się.

Rozłączyłem się i spojrzałem na akademik. Bez jaj, Wes był prawdziwym cudotwórcą, męskim odpowiednikiem Matki Teresy.

Cholera. Ja w takim razie byłem diabłem wcielonym.

Rozdział 6

Smakował cynamonem – szkoda, że mam alergię na cynamon. Na szczęście pocałunek nie wywołał wstrząsu anafilaktycznego. To dopiero byłaby żenada. – Saylor

Saylor

Nie jestem pewna, jak długo gapiłam się na pianino, zanim ochłonęłam na tyle, żeby w ogóle zacząć grać. Za każdym razem, gdy kładłam palce na klawiszach, widziałam jego dłonie. Na kłykciach miał wytatuowane nuty.

Nie miałam pojęcia, dlaczego zapadł mi w pamięć tak niedorzeczny szczegół. Ale wydało mi się dziwne, żeby koleś z takim wyglądem grał muzykę, która dobiegała zza drzwi. To, o czym śpiewał, kiedy drzwi były zamknięte, i to jak się zachowywał, kiedy stałam za nimi, podsłuchując, było całkowitym przeciwieństwem tego, jak wyglądał.

Może to była moja wina. W końcu, słysząc muzykę, śliniłam się jak pies na widok kości. Muzyka była moją

słabością, wiodła mnie do upadku. Dawno już nie słyszałam tych piosenek. Poruszyły we mnie strunę, której bałam się dotknąć. Zabawne, bo nie chodziło o samą melodię, ale o sposób, w jaki ją zagrał – z taką pasją i rezygnacją, że natychmiast poczułam się zazdrosna.

Właśnie dlatego nie lubiłam koncertów. Specjalizowałam się w teorii muzyki. Chciałam zostać profesorem. Potrzebowałam bezpieczeństwa i stabilizacji. Mówiąc „bezpieczeństwo”, miałam na myśli pracę, dzięki której będę mogła spłacić studenckie pożyczki i w której nie nawalę.

Tylko na tym mi zależało. Kiedy człowiek ryzykuje, cierpi, a ja miałam dość cierpienia. Większość ludzi idzie do college’u, licząc na przygodę. Mnie wystarczyły dyplom i kubek z logo uczelni. Najważniejsze, żeby nie trzeba było się martwić.

To typowe dla kogoś, kto przez ostatnie kilka lat musiał zajmować się rodziną. Mój młodszy brat i mama mieli tylko mnie. Liczyli, że coś osiągnę i pomogę w ich utrzymaniu.

Nie prosili o wiele. Chcieli jedynie, żebym skończyła studia, znalazła pracę i zarabiała wystarczająco, żebyśmy nie musieli żyć od wypłaty do wypłaty.

Pokręciłam głową. Ćwicz. Mama. Eryk. To oni byli moją motywacją, nie jakiś wytatuowany, rozwydrzony chłopak, który rzucał się na niewinne dziewczyny w wejściu do sal ćwiczeń.

Nieźle. Byłam jak bohaterka powieści romantycznej, która czeka na wielką miłość.

Zamknęłam oczy, położyłam palce na gładkich klawiszach i zaczęłam dwugodzinne ćwiczenia.

Rozdział 7

*Trzymam nasze zdjęcie w poszewce
poduszki, jak kompletny świr.
W dniu wypadku miała je
w kieszeni. Chciałem, żeby było jak
najbliżej mojej twarzy, kiedy śpię.
Bo co noc kładłem się do łóżka
z nadzieją, że to był tylko zły sen,
a rano budziłem się i wiedziałem,
że wszystko wydarzyło się
naprawdę. Można by pomyśleć, że
kiedyś przestanę się łudzić... Nic
z tego. Nigdy nie przestanę modlić
się do Boga, żeby to zabrał. – Gabe
H.*

Gabe

Jechałem drogą numer 405 na południe, a następnie wylotówką na drugi koniec Seattle. Ile razy pokonywałem tę trasę w ciągu ostatnich kilku lat? W deszczu, śniegu i gradzie. Cholera, byłem jak pies, który znalazł trop w ogrodzie za domem swojego pana. Przewidywalny do granic możliwości. Byłem albo w szkole, albo w Domu. Przyspieszyłem z nadzieją, że

prędkość złagodzi ostry ból w klatce piersiowej. Schrząniłem całą sprawę przez samo swoje pojawienie się na świecie. Kusząca była myśl, żeby to wszystko zakończyć. Żeby skrócić cierpienie innych.

Równie kuszące wydawało się doprowadzenie do końca tej cholernej maskarady i wylanie z siebie wszystkich żalów. W tej chwili wygadałbym się nawet Lisie, ale ona była zbyt blisko całej tej sytuacji. Jak nic by się rozplakała, a ja nie mogłem patrzeć na jej łzy. Małe sprostowanie, nie mogłem patrzeć na łzy żadnej dziewczyny. Ostatnim razem, gdy Kiersten się rozkleiła, chciałem przeprowadzić pieprzoną transplantację serca, żeby już nigdy nie cierpiała. W końcu czym było jedno złamane serce więcej, kiedy twoje własne znajdowało się w kompletnej rozsypce?

W miarę, jak zbliżałem się do wody, wilgotne powietrze coraz mocniej wgryzało się w skórzaną kurtkę. Dojeżdżając do Pacific Northwest Group Home, zwolniłem i zaparkowałem tam, gdzie zawsze.

Dawny szpital pod koniec lat pięćdziesiątych został przekształcony w dom opieki i przylegający do niego dom emeryta. Nieco później stworzono tu supernowoczesne centrum leczenia pacjentów z uszkodzeniami mózgu. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżałem, ogarniały mnie te same uczucia. Przerazenie, smutek, zmieszanie i poczucie winy.

Na szczęście pomalowane na biało drewniane budynki kojarzyły się raczej z uroczymi chatkami nad brzegiem

jeziora niż z tym, czym naprawdę były.

Z jakiegoś powodu chciałem odwlec w czasie to, co nieuniknione. Nogi miałem jak z ołowiu, kiedy krok za krokiem wlokłem się w stronę drzwi. Od operacji Wesa wszystko wyglądało... inaczej. A może to ja się zmieniłem? Cokolwiek to było, nie potrafiłem sobie z tym poradzić.

Zmierzałem w stronę głównego budynku – centrum leczenia – szykując się na wstrząs. Pierwsze kroki były zawsze najgorsze.

– Gabe! – Marta odetchnęła z ulgą, przyciskając do piersi podkładkę do pisania. – Wiem, że to nie jest dzień odwiedzin, ale...

– W porządku! – Uśmiechnąłem się, choć tak naprawdę miałem ochotę odwrócić się na pięcie, znaleźć się znów przy motocyklu i się rozplakać. Byłem tu pięć dni w tygodniu. Można pomyśleć, że wystarczająco często. Ale od jakiegoś czasu nic nie załatwiało sprawy, nawet gdybym siedział tu dwadzieścia cztery godziny na dobę, codziennie. Jej stan się pogarszał. I to była moja wina. Marta poklepała mnie po ręce.

Ach, współczucie. Doskonale. Odchrząknąłem i zmusiłem się do szerszego uśmiechu.

– Świetnie wyglądasz. Schudłaś?

Niezły bajer, Gabe. Faktycznie powinieneś przystawiać się do starszych babek, bo wszyscy wiedzą, że to pomaga.

– Prawdziwy dżentelmen, nie ma co. – Kuksnęła mnie

w żebra, kiedy otoczyłem ją ramieniem i uścisnąłem. –

Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie znajdziesz sobie miłej młodej dziewczyny i się nie ustatkujesz.

Czułem, jak moje ciało tężeje.

Czyżby jeszcze nie wiedziała, że dla mnie byłby to gwóźdź do trumny? Ustatkować się i w końcu... zapomnieć.

– No cóż – zbyłem tę uwagę śmiechem. – Większość dziewczyn w moim wieku ma jeszcze pstro w głowie. Ja wolę starsze kobiety. Znasz jakąś w fartuchu pielęgniarki, która dałaby się uwieść?

– Ach, ty. – Uderzyła mnie trzymaną podkładką. – Mogłabym być twoją babcią.

– A więc pomyślisz o tym? – Pocałowałem ją w policzek.

– Nie mówię, że nie. – Mrugnęła do mnie. – Oto i ona. Pielęgniarki w końcu ją uspokoiły grą w warcaby.

– Niech zgadnę, ogrywa wszystkich.

– Wygląda na to, że jedynym sposobem, żeby ją uspokoić, jest rywalizacja. – Marta wzruszyła ramionami i wręczyła mi podkładkę. – Pamiętaj, żeby podpisać, zanim wyjdiesz.

– Nie ma problemu – odparłem.

Pielęgniarki i pracownicy centrum spieszyli w różnych kierunkach, oddając się swoim codziennym obowiązkom. Marta wróciła za biurko, a ja ruszyłem długim korytarzem w stronę świetlicy. Minąłem ochroniarzy. Dwaj mężczyźni pozdrowili mnie

skinieniem głowy – dobrze, w końcu ich opłacałem – i otworzyli przede mną drzwi.

Śmiech odbijał się od ścian pokoju.

Jej śmiech.

Uśmiechnąłem się, choć tak naprawdę czułem się podle i zaczynałem się pocić. Czy kiedykolwiek miałem opory przed odwiedzeniem jej albo innych pacjentów? Odeгнаłem od siebie podobne myśli, zanim ciężkie metalowe drzwi zamknęły się za moimi plecami.

– Gabe! – Staruszek Henry podjechał do mnie na wózku i wyciągnął rękę na powitanie. – Nie wiedziałem, że zaszczycisz nas dziś swoją obecnością!

– Uważaj się za szczęściarza. – Przywitałem się z nim i sięgnąłem do kieszeni po ciążutkę. – Ćśśś, tylko nie mów Marcie.

– Ta kobieta w poprzednim życiu była instruktorem musztry. – Henry pokręcił głową. – Ostatnim razem, kiedy przyłapała mnie z puddingiem, miałem dyżur w łazience! W moim stanie! – Mówiąc to, wskazał na nogi. Były przypięte pasami do wózka, żeby nie stracił równowagi i się nie przewrócił. Wypadek na farmie omal go nie zabił, ale staruszek nawet po nim udzielał się w centrum jako wolontariusz. Po śmierci żony postanowił zamieszkać w domu emeryta – niestety Marta była siostrą przełożoną w obu budynkach i uprzedziła kucharki, żeby nie dawały mu słodczy. Biedaczysko.

– Hej, Gabe! – Sara wpadła mi w ramiona. Biegając do mnie, mało nie potknęła się o wózek Henry’ego. Była

w moim wieku, ale od wypadku miała kłopoty z pamięcią. Mimo to z jakiegoś powodu pamiętała moje imię. Może dlatego, że byłem jedynym stałym punktem w jej życiu.

Z bólem serca odsunąłem ją od siebie i pocałowałem w policzek.

– Obróć się, Saro. Niech no zobaczą tę sukienkę.

Roześmiała się i zrobiła, o co ją prosiłem, a zaraz potem wróciła do stolika w odległym kącie pokoju. Wiedziałem, że będzie cierpliwie czekała, aż do niej podejść.

– Henry. – Zasalutowałem staruszkowi i ruszyłem w stronę stolika.

– Parker. – Stłumiony głos mało nie rzucił mnie na kolana.

Postanowiłem sobie, że będę silny, ale z wizyty na wizytę było mi coraz trudniej dotrzymać obietnicy. Patrząc na nią, przypominałem sobie każdy błąd, który popełniłem w życiu, każdy zły wybór, którego dokonałem.

Była chudsza, niż gdy widziałem ją w ubiegłym tygodniu. Jasne włosy spięła z tyłu głowy różową gumką i miała na sobie swoją ulubioną bluzę z logo Oregon Ducks ¹.

Kolejny zły znak.

Zakładała bluzy tylko wtedy, gdy miała naprawdę kiepski dzień.

Sękałem w tym, że miała złe dni nieprzerwanie od dwóch

tygodni.

Gdy pytałem lekarzy, co się dzieje, kręcili tylko głowami i powtarzali, że kondycja ludzka pozostaje zagadką. Stan jej zdrowia się pogarszał, a oni nie mieli pojęcia dlaczego. Dwukrotnie miała zapalenie płuc i trzeba było przypinać jej ciało pasami, żeby ją zaintubować.

Za drugim razem bez końca wołała moje imię. Zostałem wtedy na noc i modliłem się, żeby Bóg zabrał ją do siebie. Choć cierpiałybym jak cholera, chciałem, żeby umarła.

Patrzenie na jej męczarnię było jak modlenie się przed snem, żeby po przebudzeniu wszystko wyglądało lepiej. Całe życie słyszałem, że po przespanej nocy nawet największe problemy nie wydają się już takie straszne.

U mnie to nie działało.

Bo teraz, kiedy się budziłem, wszystko wyglądało gorzej, niż kiedy kładłem się spać.

– Księżniczko? – Uklęknąłem przy jej wózku i wziąłem ją za rękę. Była sparaliżowana od szyi w dół, więc nie czuła ciepła mojej skóry, ale i tak to robiłem.

Kiedy raz zapomniałem, pomyślała, że jestem na nią zły. Zapytałem wówczas, czy w ogóle coś czuje, a ona odparła, że nie, ale że wciąż ma sprawne oczy. Roześmiałem się w odpowiedzi, chwyciłem ją za rękę i obiecałem, że nigdy jej nie puszczę.

– Nie było cię tu, Park. – Rozchyliła usta, nieznacznie

wysuwając dolną szczękę. A więc była nadąsana. Pięknie.

O tym właśnie mówiłem. Robiłem co, do mnie należało, codziennie spędzałem tu od trzydziestu minut do godziny. Ale jej to nie wystarczało. Zapominała o moich odwiedzinach, więc musiałem dzwonić do niej w nocy. To się zaczęło miesiąc temu i nic nie wskazywało na możliwość poprawy.

– W ostatnich miesiącach miałem dużo zajęć – skłamałem. Wierzyłem, że lepiej będzie wymyślić jakąś historyjkę, niż tłumaczyć jej, że przez ostatnie cztery lata byłem do niej przyssany jak jakaś pieprzona pijawka i że powoli zaczynałem się dusić. I tak by nie zrozumiała. To by ją tylko zraniło, a sprawiłem jej już wystarczająco dużo bólu.

– Och. – Jej puste niebieskie oczy zdradzały, że połknęła haczyk. – Cóż, skoro już tu jesteś, możemy w coś zagrać? – Pustka zniknęła, zastąpiona radosnym podnieceniem.

– Pewnie. – Usiadłem obok niej i spojrzałem na stół. – W co gramy?

– Hmm... – Uśmiechnęła się promiennie. – Może w „Zgadnij, kto to”?

– Świetnie. – Sięgałem właśnie po planszę, kiedy zadzwonił mój telefon.

Niewiele myśląc, wstałem od stolika, żeby go odebrać. Zapomniałem, jak bardzo Księżniczka nie lubiła, gdy nam przeszkadzano.

– Żadnych telefonów, Park! Żadnych TELEFONÓW!
– zawodziła, kiwając głową w przód i w tył. –
Obiecałeś, PARKER, obiecałeś mi! Obiecałeś! – Jej
szlochanie zaalarmowało pielęgniarki, które ruszyły
w naszą stronę.

Jasna cholera.

– Przepraszam, Kim... Zapomniałem. Ja...

– To nie jest moje imię! – wrzeszczała. – Mam na
imię Księżniczka!

– Tak, masz rację – westchnąłem, sięgając po gitarę
i gestem zatrzymując pielęgniarki. Wiedziałem, że ich
obecność tylko pogorszy sytuację. – Może zagram ci
piosenkę?

Przestała krzyczeć, ale jej usta drżały.

– Zagraj naszą piosenkę, Park. Proszę.

– Oczywiście, Księżniczko. Zagram naszą piosenkę.

Jeszcze chwila i bym ześwirował. Trąciwszy struny,
zacząłem śpiewać. Księżniczka zachichotała
i zawtórowała mi.

Kiedyś miała piękny głos. Ale ten głos, podobnie jak
wszystko inne, został jej odebrany. Przez osobę, która
obiecywała, że nic nigdy jej się nie stanie.

Poczułem silny ucisk w żołądku. Nie byłem pewien,
ile jeszcze wytrzymam. Ale musiałem spróbować.
Musiałem to zrobić dla niej, bo złamałem każdą
obietnicę, którą jej złożyłem. Przysiągłem, że będę ją
chronić, że ją ocalę. To straszne, że jedyna osoba, która
obiecuje ci życie, przynosi śmierć.

1. Oregon Ducks – nazwa odnosi się do drużyn sportowych podlegających Uniwersytetowi Stanu Oregon. [\[wróć\]](#)

Rozdział 8

*Nie mogłam przestać o nim myśleć,
co sama uznawałam za idiotyczne.
Śniłam o głupich nutach, które miał
wytatuowane na kłykciach, i o tym
niedorzecznym pocałunku. Bardziej
niż czegokolwiek potrzebowałam
wybawienia, skoro śniłam o diable
i czekałam na sen, żeby znowu móc
go zobaczyć. – Saylor*

Saylor

Minęły dwa dni od mojego spotkania z Panem Błękitnookim, zwanym inaczej Dupkiem. Powoli zaczynałam wierzyć, że nie należał do rzeczywistego świata. To znaczy, cudownie grał na pianinie, ale nie było go wśród studentów. Nie to, żebym bezwstydnie wypatrywała go na zajęciach.

Albo próbowała odnaleźć go na Facebooku.

Albo rozpytywała o niego w dziekanacie.

Byłam ciekawa. To wszystko.

Poza tym nie pojawiał się w budynku mojego wydziału.

Ja sama przebywałam tam dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Super. Czy naprawdę ćwiczyłam aż tak ciężko, że miałam już halucynacje?

Kręcąc głową, ruszyłam korytarzem w stronę sali ćwiczeń. A jeśli przyszedłabym tu dokładnie o tej samej porze, co kilka dni temu? Czy to źle, że miałam nadzieję, iż znowu usłyszę tamtą melodię? Tylko w tym czasie mogłam ćwiczyć, tylko o tej porze mogłam wygospodarować wolną chwilę w swoim napiętym grafiku.

Chłopak, którego spotkałam, mógł być diabłem wcielonym – i sądząc po tym, jak się zachowywał, pewnie nim był – ale wystarczyło, że usłyszałam, jak grał, i byłam gotowa zrobić wszystko, co mi rozkaże. Dlatego muzycy byli tak niebezpieczni. Sprawiali, że człowiek się zapominał, zatracając własne jestestwo. Byli współczesnymi syrenami, z darem w postaci potężnej siły perswazji. Zwyczajni ludzie mogli tylko dać się omamić. Jeszcze gorszy los przypadł w udziale kolegom muzykom. Ci ostatni bowiem, jak nikt inny, potrafili docenić talent i umiejętności. I nie chodziło o to, że coś „brzmi dobrze”, ale o życie, które rodziło się na kilka sekund z połączenia nut. Na samą myśl o tym zadrżałam.

Zastanawiałam się, czy ktokolwiek powiedział mu, jak cudownie gra na pianinie. Dałabym się pokroić za taki talent. Moje małe, chciwe, muzyczne serce marzyło

o tym, żeby siedzieć z nim w jednym pokoju i rozkoszować się chwilą.

– Chryste, Saylor – mruknięłam pod nosem. – Weź się w garść. Skup się. Ćwicz. Skończ studia. – Kiwając głową, powtarzałam swoją mantrę.

I wtedy usłyszałam śpiew.

Melodia wydawała się znajoma. Nadstawiłam uszu. Ktoś śpiewał o zmarnowanym życiu, o błędach, które popełnił, i o tym, że odszedł od ukochanej osoby. Doskonałość tego wykonania sprawiła, że oddech uwiązał mi w gardle. Parachute zawsze byli jedną z moich ulubionych kapel.

Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy niepewnym krokiem szłam w stronę sali ćwiczeń.

Siedział przy pianinie. To musiał być on. Jego place tańczyły na klawiszach, jakby był potomkiem samego Mozarta. Nigdy w życiu nie słyszałam, żeby ktoś tak śpiewał. Głos miał szczery i przenikliwy, a ból, który dobywał się z jego ust, sprawiał, że z jakiegoś powodu zebrało mi się na płacz.

Westchnęłam, kiedy przestał grać. Wtedy nagle, nie wiedzieć czemu, zaczął walić w klawisze, jakby chciał skrzywdzić instrument, jakby piosenka działała mu na nerwy, podobnie jak cały świat.

Bez zastanowienia otworzyłam drzwi.

– Chyba nie powinieneś niszczyć szkolnego mienia. – Kim byłam? Służbą obrony pianina? Myślałam, że spalę się ze wstydu. Drzwi zatrzasnęły się za moimi

plecami, zabierając ze sobą całe powietrze.

Jego ręce zawisły nad klawiaturą. Zaklął pod nosem i odwrócił się w moją stronę, jednak jego wzrok przeszedł przeze mnie. Niebieskie oczy były zimne jak lód. Powoli wstał i ruszył w moim kierunku.

– I co teraz zrobisz, dziewczynko? Doniesiesz na mnie?

– Tak – odparłam pewnym siebie, stanowczym głosem. – Jeśli chcesz się bić, wybierz przynajmniej takiego rywala, który będzie w stanie ci oddać. –

W gadaniu bzdur byłam bezkonkurencyjna. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Może wolę, żeby nikt mi nie oddawał – warknął.

– Skoro jesteś taki wściekły, to kłopoty są ostatnią rzeczą, jakiej ci trzeba. Tylko spotęgują twoją złość.

– Mówi Panna Idealna – burknął. – Powiedz, to czysta ciekawość, czy rzeczywiście mnie prześladujesz? Masz ochotę skorzystać z mojej propozycji?

– Propozycji?

Pochylił się w moją stronę i uśmiechnął krzywo.

– Obiecałem przyprawić o rumieniec twojego kucyka. Czułam, że się czerwienię, i wbiłam wzrok w podłogę.

– A więc jednak masz ochotę skorzystać z mojej propozycji. – Uśmiechnął się szerzej i przycisnął mnie do drzwi. – Może dzięki temu będziesz grała lepiej.

– Nie potrzebuję pomocy – mruknęłam, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Namiętność. – Zignorował moje słowa. Był tak blisko, że czułam na sobie jego zapach. – Muzyka i namiętność są nierozłączne. Tobie brakuje jednego i drugiego.

Wzdrygnęłam się, jakby uderzył mnie w twarz. Próbowałam go odepchnąć, ale on nie zamierzał się odsuwać.

– Jestem świetnym nauczycielem.

– Nie wątpię. Ale nie interesują mnie przygody na jedną noc.

– Czyżby? – Przesunął ręką po moim ramieniu, wprawiając mnie w drżenie. – Twoje ciało mówi coś zupełnie innego.

Jego zęby delikatnie skubnęły płatek mojego ucha i szyję. Moje ciało samo wygięło się w jego stronę. Nie zdawałam sobie sprawy, że tulę się do niego, aż do chwili, gdy było już za późno. Jego chichot powinien był mnie rozwścieczyć. Tymczasem miałam ochotę wyciągnąć rękę i odwzajemnić jego pieśczoć.

Widzicie? Był jak przeklęta syrena!

Jego usta odnalazły moje i sprawiły, że się zatraciłam. Oszukasz mnie raz – wstydz się. Oszukasz mnie po raz drugi... No cóż, to już ja powinnam się wstydzić...

Nigdy nie byłam jedną z tych dziewczyn, które całują się z nieznanymi. Poważnie. I naprawdę mam w pokoju fioletowego kuczka.

Nasze języki się spotkały. Jęknęłam, czując jego

dłonie gwałtownie wsuwające się pod moją bluzkę. Pachniał mydłem i przyprawami. Zrzuciłam mu ręce na szyję.

Cofnął się, oczy mu błyszczały.

– Zrobimy to tu?

– C-c-co? – Zmieszana rozejrzałam się po pokoju. O czym on mówił? Wytarłam dłonie w dzinsy i odsunęłam się od niego.

Jego kpiarski śmiech odbił się echem od ścian sali.

– Pytałem, czy zrobimy to tu. A może masz jakieś inne miejsce, w którym chciałabyś przeżyć swój pierwszy raz? Zwykle nie pomagam desperatom, ale dla ciebie jestem gotowy zrobić wyjątek.

Cofnęłam się, łzy paliły mnie w gardle. Zamachnęłam się, ale złapał moją rękę w powietrzu.

– Spokojnie... przecież to ja muszę nauczyć się panować nad złością. – Mówiąc to, puścił do mnie oko.

– Miło było się z tobą zabawić, Świeżynko, ale jeśli nie chcesz tego ciągnąć, marnujesz tylko mój czas. A ja naprawdę... – Jego oczy pociemniały. – Naprawdę przykładam wagę do tego, co robię w wolnym czasie.

– Myślę, że mogłabym cię znienawidzić – rzuciłam.

– Nienawiść to dobre uczucie. – W końcu mnie puścił.

– Przepelnij swoje serce nienawiścią, to może nie będziesz tak cierpieć. Zawsze to powtarzam. –

Uśmiechnął się smutno i zrobił krok do tyłu. – Wykorzystaj ją.

– C-c-co? – Wciąż miałam zawroty głowy.

– Nienawiść. Wykorzystaj ją, kiedy będziesz grała.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim coś mądrego przyszło mi do głowy, on był już w połowie korytarza.

Na końcu zatrzymał się jeszcze i krzyknął:

– Przeszkodź mi jeszcze raz, a potraktuję to jako zaproszenie. Wierz mi, nie chciałabyś tego doświadczyć, zwłaszcza że podobno mnie nienawidzisz.

Odetchnęłam, dopiero kiedy zniknął za rogiem. Wyglądało na to, że zupełnie straciłam rozum. Usta mrowiły mnie od pocałunku. Powinnam była uciec. Spoliczkować go! A zamiast tego pozwoliłam mu się obmacywać... znowu.

Wszystko przez to, że byłam zestresowana. Zestresowana i przepracowana. W dodatku, gdy po raz drugi w tym tygodniu próbowałam wymówić się od wykonania pracy na seminarium dla pierwszoroczników, mój profesor ponownie zagroził mi trudnościami.

Będę musiała ćwiczyć wieczorami, jeśli mój występ na koniec roku ma zrobić wrażenie na wykładowcach. Od tego, jak wypadnę, zależało moje stypendium.

Musiałam przekonać profesorów, że zasługuję na specjalne traktowanie.

Próbując wyrzucić z głowy myśli o nieznanym, postanowiłam, że zostanę w tym samym pokoju, w którym jeszcze chwilę temu grał na pianinie. W końcu i tak już tu byłam, a nic nie wskazywało na to, żeby miał

wrócić.

Może udzieli mi się jego talent?

Nie potrafiłam tak grać.

Moje umiejętności nie wypływały ze mnie naturalnie.

Były wyuczone.

Stracić kontrolę, tak jak on? Pozwolić muzyce decydować o tym, co i kiedy będzie się działo – ja tak nie potrafiłam. Brakowało mi pasji.

Wykładowcy powtarzali, że moja gra jest idealna, ale zimna.

Jeśli ja byłam zimna, on był żywym ogniem.

Dwie godziny. Miałam dwie godziny na to, żeby poćwiczyć, zanim spotkam się z koleżanką z grupy, żeby omówić szczegóły projektu na zaliczenie zajęć.

Położyłam nuty na pianinie i skupiłam się na klawiszach. Dotyk kości słoniowej wywołał w moich palcach przyjemne mrowienie – poczułam je, gdy pomyślałam o jego dłoniach.

Chociaż raz w życiu chciałam zaznać wolności.

Coś mi jednak mówiło, że chłopak, który był tu przed chwilą, wcale nie był wolny. Znalazł się w potrzasku i sądząc po tym, co i jak śpiewał, znalazł się w nim na własne życzenie.

Rozdział 9

*Muzyka to życie – może dlatego
rozstałem się z nią na tak długo.
Czułem, że nie zasługuję już na to,
żeby żyć. – Gabe H.*

Gabe

Oparłem się o ścianę, gdy muzyka cichymi dźwiękami wylała się z pokoju na korytarz.

Była doskonała.

Jej wyczucie czasu.

Sposób, w jaki dźwięki zlewały się ze sobą.

A mimo to nic nie czułem.

W końcu przyszedł więc moment, kiedy muzyka nie budziła we mnie żadnych uczuć. Chciałem znienawidzić ją za to, że mi przerwała, za to, że robiła mi wymówki, za to, że była tak irytująca, a jednocześnie taka śliczna.

Za to, że była jedną z tych dziewczyn, które naprawdę mnie fascynowały.

Miała słodki smak. Całowanie jej było ogromnym błędem. Czułem, że jej usta będą mnie prześladować.

Ostatni raz pocałunek obudził we mnie emocje cztery

lata temu i ta bajka nie miała szczęśliwego zakończenia.

Jej żywiołowość przypominała mi Kiersten.

Świetnie, właśnie tego było mi trzeba... Pożądania narzeczonej swojego najlepszego kumpla.

Przez godzinę stałem na korytarzu. Słuchałem kolejnych utworów, z których każdy był zagrany perfekcyjnie, ale bez emocji.

Z jakiegoś powodu napełniło mnie to smutkiem.

Muzyka nie była muzyką, jeśli tworząc ją, człowiek nie obnażał swojej duszy, jeśli jego serce nie rosło albo nie pękało.

A serce tej dziewczyny... nie wyrażało niczego.

Ale kim byłem, żeby ją oceniać? Użyłbym pianina jako rozpałki, gdyby mi nie przeszkodziła.

Z westchnieniem oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy. A gdyby tak... Cholera, nienawidziłem tych trzech słów.

– Zgubiłeś się? – spytał kobięcy głos.

Otworzyłem oczy. Dziewczyna o wyglądzie nastolatki patrzyła na mnie jak na ducha minionych świąt. Z rozdziawionymi ustami wodziła wzrokiem po mojej szyi i ramionach. Tak, chyba rzeczywiście nie przypominałem studenta wydziału muzyki.

– Nie – odparłem uprzejmie i na powrót zamknąłem oczy.

– Wyglądasz znajomo.

Otworzywszy oczy, spostrzegłem, że zaczyna uświadamiać sobie, z kim ma do czynienia.

– Muszę lecieć. – Odepchnąłem się od ściany.

– Zaczekaj! Czy ktoś ci kiedyś mówił, żeby wyglądasz jak...

– Adam Levine? – dokończyłem za nią. – Na okrągło słyszę te bzdury. Cześć.

Mało brakowało. Naprawdę mało. Wybiegłem z budynku, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby spojrzeć na swoje odbicie w szybie.

A niech to.

Włosy znowu mi pojaśniały. Jak mogłem tego nie dostrzec? Robiłem się nieuważny, leniwy.

A przecież od utrzymania mojego sekretu zależało całe moje życie.

Zanotowałem w pamięci, żeby zajrzeć do drogerii i kupić farbę do włosów.

Facet z rudawozłotymi włosami i roześmianymi oczami zniknął. Zastąpił go oszust – odbicie tego, co czułem w głębi duszy.

Mroku.

Pustki.

Rozdział 10

*Pieprzony Ashtonie Hydzie, jak ja
cię nienawidzę! Moja
współlokatorka, dowiedziawszy się
o mojej obsesji, oblepiła ściany
wizerunkami jego przystojnej
twarzy. No dobra, mogło być
gorzej. Chrzanić jego niebieskie
oczy. – Saylor*

Saylor

We wtorek padałam z nóg. Wieczorne ćwiczenia zaczynały dawać mi się we znaki, poza tym nie mogłam przestać myśleć o Seksownym Nieznajomym. Tak, oficjalnie zaczęłam nazywać go Seksownym Nieznajomym.

Boże.

Wracałam do akademików. Obiecałam dziewczynie, z którą miałam przygotować pewien projekt na zaliczenie, że wpadnę do niej pogadać o szczegółach. Widziałam ją tylko raz w życiu, ale wydawała się naprawdę miłą. Poza tym nie wyglądała na taką, za którą

trzeba będzie odwalać całą robotę.

Szłam ze spuszczoną głową, mijając po drodze kolejnych ludzi. Bycie duszą towarzystwa nie należało do moich życiowych priorytetów. Poza tym nigdy nie wiedziałam, jak się zachować, gdy czułam na sobie wzrok innych. Uśmiechnąć się? Pomachać na powitanie? Sytuacja wydawała mi się niezręczna. No i jeszcze te spotkania na korytarzu. Poważnie. Co zrobić, jeśli mijasz się z kimś na pustym korytarzu? Do ostatniej chwili udajecie, że zwracacie uwagę na wszystko inne poza sobą, i nagle, w ostatniej sekundzie rzucacie: „O, hej, nie zauważyłam cię. Co słyhać?”. Jakie to beznadziejne.

Szarpnęłam drzwi do budynku, zatoczyłam się i wpadłam na coś wielkiego.

– Spokojnie. – Usłyszałam za plecami rozbawiony męski głos. Ktoś chwycił mnie za ramiona. – Nic ci nie jest?

Pokiwałam głową i odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto uchronił mnie przed upadkiem i wstrząśnieniem mózgu. Traf chciał, że moim wybawcą okazał się Bóg Futbolu, Wes Michels we własnej osobie.

Oto jak okrutne bywa życie. Jakbym w ciągu ostatnich trzech dni mało miała żenujących sytuacji.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, dotknęłam więc skroni i udając, że zakreśliło mi się w głowie, bąknęłam cichutko, niczym trzylątka:

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Wzruszył ramionami i otworzył przede mną drzwi.

Minęłam go i skierowałam się prosto do windy.

Podążył w tę samą stronę.

Wcisnęłam przycisk.

Wszedł za mną.

Stałam w kącie i czekałam, aż winda się zatrzyma. Z chwilą, gdy drzwi się rozsunęły, omal nie zderzyłam się z kolejną osobą, która obładowana podręcznikami wsiadała do windy. Na szczęście udało mi się ją ominąć i bez słowa pospieszyłam do pokoju 226.

Z torbą w garści uniosłam drugą rękę, żeby zapukać do drzwi. I wtedy usłyszałam za plecami ten sam głos.

– Jesteś przyjaciółką Gabe’a?

– Kogo? – Odwróciłam się. – Mieszka tu jakiś Gabe?

– Drżącą dłonią wyjęłam skrawek papieru z danymi kontaktowymi Lisy. – Właściwie szukam Lisy. Chodzimy na te same zajęcia z biznesu i przygotowujemy razem pewien projekt na zaliczenie... Ale bywam strasznie roztargniona, więc może lepiej wysłę jej wiadomość i sprawdzę, czy nie zapisałam złego numeru, i...

– Jejku! – Weston uniósł ręce. – Nie miałem zamiaru cię wystraszyć! Lisa tu mieszka, ale raczej nie usłyszy, jak pukasz, bo podczas wtorkowego taco puszcza meksykańską muzykę tak głośno, że cały akademik się skarży.

– Wtorkowe taco? – powtórzyłam.

– Sama zobaczysz – westchnął, wyciągnął rękę i pchnięciem otworzył drzwi. – Lisa! – ryknął, jak na futbolistę przystało.

Skrzywiłam się, gdy zaczęło mi dzwonić w uszach.

– Co?! – odkrzyknęła Lisa gdzieś z głębi mieszkania.

Miał rację, muzyka grała na cały regulator. Latynoskie rytmy w połączeniu z wrzaskiem Westona sprawiły, że nie słyszałam nawet własnych myśli.

– Ktoś do ciebie! – wydarł się w momencie, gdy z jednego z pokoi wyszła jakaś dziewczyna.

Od razu ją rozpoznałam. Kiersten – narzeczona Boga Futbolu. Człowiek musiałyby mieszkać na innej planecie, żeby nie znać ich historii.

On walczy z rakiem, ona walczy o niego. On oświadcza się jej podczas meczu i wiecie co? Zostaje cudownie uzdrowiony. Byli jak bohaterowie dramatu ze szczęśliwym zakończeniem.

– Ooo, jesteś przyjaciółką Gabe’a? – Kiersten spojrzała na mnie z rozbawieniem, a zaraz potem przytuliła się do Wesa, który pocałował ją w czubek głowy i zaczął bawić się kosmykiem jej rudych włosów.

– Kim jest Gabe? – spytałam po raz kolejny.

– Głupi okres posuchy! – wrzasnęła Lisa. Jej głos dobiegał z kuchni, ale wciąż jeszcze jej nie widziałam.

– Coś mi umknęło? – spytałam najgłośniej jak mogłam, czyli niezbyt głośno.

– To cholerny wybór! – Usłyszałam za plecami jeszcze donośniejszy męski głos.

Mogłabym przysiąc, że włoski na rękach stanęły mi dęba, gdy odwracałam się powoli, prosząc w duchu, żebym się myliła.

– To ty! – krzyknęliśmy jednocześnie.

Upuściłam torbę i uniosłam rękę, jakbym chwilę temu została napadnięta i zamierzała rzucić się na swojego oprawcę, podczas gdy tak naprawdę każde nasze spotkanie miało wręcz przeciwne zakończenie.

Gabe chwycił mnie za nadgarstki i rozciągnął usta w uśmiechu.

– Wróciłaś po więcej?

Mrok zniknął.

Kim był ten oszust? Wydawał się taki... szczęśliwy. A przecież za każdym razem, gdy go spotykałam, zachowywał się, jakby miał na czole wypisane: „Uwaga, jestem skory do kłótni”.

Pokręciłam głową zaskoczona. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i zabębnił palcami po moich nadgarstkach.

– Gabe! – krzyknęła Lisa. – Puść moją koleżankę ze studiów albo wleję ci do tacos kropli żołądkowych!

– I co by to dało? – odezwał się zza moich pleców Weston.

Lisa ściszyła muzykę i odciągnęła mnie od Gabe’a.

– A więc... – Uraczyła nas uśmiechem od ucha do ucha. – Rozumiem, że się znacie?

– On na mnie napadł! – wrzasnęłam.

– Ona mnie prześladuje! – krzyknął w tej samej chwili

Gabe.

– Darujcie sobie te sceny – rzucił rozbawiony Wes. – Dramat, który odstawia Gabe, jest dużo lepszy. – Usiadł na oparciu sofy i uśmiechnął się znacząco.

Zmrużyłam oczy, ręce mi drżały. Ktoś powinien przywalić temu facetowi. Lisa położyła mi rękę na ramieniu, a Gabe odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

Znowu? Koleś cierpiał na rozszczepienie osobowości czy co? Czy ci ludzie wiedzieli, że ich kumpel jest niezrównoważony emocjonalnie? A jeśli nie wiedzieli, czy powinnam ich uświadomić? Żeby nie zadźgał ich, gdy będą spali, bo nagle opuści go dobry humor i znowu się wścieknie?

– Klasyka – rzucił. Zatrzepotał swoimi beznadziejnie długimi rękami, jakby chciał ze mnie zakpić. – Jesteś też nową nauczycielką Lisy? Powiedz mi, wirtuozko pianina, czy świat nie zmęczył się jeszcze twoimi dobrymi uczynkami?

No i proszę, znowu się zaczęło. A już zaczynałam się niepokoić.

– Dość tego. – Lisa szarpnęła go za ucho.

– O co ci chodzi, do cholery? – Skrzywił się, przebierając nogami.

Puściła go i tupnęła.

– Nowy rozdział. Przestałeś być dupkiem, pamiętasz?

– Ale on przecież nigdy nie był dupkiem – broniła Gabe’a Kiersten.

Powoli odwróciłam głowę, żeby zobaczyć jej minę. Powiedziała to z takim przekonaniem, jakby naprawdę wierzyła, że koleś nie jest totalnym palantem. No dobra, miał talent i był seksowny, ale wciąż był dupkiem. Miał umiejętności, ale... Chyba powinnam przestać dyskutować sama ze sobą, zanim pęknie mi głowa.

Gabe ułożył palce w serduszko i przycisnął je do piersi.

– Kocham cię, Kiersten.

– To nie twoja dziewczyna – upomniał go Wes.

– To jakaś ukryta kamera czy co? – Wyrzuciłam ręce w powietrze. – Wszyscy jesteście walnięci. Wiecie o tym, prawda? Przyszłam tu do Lisy, nie do Gabe’a. Jego znam tylko z sali prób.

– Boże! Ćwiczysz do wiosennego musicalu? – spytała Kiersten.

– Eee... – Gabe oblizał usta.

– Chwileczkę, z jakiej sali prób? – spytała Lisa. – Gabe, zacząłeś znowu grać?

– Znowu? – Kiersten patrzyła to na Lisę, to na Gabe’a. – Jak to znowu?

– Dzięki, grupie, poważnie. Cudownie. Chyba miałem rację. Jesteś skarżypytą. Ups, zobacz, która godzina – rzucił, patrząc na zegarek. – Lepiej wracaj do domu, żebyś o dziewiętnastej była już w łóżeczku i pozwoliła swojej współlokatorce zapleść sobie włosy. No i nie zapomnij umyć zębów i zmówić paciorka.

– Nie rozsiewasz przypadkiem jakiegoś syfu? –

Zadarłam głowę, jakby jego złośliwości nie robiły na mnie wrażenia.

Odepchnął się od ściany.

– A co, reflektujesz?

– Żółwiku! – krzyknęła Lisa i znowu tupnęła nogą.

W pokoju zapadła cisza.

Mało nie zakrztusiłam się ze śmiechu.

– Żółwiku? Poważnie?

Gabe przewrócił oczami i potarł grzbiet nosa, jakby każde moje słowo przyprawiało go o ból głowy.

– Przepraszam, Gabe – szepnęła Lisa i wytarła ręce w fartuszek z papryczką jalapeño. – Zdążyłam już wypić margaritę.

– Od cukru głupiejesz – skwitował Gabe, splatając ręce na piersi. – I tak – zwrócił się do mnie – mam taką ksywkę. A co? Lubisz ksywki i przebieranki? To cię kręci?

– Ejże, Gabe. – Kiersten podeszła do nas i podniosła ręce w pokojowym geście. – Pozwolisz, że ci przerwę, zanim zrobisz z siebie kompletnego idiotę. Powtarzaj za mną: Cześć... – zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie. – Jak masz na imię?

– Saylor.

– Cześć, Saylor. Miło cię poznać. Mam na imię Gabe i przysięgam, że nie jestem takim dupkiem, na jakiego wyglądam. Obiecuję, że będę trzymał swojego małego w spodniach, i przysięgam, że jeśli jeszcze raz cię zaatakuję, Kiersten będzie mogła wykastrować mnie we

śnie.

Gabe rzucił jej gniewne spojrzenie, ale wyciągnął rękę.

– Saylor, miło mi cię poznać – bąknął przez zaciśnięte zęby.

Nigdy w życiu nie widziałam faceta z taką ilością tatuaży i kolczyków i nie sądziłam, że to może być aż tak seksowne, ale było. I miałam ochotę go za to znienawidzić.

W przeciwnym razie musiałabym przyznać, że strasznie mnie to kręci.

Kilkudniowy zarost był niebezpiecznie atrakcyjny dla każdej kobiety, która miała dobry wzrok. Jego delikatnie kręcone, ciemne niczym grzech włosy sięgały brody, nadając mu wygląd przeklętego pirata. Szyję oplatał tatuaż, który ginął pod materiałem koszulki. Jak urzeczona wpatrywałam się we wzory na jego umięśnionych ramionach i przedramionach. Prawą rękę przykrywało coś w rodzaju tekstu, a na lewej dostrzegłam kilka ptaków, nuty i krzyż – wszystko razem tworzyło jedną całość. Takie połączenie powinno wyglądać nedorzecznie, a tymczasem było seksowne. Niech to szlag. Zwykle nie przeklinam, ale przez niego miałam ochotę kląć jak szewc. Oto jak na mnie działał.

– A więc... – Gabe zmierzył mnie od stóp do głów.

Cofnęłam się, aż poczułam, że mam za plecami kanapę.

– Będziesz tak stała i się gapiła, czy razem z Lisą

zajmiecie się swoją pracą?

– Zajmiemy się pracą. – Ktoś wziął mnie pod rękę, a gdy podniosłam wzrok, napotkałam rozbawione spojrzenie Lisy. – Ale najpierw coś zjemy!

– Olé! – Wes klasnął w dłonie i klepnął Kiersten w pupę, podczas gdy Lisa wciąż trzymała mnie pod rękę.

Gabe nie przestawał się gapić, jakbyśmy brali udział w jakimś kretyńskim pojedynku na spojrzenia, w którym – jeśli przegram – będę musiała zrobić coś żenującego, na przykład przyznać, że strasznie mnie podnieca.

– Spokojnie. – Lisa zniżyła głos. – Żadnych gwałtownych ruchów. Potraktuje to jako wyzwanie i rzuci się na ciebie.

– Mam wrażenie, że ona tego właśnie chce. – Gabe oblizwał wargi.

Spojrzałam na niego z pogardą.

– A ja odnoszę wrażenie, że tusz, który masz na rękach, przesącza ci się do mózgu... Powiedz, lubisz dręczyć młode kobiety, żeby zaciągnąć je do łóżka?

Gabe przechylił głowę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią na moje pytanie, a gdy uznał, że jest w tym odrobina prawdy, uniósł brew.

– Chodź. – Lisa pociągnęła mnie za rękę. – Pomożesz mi nakryć do stołu. Chyba nie masz nic przeciwko, żebyśmy najpierw coś zjadły? Dzisiaj to ja przygotowuję obiad. Jeśli nawalę, Gabe wpadnie w szal.

– Aż tak lubi jeść? – spytałam, idąc za nią do kuchni.

– Nie. – Lisa wyjęła tortille. – Facet ma zaburzenia

obsesyjno-kompulsywne na punkcie harmonogramu gotowania.

– Jest dziwny – stwierdziłam.

– Dzięki. – Poczułam na szyi jego oddech. Chwilę później odsunął się i wyjął z lodówki pikantny sos pomidorowy i kwaśną śmietanę. – Kiedy słyszysz, jak ktoś nazywa cię dziwakiem, to tak jakby mówił: „Jesteś seksowny”.

– Skąd wiesz? – prychnęłam, starając się nie zwracać uwagi na to, jak moje ciało reaguje na jego bliskość. Oddychałam szybko, coraz bardziej podniecona. Przysięgam, czułam się tak, jakby narzucał mi swoją wolę, nawet nie patrząc w moją stronę.

Gabe zamarł z ręką na ketchupie i wyjrzał zza drzwi lodówki, żeby rzucić na mnie okiem. Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby i przyprawiając mnie jednocześnie o dreszcz.

– „Dziwny” może oznaczać różne rzeczy. – Zamknął lodówkę.

Nic nie mogło nas od siebie oddzielić, ani blat, ani butelka z ketchupem. Nic.

– „Dziwny” znaczy, że się wyróżniam. To mało inteligentny sposób wyrażenia tego, że jestem wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Znaczy to również, że gdyby postawić przed tobą dwudziestu facetów, ty i tak patrzyłabyś na mnie. – Położył na blacie kawałek sera. – Za. – W ślad za serem poszedł słoik pomidorów. – Każdym. – A po nim sos pomidorowy. – Razem. –

Odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął z taką pewnością siebie, że miałam ochotę rzucić się na niego. – Mam to więc potraktować jako komplement? Tak właśnie zrobię. A to znaczy, że dziś, kiedy zamkniesz oczy, nie będziesz myślała o tych słodkich, amerykańskich chłopcach z czystą skórą i błękitnymi oczami. Zamiast tego będziesz myślała o mnie. – Jego uśmiech przywodził na myśl drapieżnika. – Tylko o mnie. Świadomość tego... – Zrobił dwa kroki w moją stronę. Nie mogłam się cofnąć. Miałam wrażenie, że nogi wrosły mi w podłogę. – Cieszy mnie bardziej, niż ci się wydaje.

Oddech miałam płytki i urywany. Byłam idiotką. Nic dodać, nic ująć. Wbrew samej sobie pozwalałam, by ten niegrzeczny chłopiec bez przyszłości bawił się moimi uczuciami. Moje reakcje wobec niego były niekontrolowane. Nie mogłam nic na to poradzić, że pociągał mnie i irytował. Chciałam dotknąć go jeszcze raz, choć myśl o tym równie mocno mnie wkurzała, co podniecała.

– Rusz się – wyszeptał.

– Co? – Pokręciłam głową, jakbym wierzyła, że dzięki temu przestanę o nim myśleć.

Poklepał mnie po ramieniu i delikatnie odsunął na bok.

– Muszę nakryć do stołu. Nie chciałem być nieuprzejmy. A, i zamknij usta. Kiedy stoisz tak z rozdziawioną buzią, wyglądasz jak sto nieszczęść.

Schodząc mu z drogi, uderzyłam biodrem w piekarnik i nabiłam sobie siniaka.

– Nie zwracaj na niego uwagi – usłyszałam za plecami głos Lisy. – Pewnego dnia dostanie nauczkę.

– Nie martw się. – Gabe wyrzwał zza rogu i puścił do mnie oko. – Już dostałem. – Zniknął, jednak chwilę później znowu się pojawił, akurat gdy zamierałam coś powiedzieć. – A tak przy okazji, było cudownie.

– Świnia – mruknęła Lisa.

– Auć, kuzyneczko. – Gabe przesłał jej całusa i tym razem wyszedł z kuchni na dobre.

Wtedy uświadomiłam sobie, że cały czas wstrzymywałam oddech. Kiedy Lisa poklepała mnie po ramieniu, omal się nie udusiłam.

– Przepraszam za niego. Czasami zastanawiam się, jak to możliwe, że jesteście rodziną. – Jej niebieskie oczy błysnęły. Wzruszyła ramionami i podeszła do szafki, żeby wyciągnąć talerze. – Weź sos pomidorowy i możemy zanieść tortille na stół. Najpierw jedzenie, później praca.

Nie wiedzieć czemu czułam potrzebę, żeby to zrobić – może powodem był Gabe, a może ja. Po chwili namysłu uznałam, że chodzi o mnie, bo w jego obecności przestawałam się kontrolować.

Rozdział 11

*Głupie wtorkowe taco i wszystko,
co się z tym wiąże. Wolałbym
pojechać do Meksyku, kupić dragi
i ryzykować, że zatrzymają mnie na
przejeździe granicznym w Tijuanie,
niż siedzieć przy stole z ludźmi,
którzy udają, że życie jest idealne. –
Gabe H.*

Gabe

– Zostaniesz na kolację? – Upiłem łyk wody i usiadłem przy stole.

Wes, który siedział naprzeciwko mnie, też sięgnął po wodę, roześmiał się i posłał mi spojrzenie, które zwykle wymieniają faceci, kiedy bawi ich cudze nieszczęście.

– Chyba tak. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Skoro zrobiło się tak interesująco.

– Powinieneś iść.

– Chyba jednak zostanę i pooglądam ten wtorkowy dramat.

– Popieram. – Kiersten zajęła miejsce przy stole

i poklepała mnie po plecach. – Olé?

– Noo, nie, i proszę, weź rękę. – Zmierzyłem ją wściekłym wzrokiem.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie z politowaniem. Cudownie. Jej ręka zsunęła się z mojego ramienia na przedramię i delikatnie je ścisnęła. Świetnie! Po prostu zajebicie. Przyjacielski gest wsparcia. Super.

Nie miałem bzika na punkcie dotyku. To znaczy, wiele o tym mówiłem, no i uwielbiałem sypiać z dziewczynami, ale żeby dotykać kogoś dla samego dotykania? To nie w moim stylu. Za bardzo przypominało mi o ludziach pozostawionych w Domu, ich dotyku i smutnych twarzach, które musiałem oglądać każdego cholernego dnia.

Nienawidziłem, kiedy ludzie mi współczuli albo – co gorsza – kiedy dręczyło mnie poczucie winy związane z tym, że czułem wdzięczność z powodu znalezienia się w obecnej sytuacji, wdzięczność za to, że osoba, którą tak bardzo chcieli utrzymać przy życiu... umierała.

– *Jak myślisz, Park, która by jej się spodobała?* – *Jej matka dotknęła mojego ramienia, cofnęła rękę i przyłożyła ją do drżących ust.*

– *No...* – *Głos miałem schrypnięty. Oczy same mi się zamykały. Płakałem tak długo, że przestały wytwarzać łzy. Otwarte piekły jak diabli.*

Dlaczego więc bałem się je zamknąć?

Bo widziałem ją.

Widziałem ten przeklęty szalik.

I mnóstwo krwi.

– Tamta – wyszeptalem ściśniętym głosem. – Zawsze lubiła różowy.

Pani Unifelt uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Może nie będzie potrzebna.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. No bo co można odpowiedzieć w takiej sytuacji? Mam nadzieję, że pani córka nie przeżyje? Mam nadzieję, że umrze podczas operacji, bo nie mogę żyć w świecie, który codziennie będzie mi o niej przypominał, w świecie, w którym nie będziemy mogli być razem?

– W takim razie niech będzie różowa.

Przedsiębiorca pogrzebowy odhaczył kolejny punkt na swojej karcie i obdarzył mnie tym samym uśmiechem, którym od godziny raczyła mnie pani Unifelt.

Nie mam pojęcia, czy byłem zbyt otepiały czy zbyt wkurzony, żeby zareagować. Cholerny ptaszek na formularzu? Tylko tyle było warte jej życie? Świstek papieru z odzysku, wypełniony kwadracikami, które trzeba było odhaczyć?

Łzy paliły mnie w gardle.

– Oczywiście, może przeżyje operację. Zawsze trzeba mieć nadzieję. W końcu lekarze są pewni, że mogą powstrzymać krwawienie do mózgu, choć z pewnością nie będzie już naszą małą księżniczką.

Czułem, że dłużej tego nie zniosę. Tama została przerwana, łzy napłynęły mi do oczu i potoczyły się po

policzkach, podczas gdy ja nie odrywałem wzroku od różowej trumny. Co to za cholerne tortury? Miałem wybrać trumnę dla swojej dziewczyny, tak jak wybierałem krawat na premierę filmu?

Przez to wszystko, przez cały ten biznes zrobiło mi się niedobrze.

Od przyćmionych świateł w domu pogrzebowym...

...od świadomości, że zarabiają tysiące dolarów na czymś, od czego i tak nikt nie poczuje się lepiej. Ona umrze. A jeśli przeżyje... Do diabła. Gdyby miała tak żyć, wolałbym, żeby umarła.

Czułem się z tego powodu jak najgorsza kanalia.

Bo w obliczu śmierci każdy powinien chcieć żyć. Każdy przy zdrowych zmysłach wybrałby życie. Ale ja? Gdybym był na jej miejscu? Wolałbym umrzeć. Jeśli o mnie chodziło, miłość mojego życia była już martwa. Czekałem tylko, aż to samo stanie się z jej ciałem. Jej umysł, wszystko, co sprawiało, że była tym, kim była – odeszło.

Pani Unifelt znowu dotknęła mojego ramienia, jednak tym razem ścisnęła je jak linę ratowniczą.

– Zdecydowali już państwo, kto wygłosi mowę pogrzebową?

Spojrzenia skierowały się na mnie. Poczulem na sobie ciężar, który przygniatał mnie do ziemi, i prawie niezauważalnie skinąłem głową.

– Ja – odparłem.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba – dodała pani Unifelt.

– Oczywiście – przytaknął pospiesznie przedsiębiorca

pogrzebowy. – Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Dokąd odpłynąłeś? – Kiersten pstryknęła mi palcami przed nosem.

Wszyscy siedzieli przy stole i gapili się na mnie, jakby na moim czole pojawiło się właśnie trzecie oko i jakbym kazał mówić do siebie „Kanye”.

– Ja... – Podrapałem się w tył głowy i roześmiałem się nerwowo. – Przepraszam, miałem kiepską noc.

– Najwyraźniej – mruknął Wes, zerkając to na mnie, to na Saylor. – Biorąc pod uwagę, jak się mają sprawy.

Zignorowałem złośliwy przytyk do tego, że od czasu jego operacji nie spałem z żadną dziewczyną, i sięgnąłem po jedzenie, układając je przed sobą w stos.

– A więc... – Kiersten ukradła mi z talerza tortillę.

Poirytowany, rzuciłem jej wściekłe spojrzenie i udałem, że nie interesuje mnie cała ta babska paplanina.

– Opowiedzcie o projekcie, nad którym pracujecie – dokończyła.

– Właśnie, uchylcie rąbka tajemnicy. Wprost nie możemy się doczekać – wypaliłem, wkurzony, że muszę siedzieć przy stole z niezłą laską, która wołałaby, żebym się udławił, niż przetrwał kolejne dziesięć minut.

Ktoś kopnął mnie pod stołem. Skrzywiłem się, ale nic nie powiedziałem.

– No... – Saylor sięgnęła po tortillę.

Jakby nigdy nic sprzątnąłem jej sprzed nosa upatrzony kawałek. Miałem więc teraz na talerzu trzy

tortille – wszystko dlatego, że zachowywałem się jak gówniarz, który chce pokazać język. A może chciałem włożyć jej ten język w usta? Nie powiedziałbym, że nie czułem się skrępowany w jej obecności.

– Musimy zrealizować pewien projekt związany z tym, co jest dla nas ważne. A ponieważ Lisa nie miała pomysłu, czym się zająć...

– ...bo dla Lisy najważniejsze jest to, ile ma w szafie par butów – dodałem śpiewnym głosem.

– Dzięki, Gabe.

Zasalutowałem jej i rzuciłem trochę sera na tortillę. Nie mogłem patrzeć, jak Saylor skubie swoje tacos. Przypominała królika, który nie potrafi zdecydować, czy smakuje mu to, co je.

– W każdym razie... – Wetknęła do ust kawałek ciasta. Dzięki Bogu. Chwilę później przełknęła kolejny kawałek. Więc jednak. – Postanowiłam zaproponować Lisie zajęcie się moim pomysłem. Profesor stworzył już kilka grup, tylko my zostałyśmy bez pary.

– Koszmar – zażartowała Lisa. – A myślałam, że jestem lubiana.

Saylor się uśmiechnęła. Widząc to, musiałem odwrócić wzrok. Mogła chociaż mieć szminkę na zębach albo kawałek tortilli na wardze. Ale nie, była zbyt ładna i zbyt szczęśliwa jak na mój gust. Radość przychodziła jej z taką łatwością, że przypominała żeński odpowiednik Wesa. Świetnie, a więc teraz na świecie było ich już dwoje i tak się składało, że miałem

do czynienia z obojgiem. Znosiłem mądrości Wesa tylko w niewielkich dawkach. Jeśli słuchałem go zbyt długo, miałem ochotę go udusić albo przywalić mu w twarz. Nie zrozumcie mnie źle. Kochałem go jak brata, ale kiedy człowiek przez lata nie wyściubia nosa z ciemnej nory, którą sam sobie wykopał, robi się drażliwy, jak ktoś świeci mu latarką w oczy. Wzrok musi się przyzwyczaić i powiedzmy sobie szczerze – nie jest to przyjemne doświadczenie. Dlatego ludzie wolą pozostać w mroku. Dlatego wolą pokazywać zaledwie fasadę swoich mrocznych wnętrz. Do diabła, sam od tak dawna żyłem w mroku, że mógłbym rozbić tam obóz, zawiesić obrazki i zamówić kablówkę.

Światło przypominało mi o jej uśmiechu, o tym, co zabrałem, o tym, na co nigdy już nie zasłużę. Przypominało o tym, co utraciłem, a nienawidziłem, gdy mi o tym przypominano. W swojej ciemności czułem się jak ryba w wodzie. Nie musiałem myśleć o świetle, bo widywałem je tak rzadko, że czasami zapominałem, jak wygląda.

– Przestań się wreszcie uśmiechać – wypaliłem.

Wszyscy odwrócili się w moją stronę.

– Kto? Ja? – Saylor z uśmiechem na twarzy wskazała na siebie.

– Tak. Masz między zębami kawałek tortilli – mruknąłem. – Nie chciałem narobić ci obciachu przy ludziach. – A niech to.

Saylor zmrużyła oczy.

– I już po sprawie – ogłosiła Kiersten, zaglądając jej w zęby. – A więc co wybrałyście?

Świetnie, postanowili mnie ignorować. Jakoś to przeżyję. Odgryzłem potężny kawał tortilli i czekałem.

– Jeden z miejscowych domów opieki. Ten w okolicy zatoki Puget Sound.

Wyplułem tortillę i zacząłem się krztusić.

Lisa pobladła i drżącą ręką sięgnęła po szklanę z wodą.

– Wydawało mi się, że rankiem wspomniałaś coś o domu emeryta.

– Tak – przyznała z uśmiechem Saylor. – Tylko dlatego, że nie byłam pewna, czy wpuszczą nas do tego drugiego ośrodka. Z jakiegoś powodu mają tam świra na punkcie ochrony. W każdym razie mój starszy brat odbywał tam roczny staż, zanim zaczął studiować medycynę, i mówił, że to fantastyczne miejsce.

– A czemu, do diabła, chcecie wybrać dom opieki? – Głos miałem schrypnięty po tym, jak omal się nie udusiłem.

– Gabe! – Kiersten uderzyła mnie w ramię. – Co z tobą nie tak?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze uda mi się znosić tę rozmowę.

– Skoro musisz wiedzieć... – odparła Saylor. – Mój młodszy brat ma zespół Downa. Jako dziecko trafił do domu opieki, bo rodzice zupełnie sobie z nim nie radzili. Nie chciał jeść i cały czas krzyczał... Aż do

czasu, gdy dowiedzieliśmy się, jak należy z nim postępować. Miał wyjątkowo wrażliwy słuch... – Urwała.

– I? – naciskałem.

– Nie twoja sprawa. – Znowu ten cholerny uśmieszek.

– Świetnie... – Lisa skinęła głową z zakłopotaniem. – To znaczy, że weekend spędzimy w domu opieki?

– Muszę tam jeszcze zadzwonić i...

– W piątki wieczorem organizują tam gry i zabawy. Lepiej jeźdźcie w sobotę po południu. – Po tych słowach wstałem od stołu. Krzesło upadło z hukiem na podłogę, kiedy opuszczałem w pośpiechu pokój i gnałem na korytarz. Wcisnąłem przycisk windy z taką siłą, że rozboleł mnie palec.

– Zamierzasz jej powiedzieć? – Usłyszałem za plecami spokojny głos Wesa.

– Cholera! – Walnąłem pięścią w drzwi windy, błagając w duchu, żeby się otworzyły i pozwoliły mi uciec. – O czym?

– Może o tym, że odwiedzasz ten sam dom opieki co najmniej cztery razy w tygodniu?

Tym razem to Wes mnie prześladował.

– Śledzisz mnie, stary, czy co? – Próbowałem się roześmiać, ale śmiech uwiązł mi w gardle.

– Coś w tym stylu – odparł tym samym spokojnym głosem. – Wiesz, że mogłeś mi o wszystkim powiedzieć.

– Powiedzieć ci? – wychrypiałem. – A co już wiesz? To znaczy, Wes, o czym tu gadać? Wygląda na to, że

znasz całą prawdę.

Drzwi windy otworzyły się z cichym szcęknięciem. Wpadłem do środka i podjąłem szybką decyzję, żeby zjechać na sam dół, do holu.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale... – Wes przełknął z trudem i odwrócił wzrok – wiem o tym od miesięcy.

Zakląłem i zamknąłem oczy.

– Nie mów nikomu – poprosiłem, gdy drzwi do windy się zamykały.

Rozdział 12

Warknąć na najlepszego przyjaciela? Stracić panowanie nad sobą w obecności wszystkich, których kocham? Odhaczone, po dwakroć odhaczone. Znowu się gubiłem. Jednak tym razem nie byłem pewny, czy dam radę. W końcu, można utracić siebie raz, przez przypadek... ale jeśli to samo zdarza się po raz drugi czy trzeci? Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy jego przeznaczeniem jest nigdy się nie odnaleźć. – Gabe H.

Gabe

Klnąc pod nosem, kopnąłem drzwi windy, jakbym chciał je wyłamać.

Kiedy znalazłem się w holu, byłem gotów uciec. Zresztą, w tamtej chwili było mi wszystko jedno.

Zadzwonił telefon. Sięgnąłem do kieszeni i znowu zakląłem, widząc, czyj numer pojawił się na wyświetlaczu.

– Halo?

– P... Gabe?

– Tak?

– To kolejna z tych nocy... Próbowaliśmy ją uspokoić, ale uparła się, żebyś jej zaśpiewał. Myślisz, że mógłbyś to zrobić?

– Jasne. – Łzy paliły mnie w gardło. – Tylko przełączcie mnie na głośnik.

Rozległ się trzask i chwilę później usłyszałem płacz Księżniczki:

– Park, Parkerrrr! Zaśpiewaj naszą piosenkę, zaśpiewaj ją! Oni tak nie potrafią!

– Księżniczko, to dlatego, że nie są mną.

Zachichotała.

– Dobrze, Parker. Jestem już w łóżku.

– Opatulona po samą szyję?

– Opatulona! – krzyknęła tym piskliwym głosem, do którego musiałem się przyzwyczaić. Jej głos zmienił się po wypadku – stał się bardziej dziecinny, zmanierowany.

Rozejrzałem się po holu i ukryłem w kącie. Dookoła nie było żywej duszy, więc nikt nie mógł nagrać mojego występu i wrzucić go na YouTube.

– Kocham moją Księżniczkę, moją ulubienicę. Kiedy słyszę jej śmiech, mam ochotę przenosić góry, bo jest moją małą, małą dziewczynką.

Zaczęła śpiewać razem ze mną.

– Moją dziewczynką, moją dziewczynką, zawsze będzie moją małą dziewczynką. A kiedy z jej oczu płyną łzy, przysięgam, że już nigdy nie będzie płakać... nie

będzie sama, beze mnie, bez nas. Moja dziewczynka, ona i ja będziemy rządzić całą wieczność. Moja dziewczynka. Już zawsze będzie moją małą dziewczynką.

– Dzięki, Parker – rzuciła radośnie.

Wróciły do mnie wspomnienia.

– *Jesteś szalony!* – śmiała się Kimmy, gdy trzymając ją w objęciach, wirowałem na środku małego pokoju. – *W tej chwili postaw mnie z powrotem!*

– *Nigdy!* – przysiągłem i pocałowałem ją w usta. – *Jeśli cię postawię, będę musiał znowu cię podnieść, a po co, skoro cały czas chcę cię mieć w ramionach.*

– *Przesadzasz, Parker.* – *Jej oczy błysnęły.*

– *Kochasz to.*

Pokiwała głową i znowu się roześmiała.

– *To ty. To ciebie kocham.*

– *Ja też cię kocham.*

– *Dziękuję za piosenkę...* – dodała zdyszana. – *Jest piękna.*

– *Co noc – obiecałem.* – *Co noc będzie kołysała cię do snu. Kiedy więc będziesz zasypiać, ostatnią rzeczą, o której pomyślisz, będę ja, a kiedy się obudzisz, chcę, żebyś myślała o nas.*

– *Podoba mi się ten pomysł.* – *Pocałowała mnie w policzek.*

Postawiłem ją i ująłem w dłonie jej twarz.

– *Kimmy, chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będę przy tobie. Musisz to wiedzieć.*

Przytaknęła. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Boję się, że nie mamy zbyt wiele czasu... Czuję, że coś się wydarzy.

– Przestań... – Przytuliłem ją i pocałowałem. – Bez względu na to, co się stanie, zawsze będziemy razem. Powiedz, że mi wierzysz. Miałbym cię porzucić? Nigdy!

– Dzięki, Park.

– Dla ciebie wszystko, Księżniczko. Dla ciebie wszystko.

Sadząc po trzaskach i szelestach, wyłączyli głośnik. Dziwny pogłos zniknął i dźwięk znowu był czysty.

– Dzięki, Gabe. Wiesz, jak ciężko jest, kiedy nie może zasnąć.

– Nie ma problemu. – Głos miałem zachrypnięty. – W końcu złożyłem obietnicę. – Przysięgałem, że nigdy jej nie opuszczę.

Miałem dość.

Nie mogłem już znieść więcej.

Nie bez powodu sypiałem z kim popadnie, unikałem stałych związków i izolowałem się od świata.

Bo ludzie, którzy byli mi bliscy, umierali, część w dodatku przeze mnie. To była moja prawda. Moje życie.

Z windy wyszła dziewczyna w wystrzałowych ciuchach. Miała jasne włosy upięte na czubku głowy i ostry makijaż, który nadawał jej wygląd prostytutki.

– Hej... – Oblizałem usta, kiedy podniosła wzrok. – Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę.

Kiwając głową, podszedłem do niej. Drzwi do windy się rozsunęły.

– „Wychodzę” brzmi nieźle – skwitowałem.

– Dobra. – Zatrzepotała rzęsami. – Gabe, tak?

– Tak. – Nie byłem zaskoczony. Zdążyłem wyrobić sobie renomę.

– Możesz iść ze mną, jeśli chcesz – odparła, rumieniąc się.

Zadrżałem. Miałem ochotę zwymiotować. Chciałem biec, nieważne dokąd. Ale wiedziałem, że ucieczka zaprowadzi mnie donikąd. I nie sprawi, że zapomnę o bólu.

Chciałem się zatracić.

– A może... – wziąłem ją za rękę – pokręcimy się po okolicy i zdecydujemy, dokąd pójść?

Otworzyła szerzej oczy i rozchyliła usta, wypuszczając ze świstem powietrze.

– Brzmi nieźle. Naprawdę nieźle.

* * *

Klub pełen był lepkich, spoconych ciał, ocierających się o siebie. Ktoś mógłby pomyśleć, że będę się tu czuł jak ryba w wodzie, wołałem jednak rockowe klimaty. Gdy więc usłyszałem w głośnikach T.I.-a, skrzywiłem się z niesmakiem, ale postanowiłem robić dobrą minę do złej gry.

Zielone światła rytmicznie migały przy dudniących dźwiękach techno.

– Chcesz drinka? – spytała Cee-Cee.

Przynajmniej zapamiętałem jej imię.

Chociaż najpierw ją pocałowałem, a dopiero później spytałem.

Nie żeby miała coś przeciwko. Rozłożyła nogi zaraz po tym, jak wsiedliśmy do samochodu, ja jednak nie skorzystałem z okazji. Przynajmniej na razie. Nie byłem wystarczająco pijany, upalony, ani nawet wściekły.

– Shoty. – Oblizałem wargi. – Zamówmy shoty.

Wzruszyła ramionami i podeszła do baru, podczas gdy ja stałem tylko i patrzyłem, jak ludzie śmieją się i imprezują.

Też kiedyś tak się bawiłem.

Też się śmiałem.

Ale po operacji Wesa wszystko się zmieniło. Przez pół życia byłem pogrążony w kłamstwie. W końcu nie miałem już siły udawać przed ludźmi kogoś, kim nie byłem. Czułem się jak wypalony aktor, tyle tylko, że to nie był film. To była moja rzeczywistość.

– Na zdrowie. – Cee-Cee puściła do mnie oko i zatrzepotała długimi, ciemnymi rzęsami. Jeden po drugim, wypiliśmy po trzy shoty. Laska musiała mieć w tej kwestii spore doświadczenie. Większość dziewczyn sączyłaby wódkę z wodą sodową i martwiła się o kalorie.

– Masz ochotę potańczyć? – Nachyliła się w moją

stronę, a wtedy poczułem perfumy o zapachu wanilii.

Miałem ochotę ją odepchnąć.

– Nie jestem w nastroju. – Zamiast odepchnąć Cee-Cee, przyciągnąłem ją do siebie, gotów się zatracić.

– Opowiedz mi o sobie – poprosiła, starając się przekrzyczeć muzykę.

– Nie lubię ckliwych gadek, tak jak nie lubię się żalić, więc jeśli kręcą cię takie rzeczy, możesz od razu spadać – warknąłem.

– To dobrze. – Pokiwała głową i bez żenady chwyciła mnie za krocze. – Też tego nie lubię.

Czułem, że moje ciało budzi się do życia i nienawidziłem się za to.

Bez słowa zaciągnąłem ją na tyły klubu.

– Zaczekaj. – Mrugnęła porozumiewawczo i z małej czarnej torebki wyciągnęła jointa. – Zapalisz?

– Skarbie, myślisz, że rusza mnie takie gówno? Jeśli się bawić, to na całego.

– Tak myślałam. – Zmierzyła mnie od stóp do głów, zatrzymała wzrok na wybrzuszeniu widocznym pod materiałem spodni i wyjęła z torebki woreczek białego proszku i lusterko. – Reflektujesz?

– Jak najbardziej – skłamałem i odwróciłem wzrok. Znałem zakończenie tej historii. Znałem je jak własną kieszeń.

Pójdziemy do łazienki, dziewczyna wydzieli mi kreskę koki, naćpamy się, nawalimy, przelecę ją, wdychając zapach jej tanich perfum. Będę czuł na sobie

zapach jej potu i wpadnę w to samo gównno, w którym tkwiłem lata temu.

Z tą różnicą, że teraz byłem zbyt odrętwiały i obojętny, by się tym przejmować.

Człowiek wie, że siedzi po szyję w gównie, kiedy narkotyki przestają wywoływać jakiegokolwiek odczucia. Ja nie czułem nic. Byłem pusty. Nie miałem nawet siły, żeby udawać.

Zatraciłem się.

Moją tożsamością była muzyka, a później ona, aż w końcu byłem szczęśliwy jako Gabe, zabawny aktorzyzna o złotym sercu.

Byłem tym wszystkim tak cholernie zmęczony.

Cee-Cee uniosła brwi.

– No i? – Przechyliła głowę i pomachała mi przed nosem torebką.

– Chyba spasuję, ale ty poszukaj kolesia, który cię przeleci. Ja odpuszczam.

– Myślałam, że chcesz się zabawić – stwierdziła protekcjonalnie, widząc, że zamierzam się wycofać.

Parsknąłem, odwróciłem się i rzuciłem jej wściekłe spojrzenie.

– Skarbie, jeden z moich dobrych znajomych przekręcił się, bo przedawkował herę, przyjaciel rodziny kupował mi prochy, a kiedy miałem trzynaście lat, straciłem dziewictwo ze sławną aktorką, która była dwa razy starsza ode mnie. Uwierz mi, nie ma na świecie rzeczy, która by mnie zszokowała albo obudziła we

mnie jakiegokolwiek uczucia.

Z wściekłym kłapnięciem zamknęła usta, odwróciła się na pięcie i kręcąc biodrami, zaczęła przeciskać się przez tłum.

Miałem ochotę obudzić się pijany.

Nie, chrzanić to. Miałem ochotę obudzić się i poczuć coś – cokolwiek, tak jak kiedyś – stwarzać pozory, uśmiechać się i żartować, jakbym naprawdę miał po co żyć.

Telefon zawibrował mi w kieszeni.

Wiadomość od mamy: *Jeśli zadzwoni, nie odbieraj. Chce pieniędzy. Kocham cię, Mama.*

– Tylko tego mi brakowało – mruknąłem pod nosem. Wsunąłem telefon z powrotem do kieszeni i podszedłem do baru.

– Czego się napijesz? – spytał barman. Podstawiał ludziom drinki pod nos, a napiwki wrzucał do stojącego przed nim słoika.

– Whiskey. – Usiadłem przy barze i zabębniłem palcami w blat. – Kilka kolejek.

Dziesięć. Liczba pańienek, które próbowały mnie poderwać, kiedy siedziałem przy barze, upijając się do nieprzytomności.

Trzy. Liczba kobiet, które ocierały się o mnie.

Dwie. Liczba godzin, które spędziłem, torturując się wspomnieniami o jej śmiechu, zapachu, o tym, jak wyjątkowo czułem się, kiedy była przy mnie – kiedy miałem przeświadczenie, że mogę wszystko.

Jedna. Jedna minuta wystarczyłaby, żebym wrócił do chatki i przyniósł jej kask.

Zadziwiające. Jak jedna minuta może zdefiniować resztę twojego życia.

Taaa, najwyraźniej nie byłem jeszcze wystarczająco pijany.

Podniosłem rękę, ale barman pokręcił głową.

– Właś w siebie prawie trzy czwarte litra. Chyba masz już dość.

– Dupek – mruknąłem.

Nawet nie zareagował.

Zataczając się, odszedłem od baru i ruszyłem w stronę wyjścia. Rześkie wiosenne powietrze nie otrzeźwiło mnie wcale, a jedynie wywołało mdłości.

Po jaką cholerę wsiadałem do samochodu z Cee-Cee? Klnąc, wyjąłem telefon i zadzwoniłem do Lisy.

Jej wstyd był moim wstydem.

Oboje wstydziliśmy się tych samych rzeczy.

Nasza przeszłość splatała się ze sobą w sposób, który napawał mnie odrazą i jeszcze bardziej zbliżał nas do siebie.

Nie odbierała.

Spróbowałem jeszcze raz.

Byłem zdesperowany. Zaczynałem marznąć, alkohol ścinał mnie z nóg, a coś mi mówiło, że jeśli spróbuję wrócić do kampusu na piechotę, skończę na dnie zatoki Puget Sound z płucami pełnymi wody.

Cholera, byłem w czarnej dupie.

Wybrałem numer Wesa.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Gabe?

– Potrzebuję podwózki. – Starłem się mówić wyraźnie.

Usłyszałem głośnie westchnienie.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– W klubie przy szkole, eee... – Wybuchłem histerycznym śmiechem. – Cholera, czemu nie zapytasz w NASA? Jesteś przecież wielkim Wesem Michelsem, co nie? Pieprzyć to, nie potrzebuję cię.

Wcisnąłem „zakończ”, potknąłem się i klapnąłem na tyłek. Usiadłem na chodniku z głową opartą na kolanie.

Obrazy przelatywały mi przed oczami. Najpierw krew, potem morze kamer i dziennikarzy. Chryste, dziennikarze. Wściekłem się. Odbiło mi na oczach reporterów.

Mijały kolejne minuty, może godziny, kto by się tym zajmował... i nagle usłyszałem klakson. Oślepiły mnie reflektory.

Zasłoniłem oczy ręką, bez rezultatu.

Ktoś szedł w moją stronę. Wciąż jednak nic nie widziałem.

Czyjaś pięść wylądowała na mojej szczęce. Uderzyłem o chodnik z taką siłą, że mógłbym przysiąc, że straciłem wszystkie zęby.

– Wstawaj, dupku.

Wes? Czy właśnie przywalił mi pięścią w twarz?

I nazwał mnie dupkiem? Próbowałem się roześmiać, ale ból był nie do wytrzymania.

– Powiedziałem... – Wes chwycił mnie za koszulę i próbował postawić na nogi. – Wstawaj. Do. Jasnej. Cholery. – Chwilę później przyjąłem na twarz kolejny cios i, dzięki Bogu, odpłynąłem.

Może gdybym się modlił wystarczająco żarliwie, już na wieki pozostałbym tutaj, w mroku. Może mógłbym odpokutować swoje grzechy.

Rozdział 13

*Koleś był agresywny, jakby
denerwował go sam fakt, że siedzę
z nim przy jednym stole i biorę
jedzenie z tego samego talerza.
O co mu chodziło? Przyszło mi do
głowy, że te wszystkie kolczyki
okaleczyły mu mózg – o ile
kiedykolwiek go miał. – Saylor*

Saylor

– A więc jest... – Pokiwałam głową i odwróciłam wzrok, żeby nie pomyślała, że jestem wścibska, albo wręcz niebezpieczna. – Opryskliwy? – Razem z Lisą poszłyśmy do jej pokoju porównać plany zajęć i ustalić, kiedy będziemy mogły pojechać do ośrodka, w którym miałyśmy spędzić przynajmniej sześćdziesiąt godzin, żeby dostać zaliczenie.

– Taki właśnie jest Gabe – roześmiała się. – Ale obiecuję, jest nieszkodliwy.

– Nieszkodliwy? – powtórzyłam z powątpiewaniem. Jasne, zwłaszcza że tatuaże, kolczyki i mordercze

spojrzenie mówiły zupełnie co innego.

Lisa zamknęła zeszyt i wzruszyła ramionami.

– Daję słowo, że nie jest tak zły, jak mogłoby się wydawać. Jest po prostu... inny, to wszystko. Nie miał łatwego życia.

– Błagam cię – parsknęłam z nadzieją, że nie zabrzmiało to tak, jakbym chciała wyciągnąć od niej coś więcej na jego temat.

Lisa spochmurniała, jakbym uderzyła ją w twarz.

– Przepraszam – dodałam pospiesznie. – Nie chcę nikogo osądzać, ale chodzi o to, że... życie jest ciężkie. A my dodatkowo je sobie utrudniamy.

Jej twarz wyrażała to, co tyle razy już oglądałam. Współczucie. Dotknęła ręką mojego ramienia.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ale, proszę, nie oceniaj go zbyt pochopnie, zwłaszcza że nie masz pojęcia, przez co naprawdę przechodzi. Odkąd pamiętam, próbuje mnie chronić. Zrobiłabym dla niego wszystko, tak jak on zrobiłby wszystko dla mnie.

– W porządku. – Odsunęłam się. – Nie musisz mnie przekonywać, żebym go polubiła. Większość czasu i tak spędzimy w ośrodku opieki. – Oblizałam usta, zaczęłam zbierać rzeczy i chować je do torby. – I na pewno masz rację. Przepraszam, że tak o nim powiedziałam.

– Nie szkodzi. – Lisa machnęła ręką i zmusiła się do uśmiechu. – Czyli ty bierzesz piątki, a ja zaczynam w tę sobotę?

– Tak. – Weszłam do salonu, szukając Kiersten i Wesa.

Wcześniej oglądali film, ale musieli się już chyba położyć.

– Cześć, Saylor – zawołała Lisa.

– Cześć – odparłam, nie oglądając się za siebie. Otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Powinnam była trzymać głowę na kłódkę – kolejne złe przyzwyczajenie. Ale po co bronić takiego koleśka? Faceta, który tłumaczył wszystko, mówiąc, że miał trudne życie?

Wkurzyło mnie to.

Nienawidziłam, kiedy ludzie usprawiedliwiali swoje beznadziejne zagrywki, jakby to tłumaczyło, dlaczego są takimi dupkami.

Tak było najłatwiej. A to oznaczało tylko jedno – musiałam trzymać się jak najdalej od Gabe’a. Facet był toksyczny. Był jak trucizna.

Drzwi windy się rozsunęły i wyszedł ze środka jakiś koleś. Ale to, co zobaczyłam później, sprawiło, że mało się nie zakrztusiłam.

Wes podtrzymywał Gabe’a.

Koszulka Gabe’a była cała we krwi. Jego szczeka zdążyła już zsinieć, a w powietrzu unosił się zapach whiskey.

Jak to możliwe, że przez ostatni tydzień tak często go widywałam? Nie mogłam przestać o nim myśleć, choć w takim stanie budził we mnie jedynie odrazę. Zatoczył się, bełkocząc coś pod nosem.

Nie ma co, prawdziwy tryumfator.

Jaki jestem biedny, moje życie jest takie smutne i popaprane, że muszę brać narkotyki.

Ludzie tacy jak on napawali mnie obrzydzeniem. Kiedy patrzyłam, jak się zachowują, miałam ochotę wrzeszczeć i kopać.

Jakie miał prawo, żeby rujnować własne życie, w sytuacji gdy większość z nas nie miała nawet szans na normalność? Pomyślałam o Eryku i coś ścisnęło mnie w gardle. Jego życie nigdy nie będzie normalne. Dołożyłabym wszelkich starań, żeby mógł robić to, co inne dzieciaki w jego wieku – przecież jego umysł nie miał żadnych ograniczeń.

Ludzie pokroju Gabe'a? Pluli w twarz życiowym możliwościami.

Westchnąwszy, weszłam do środka z zamiarem wjechania na następne piętro. Wolałam to niż ponowne czekanie na windę.

– Jak minął wieczór? – spytał Wes, przerywając niezręczną ciszę.

– Nieźle, wdałam się w kilka awantur, wzięłam trochę prochów, straciłam dziewictwo. – Pokiwałam głową. – Zarąbista noc. Po prostu bomba. Wprost nie mogę się doczekać, żeby jutro znowu spieprzyć sobie życie.

Wes się skrzywił.

– To nie jego wina, że...

– Wiesz co? – przerwałam mu. – Mam to gdzieś. W porządku. Nawet go nie znam. Ciebie zresztą też nie. Jesteście dla mnie dwoma obcymi facetami. Możesz go

bronić, to nie moja sprawa. Nie jestem waszą kumpelką. Jestem zwykłą laską, która próbuje ukończyć szkołę i nie zwariować.

Wes wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Zamiast tego zaklął i wywłókł Gabe'a z windy. Kiedy drzwi się zamykały, usłyszałam jeszcze, jak mówi:

– To, że stara się inaczej niż wszyscy, nie znaczy, że jesteś od niego lepsza.

Rozdział 14

*Byłem martwy. Nie. Naprawdę.
Rzygałem tak bardzo, że moje ciało
zaczynało zamykać się w sobie.
Potrzebowałem światła! Gdzie, do
cholery, podziało się światełko
w tunelu? Mógłbym przysiąc, że
ktoś powiedział kiedyś, iż śmierć
jest dużo lepsza od czegoś takiego.
– Gabe H.*

Gabe

Jęcząc, przewróciłem się na brzuch i sięgnąłem po komórkę. Zamiast tego uderzyłem ręką w lampę.

Spróbowałem otworzyć oczy, komórka spadła na podłogę, na czerwony dywanik, który z pewnością nie należał do wystroju mojego pokoju.

Przetarłem oczy. Kolory rozmazywały się i mieszały. Widziałem jak przez mgłę. Jeszcze raz zamknąłem oczy i tarłem je przez chwilę. Kiedy znowu je otworzyłem, pożałowałem, że to zrobiłem.

Wehikuł czasu. Ktoś naprawdę powinien nad tym popracować.

– Jak się czujesz? – spytał ze spokojem Wes. Siedział dokładnie naprzeciw mnie. Ręce skrzyżował na piersi i wyglądał na niezłe wkurzonego. Jak człowiek może być wkurzony i spokojny jednocześnie? Czyżby facet miał rozdwojenie jaźni, które objawiało się tylko wtedy, gdy ktoś doprowadzał go do ostateczności? Nigdy dotąd nie widziałem u niego takiej miny. Nienawidziłem jej. Nienawidziłem siebie.

– Żałuję, że nie skończyłeś ze mną ubiegłej nocy – wymamrotałem.

– Uwierz mi – wycedził przez zaciśnięte zęby – miałem wielką ochotę. Ale dotarło do mnie, że tego właśnie chcesz, więc postanowiłem oszczędzić twój żaloszny tyłek i siedziałem przy tobie całą noc, słuchając opowieści o Bambim, o tym, jak w wieku ośmiu lat zaczęłaś brać prochy, aż w końcu, kiedy myślałem, że odpłynąłeś, zarzygałaś całą łazienkę i przy okazji mnie. Można śmiało powiedzieć, że po wspólnym prysznicu nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, a jeśli jeszcze raz, kiedykolwiek, spróbujesz mnie tam dotknąć, przysięgam – zabiję cię. Zrozumiano?

Pokiwałem głową i się skrzywiłem. Miałem wrażenie, że ból rozsadzi mi czaszkę.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Bez urazy, Wes, ale w tej chwili nie chce mi się gadać.

– Zabawne, bo ja wczoraj nie miałem ochoty patrzeć, jak mój najlepszy kumpel próbuje popełnić

samobójstwo, a jednak obaj siedzimy w tym pokoju.

– Jesteś wkurzony. – Marzyłem tylko o tym, żeby wpełznąć do ciemnej dziury i zostać tam na dobre. Sprawienie zawodu Wesowi graniczyło z... prawdziwą agonią. Był jedyną osobą, którą podziwiałem. A ja go zawiodłem.

– Jak diabli – przyznał z powagą. – Jak to możliwe? Jeszcze kilka miesięcy temu chciałeś rozpocząć nowe życie . Wyszedłeś z mroku. Co się stało? Wiem, że ostatnie, czego chcesz, to rozmawiać o swoich uczuciach, ale, cholera, stary... ty nie zacząłeś znowu pić. Urznąłeś się celowo i straciłeś kontakt z bazą.

Przełknąłem łzy, które cisnęły mi się do oczu. Znów mnie dławiło, jak zawsze, gdy ogarniało mnie poczucie winy. Zupełnie jak ze starym kocem. Za każdym razem, gdy go zdejmowałem, byłem tak przerażony nieuniknionym powrotem, że z powrotem zarzucałem go na głowę.

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Stare przyzwyczajenia.

– Od lat nie brałeś prochów.

– Rzeczy się zmieniają. – Nie wspomniałem, że nie wziąłem żadnych prochów, chociaż przez chwilę naprawdę mnie kusiło.

– I nie piłeś od lat. Byłeś trzeźwy.

– Tak.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Nie, ale wiem, że i tak to zrobisz.

Wes wypuścił ze świstem powietrze. Zbladł, oparł łokcie na kolanach, pochylił się w moją stronę i szepnął:

– Chcesz umrzeć?

Nie potrafiłem dobyć głosu. Mogłem tylko przytaknąć.

– Dlaczego?

– Bo ona nie umarła i to jest moja wina. Wszystko to moja wina. – Nie mogłem dłużej tego znieść. Wybuchłem płaczem, sięgnąłem do kieszeni, chwyciłem medalion i rzuciłem nim o ścianę, z nadzieją, że się roztrzaska.

Modliłem się, żeby rządy, które sprawowała nad moim sercem, dobiegły już końca.

Tak się jednak nie stało.

Spadłem z łóżka na kolana i kołysałem się w przód i w tył, czekając, aż łzy wyschną – prędzej czy później zawsze wysychały.

– Gabe... – Wes chwycił mnie za ramiona. – Musisz z kimś porozmawiać. Potrzebujesz pomocy.

Pokręciłem głową. Potrzebowałem muzyki. Potrzebowałem...

– Gitara – wyrzeziłem głosem, który mnie samemu wydał się obcy. – Przynieś moją gitarę.

Ktoś inny zacząłby mnie wypytywać. Ale nie Wes.

Kilka minut później wrócił do pokoju z gitarą w ręku.

Nie odezwałem się ani słowem. Usiadłem na podłodze, wziąłem instrument do rąk i zacząłem śpiewać.

Chwilę później odzyskałem jasność umysłu i spokój.
Muzyka była moją terapią.

Ale wyrzuciłem ją ze swojego życia, bo jak wszystko inne przypominała mi o popełnionych grzechach i wszystkich moich żalach. Z potrzeby gry rodziło się we mnie poczucie winy. No bo co miała ona? Nic. Zupełnie nic. Nie zasługiwałem więc na pocieszenie.

Po dwóch godzinach gry na gitarze miałem obolałe palce – opuszki nie były już tak twarde, jak kiedyś.

Odłożyłem gitarę i utkwilem wzrok w podłódze.

Wes usiadł obok mnie. Obaj gapiliśmy się na ścianę.

– Gabe.

– Tak?

– Opowiedz mi o Ashtonie Hydzie.

Zamarłem, a zaraz potem zrobiłem coś, czego, jak sądziłem, nie zrobiłbym nigdy swojemu najlepszemu przyjacielowi. Okłamałem go, zapewniając:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Rozdział 15

*Patrzeć, jak mój najlepszy
przyjaciel stacza się w otchłań
piekielną? Nie tak chciałbym
spędzać środowy poranek. Prawda
o sięgnięciu dna? Czasami trzeba
uderzyć głową w ziemię, żeby
uświadomić sobie, iż droga
prowadzi nie w dół, ale do góry. –
Wes M.*

Saylor

– Musisz się podpisać, kiedy wchodzisz do budynku i gdy z niego wychodzisz.

Zerknęłam na jej identyfikator: „Marta Hall”. Powiedziano mi, że w czasie mojego pobytu w Pacific Northwest Group Home pani Hall będzie łącznikiem między mną a uczelnią.

– Każdego popołudnia twoja torba będzie przeszukiwana na wypadek gdybyś chciała wnieść kamerę. – Wskazała dwóch strażników, którzy stali przy drzwiach. – A, i będziesz musiała zostawić telefon w recepcji.

– Telefon? – spytałam. – Dlaczego?

– Przepisy. – Uśmiech zamarł na ustach pani Hall, nie sięgając jej niebieskich oczu.

Poprzetykane siwizną włosy były niezwykle ciasno spięte z tyłu głowy. Pomyślałam, iż powinna je trochę poluzować, żeby dać twarzy odrobinę wytchnienia. Zadrżałam, bo pani Hall przypominała moją nauczycielkę z pierwszej klasy, tę samą, przez którą nie miałam przerwy wakacyjnej. Świetnie.

– Nasi pensjonariusze potrzebują prywatności, a poza tym jesteś tu, żeby pracować, nie żeby SMS-ować ze swoim chłopakiem.

No, dobra.

– Oczywiście.

Pani Hall pociągnęła nosem.

– Oczywiście nie jest to płatny staż, więc wystarczy, jeśli postarasz się wyrobić odpowiednią liczbę godzin tygodniowo. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zamkniesz sprawę przed końcem semestru. – Rozpromieniła się. Miała okrągłe okulary w czarnych oprawkach, a gdy się uśmiechała, jej usta zmieniały się w rozciągniętą do granic możliwości wąską kreskę. Przyjrzawszy się dokładniej, zauważyłam jednak na jej nienaturalnie białych zębach ślady szminki. Może gdyby uśmiechała się częściej, nie byłaby taka zła.

– Świetnie. – Rozejrzałam się po pokoju. Ośrodek przypominał miejsce, w którym jako dziecko mieszkał Eryk. Nawet pachniał podobnie – ciepłym jedzeniem,

kawą i ludźmi. Na początku nienawidziłam tamtego miejsca, ale z czasem zaczęłam traktować je jak drugi dom. Ludzie byli tam mili, no i Eryk czuł się szczęśliwy. Może tu było tak samo.

– A teraz – pani Hall odchrząknęła i wręczyła mi listę kontrolną – przejrzyj wszystkie nazwiska na tej liście. To osoby, które zapisaliśmy na twoje zajęcia muzyczne. Idź tym korytarzem, aż do końca. Podwójne, dwuskrzydłowe drzwi zaprowadzą cię do pokoju rekreacyjnego, w którym jest pianino. Baw się dobrze, skarbie.

Drżącymi rękami wzięłam podkładkę do pisania i w pośpiechu policzyłam nazwiska. Dwadzieścia osób. Dwadzieścia osób zapisało się na moje zajęcia. Miało być fajnie, no wiecie, miałam uczyć chętnych piosenki, rozdać im instrumenty – takie jak krowie dzwonki – a po wszystkim wrócić do akademika.

Ale dwadzieścia osób?

Będzie dużo trudniej, niż się spodziewałam.

Poszłam korytarzem, aż do samego końca, otworzyłam drzwi i przed wejściem do środka wzięłam głęboki oddech.

Powietrze w sali wypełniał zapach czekoladowych ciasteczek, co natychmiast mnie uspokoiło. Tak działało na mnie jedzenie – było w nim coś pocieszającego. Ciastka budziły wspomnienia o domu. Ciastka domowej roboty przywodziły na myśl mamę i Eryka, a myślenie o nich dawało mi poczucie bezpieczeństwa i siły. Byłam

teraz silna, tak jak mama była silna dla nas.

Kilku pacjentów siedziało już na krzesłach. Niektórzy byli na wózkach inwalidzkich. Ich widok łamał mi serce.

– Cześć – zaczęłam niepewnie. – Będę prowadziła warsztaty muzyczne.

– Mów głośniej! – zawołał starszy mężczyzna. – Tu nic nie słychać.

Siedział w pierwszym rzędzie.

Odchrząknęłam i zaczęłam od początku:

– Mam na imię Saylor i...

– Żeglujesz ¹? – Siedząca z przodu dziewczyna klasnęła w dłonie, zerwała się na równe nogi i odwróciła w stronę pozostałych pacjentów. – Ja uwielbiam żeglować! Kto jeszcze lubi żeglować?

Nikt się nie odezwał.

Z radosnym westchnieniem wróciła na miejsce i zaczęła mrużyć pod nosem:

– Żeglować, żeglować, żeglować. Chciałabym znów żeglować. Miło cię poznać, Saylor!

Wypowiedziała moje imię tak głośno, że jeśli siedzący w pierwszym rzędzie staruszek i tym razem go nie usłyszał, nie było już dla niego żadnej nadziei.

– Jak już mówiłam – uśmiechnęłam się słabo – mam na imię Saylor i...

Traciłam ich.

Ich wzrok stawał się szklisty. Wiedziałam, że niektórzy pacjenci mieli problemy z pamięcią, inni byli upośledzeni umysłowo, a ja zanudzałam ich na śmierć.

Pieprzyć to. Podniosłam rękę.

– Kto chce narobić hałasu?

– Ja! Ja! Ja! – Dziewczyna z pierwszego rzędu zaczęła podskakiwać i tańczyć, zaraz też wokół niej wybuchła wrzawa.

– Cudownie – uśmiechnęłam się i zaczęłam rozdawać różne instrumenty. Miałam flety (wiecie, takie plastikowe, na których uczą się grać dzieci w podstawówce), krowi dzwonek, miniaturowe pianino, organki i trzy bębunki.

Wiedziałam, że raczej nie zdobędziemy nagrody Grammy, ale to nie miało znaczenia. Wybrałam takie instrumenty, które spodobałyby się Erykowi, bo choć mój brat nienawidził głośnych dźwięków, sam uwielbiał robić hałas.

W ubiegłym roku mama kupiła mu perkusję.

Od tamtej pory miałam problemy ze słuchem.

– Ja chcę bębenek! – Staruszek wstał z krzesła, pokuśtykał w moją stronę, wyrwał mi pałeczki i wrócił z bębniem na miejsce, uśmiechając się, jakbym właśnie podarowała mu nowy aparat słuchowy.

Miłośniczka żeglowania wybrała flet.

Rozdzielenie instrumentów zabrało mi przeszło kwadrans, głównie dlatego, że za każdym razem, gdy proponowałam coś jednej osobie, ktoś inny się o to dopominał. Podzieliłam wszystkich na grupy. Fleciści siedzieli w jednej, dobosze w drugiej i tak dalej.

– A Księżniczka? – spytał ktoś.

Obróciłam się i rozejrzałam po pokoju, próbując znaleźć wzrokiem osobę, która to powiedziała.

– Tutaj. – Głos miała wysoki, ale naprawdę ładny i czysty, prawie dziecinny.

Spojrzałam w prawo i zobaczyłam siedzącą w kącie dziewczynę na wózku inwalidzkim. Miała długie jasne włosy związane z tyłu gumką i nosiła bluzę Oregon Ducks.

Kiedy się uśmiechnęła, niewinnie i z nadzieją, znów przypomniał mi się Eryk. Jej nieruchome ręce leżały na kolanach, po obu stronach głowy miała poduszeczki, dzięki którym patrzyła przed siebie.

– Na czym chciałabyś zagrać? – Podeszłam do niej. – Zostały mi tylko bębenki, ale jeśli wolisz coś innego, zaraz to zorganizuję.

– Gitarę. – Rozchyliła usta, jakby nie miała nad nimi kontroli, i znowu się uśmiechnęła. – Chcę grać na gitarze jak mój Parker.

– Parker? – powtórzyłam z uśmiechem. – A kim jest Parker?

– Och. – Oczy miała błyszczące, ale podkrążone. Nie spała chyba przez ostatnie dziesięć lat. – To mój najlepszy przyjaciel.

– Najlepsi przyjaciele są fajni – odparłam łagodnie. Słowa utknęły mi w gardle, gdy zauważyłam, jak otwiera i zamyka usta. Próbowwała skupić na mnie wzrok, a potem zamrugała kilka razy, chcąc chyba odświeżyć umysł.

– Gitara. – Zakasłała. – Chcę zagrać na gitarze Parkera.

– Dobrze, gitara. – Spojrzałam na jej rękę. Nie ruszały się, musiała być sparaliżowana. Jak, u diabła, chciała grać na gitarze, skoro nie mogła ruszać rękami?

– Poproś pannę Janice, ona ją przyniesie.

– Panna Janice... – Wyprostowałam się, oparłam ręce na biodrach i rozejrzałam się po pokoju, zwracając uwagę na identyfikatory.

– Czerwony kapelusz – dodała dziewczyna. – Duży czerwony kapelusz.

– Słucham?

Zobaczyłam czerwony kapelusz i plakietkę z nazwiskiem: „Janice”.

– Zaraz wracam.

Podbiegłam do kobiety.

– Cześć, jestem Saylor, studentka pierwszego roku na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Prowadzę warsztaty muzyczne. Tamta dziewczyna mówiła coś o gitarze.

Kobieta przestała się uśmiechać i zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Tak, no cóż, nie może jej ruszać. To nie jej gitara.

– Ale wspomniała coś o jakimś Parkerze. Myśli pani, że miałby coś przeciwko?

Spojrzenie Janice złagodniało.

– Skarbie, ta dziewczyna jest dla Parkera kimś wyjątkowym. Nie trzeba wiele, żeby ją zdenerwować, a kiedy przypomni sobie, że nie potrafi grać na gitarze

ani nawet nie może poruszyć rękami... wpadnie w szal. Uspokojenie jej graniczy z cudem.

– Ale może gdybym tylko przyniosła gitarę...

– Przykro mi. Nie. – Kobieta uśmiechnęła się smutno i odeszła.

Musiałam wrócić do dziewczyny z pustymi rękami.

– Jak masz na imię? – spytałam.

– Księżniczka. – Zachichotała i zakasłała z takim grymasem, jakby zmuszenie mięśni do tego wysiłku przekraczało możliwości jej ciała.

– No cóż, Księżniczko. – Pochyliłam się, zbliżając twarz do jej twarzy. – Panna Janice ma dzisiaj muchy w nosie.

Dziewczyna się roześmiała.

– Musimy więc postąpić wbrew zakazom.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Co zrobimy? – spytała.

– My... – zniżyłam głos do szeptu – ukradniemy gitarę.

– Tak! – Naprężyła szyję i poruszyła głową w przód i w tył. – Tak! Możemy? Proszę! Parker miałby ubaw. Ale by się śmiał. Tęsknię za jego śmiechem. – Radość znikła z jej twarzy i Księżniczka się nachmurzyła.

– Hej. – Dotknęłam jej ramienia, choć wiedziałam, że niczego nie poczuje. – Może wystawimy cię na warcie? Jeśli ktoś zobaczy, jak kradnę gitarę, albo jeśli zaczną coś podejrzewać, krzykniesz: „Ahoj, majtku!”.

To wystarczyło.

Dziewczyna zaniósła się śmiechem.

– Jesteś naprawdę zabawna.

– Cieszę się, że ktoś tak myśli. – Mówiąc to, puściłam do niej oko. Boże, tak bardzo przypominała mi Eryka, że serce mi się ścisnęło. Brakowało mi tego dzieciaka.

– Dobra – szepnęła. – Krzyknę „Ahoj, majtku!”, jeśli zobaczę, że ktoś się przygląda, ale musisz być szybka.

– Umowa stoi. – Znowu poklepałam ją po ramieniu. – Gdzie trzymają gitarę?

– Ćśśś... – Zaciśnęła wargi, rozejrzała się po pokoju i odparła z szelmowskim uśmiechem: – Trzymają ją obok zabawek. W pudełku z napisem „Parker”.

Jak nic pakowałam się w kłopoty. Ale ta biedna dziewczyna zasługiwała na chwilę gry!

Zasalutowałam jej i czmychnęłam do kącika z zabawkami. Gitara nie była wcale ukryta. Zamknięto ją w ładnym futerale z napisem „Parker”. Łatwizna.

Otworzyłam futerał i wydałam stłumiony okrzyk, bo moje palce dotknęły jednej z najdroższych gitar, jakie w życiu widziałam.

Był to prawdziwy Fender Strat, z pięknymi rzeźbieniami dla lepszej akustyki, zupełnie jakby został zrobiony specjalnie dla tego kolesia – Parkera.

– Ahoj! Ahoj! – Donośny głos wyrwał mnie z zamyślenia.

– Mam cię! – Chwilę później usłyszałam kolejny głos. Znałam go. Klnąc pod nosem, odwróciłam się i powoli podniosłam wzrok.

Gabe.

Księżniczka siedziała obok niego i się zaśmiewała.

– Zrobiłam to! Ostrzegłam cię!

– Zapomniałaś dodać „majtku”. – Mruknęłam do niej, próbując załagodzić sytuację.

– Och, przepraszam. – Odchrząknęła. – Ahoj, majtku!

Gabe zmrużył oczy.

– To, noo... – Zatknęłam włosy za ucho. – To przez moje imię.

– Domyśliłem się.

– A więc... – Kiedy wstawałam, coś strzeliło mi w kolanach. Nawet wyprostowana sięgałam Gabe’owi zaledwie do barku.

– Kradniesz? – Skrzyżował ramiona. Pod rękawami obcisłej szarej koszulki wyraźnie rysowały się linie mięśni.

– Pożyczam – odparłam ze wzruszeniem ramion. –

Chciała grać i uznałam, że byłoby nie fair, gdyby została bez instrumentu. Prawda, Księżniczko?

Dziewczyna jakby w ogóle nie słyszała tego, co mówię. Patrzyła na Gabe’a i tylko na niego.

– Poza tym – dodałam z udawaną pewnością siebie – nie widzę tu twojego imienia.

Gabe parsknął i odgarnął włosy z twarzy. Kosmyki wydawały się lżejsze, bardziej sprężyste. Czyżby je ufarbował? Tylko po co miałyby je farbować na ciemniejszy odcień? Był jakimś gotem czy co?

– Księżniczko – odezwał się i odwrócił w jej stronę. –

Chcesz zagrać na gitarze?

– Tak, proszę. Ale tak jak ty.

Cholera. Facet śpiewał, grał na gitarze i na pianinie. Bosko. Dla dziewczyny takiej jak ja był chodzącym ideałem. Nawet gdyby był brzydki, wzdychałabym do niego i robiła maślane oczy.

Muzycy to dziwni ludzie.

Gabe patrzył teraz na mnie.

– Nie teraz, Księżniczko. Myślę, że twoja nauczycielka ma rację, choć nie pochwalam jej metod.

Słyszając to, przewróciłam oczami.

– Powinnaś nauczyć się grać.

– Hura! – Jej głowa poruszyła się nieznacznie w przód i w tył, a z kącika ust pociekła strużka śliny.

Gabe pochylił się nad dziewczyną i otarł jej usta skrawkiem bluzy.

– Widzę, piękności, że założyłaś moją ulubioną bluzę.

– Zauważyłeś! – Rozpromieniła się.

– Zawsze zwracam uwagę na to, co masz na sobie – wyszeptał i pocałował ją w czoło. Dziewczyna zakasłała, co wyraźnie go zaniepokoiło. – Może wezmę gitarę i dołączymy do grupy? Ty zanucisz piosenkę, a ja będę grał. Co ty na to?

– Jak drużyna. – Gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Zawsze będziemy drużyną, Księżniczko. – Gabe czułym gestem zamknął jej usta, wziął gitarę i pchnął wózek w kierunku zebranych w sali pacjentów.

Stałam jak wryta. Czy ten gościu mnie prześladował? Co on tu robił? I skąd znał tę dziewczynę?

– Idziesz, nauczycielko? – zapytał z kpiną, jakby chciał rzucić mi wyzwanie. Odwrócił się przez ramię i dodał nieco ciszej: – Czy sami mamy się uczyć?

– Jasne. – Z każdym chwiejnym krokiem czułam, jak opuszcza mnie pewność siebie, bo byłam przekonana, że jeśli ktoś tu miał uczyć, powinien to być Gabe, nie ja.

Poszczególne grupy grały na swoich instrumentach. Walenie w bębunki mieszało się z dźwiękami fletu, jakby moi uczniowie wybierali się na wojnę, a przy okazji postanowili przyprawić nas wszystkich o ból głowy. Jednak w moich uszach brzmiało to jak muzyka – nawet krowie dzwonki, których dźwięk wydawał się dziwnie nie na miejscu. Wszyscy bowiem się uśmiechali.

Nawet Gabe.

Przeklełam w duchu ten jego zniewalający uśmiech.

Nie podobało mi się to, że byłam zazdrosna, bo nie miałam do tego żadnego prawa! Nawet go nie lubiłam, a jednak... Zastanawiałam się, jak by to było spotykać się z Gabe'em. Być dziewczyną, do której tak często się uśmiechał. Która zasługiwała na jego uśmiech.

Bo nie uśmiechał się do mnie. Uśmiechał się do niej. Jakby była jedyną kobietą na świecie.

Rozdział 16

*Nie wiedziałem, jak wiele może
znieść serce... Za każdym razem,
gdy się uśmiechała, traciłem
cząstkę siebie, bo nie był to ten sam
uśmiech, jej oczy nie były już takie
same, ale złożyłem obietnicę.
Utknąłem w czyścicu, skąd wszystko
wyglądało dobrze. Nawet piekło. –
Gabe H.*

Gabe

Saylor wydawała się zdenerwowana jak diabli. Dwukrotnie klasnęła w dłonie. Ci, którzy mogli, zrobili to samo. Inni, którzy byli sparaliżowani, jak Księżniczka, mieli rytmicznie pokrzykiwać.

Świetny pomysł, bo dzięki temu nie czuli się wyobcowani. Księżniczka dostała fujarkę. Bałem się, że ogłuchnę przed końcem lekcji.

Dziesięć minut.

Jeszcze dziesięć minut i zabiorę Księżniczkę na piątkowy popołudniowy spacer, poczytam jej i pocałuję ją w czoło.

Potem pożegnam się z nią jak zawsze.

A ona, jak zawsze, każe mi obiecać, że wrócę.

Przed wyjściem porzygam się w łazience... jak zawsze.

– To wszystko na dziś! Świetna robota! – Saylor nagrodziła ich brawami, a oni odpowiedzieli okrzykami i zaczęli oddawać instrumenty.

– Gabe. – Marta poklepała mnie po ramieniu. – Masz chwilkę?

– Jasne. – Spojrzałem na Księżniczkę. – Zaraz wracam. Bądź grzeczna, dobrze? Żadnych kradzieży i rozmów z piratami. – Mówiąc to, uśmiechnąłem się znacząco do Saylor. – Ani z żeglarzami.

– Ahoj, majtku.

No tak, przez kolejny miesiąc to będzie jej ulubione powiedzenie. Wielkie dzięki, Saylor.

Poszedłem za Martą do jej gabinetu.

Sądząc po tym, jak unikała mojego wzroku, nie miała mi do przekazania dobrych wieści.

– Co tym razem?

Marta otworzyła teczkę.

– Dobra wiadomość jest taka, że w porę zatrzymaliśmy infekcję płuc, ale prawdopodobnie będziemy musieli podać jej tlen.

– Cholera. – Ukryłem twarz w dłoniach. – Jest zbyt krucha. Jej ciało nie wytrzyma kolejnych infekcji.

Cokolwiek trafiłoby do chorych płuc Księżniczki, nie mogłoby się z nich wydostać. Normalnie ludzie kasłali

tak długo, aż wracali do zdrowia. Księżniczkę infekcja mogłaby po prostu zabić. Wszelkie niebezpieczeństwa związane z zapaleniem płuc potęgował paraliż.

– Gabe... – Marta oblizała wargi i pochyliła się do przodu. – Tylko ty się o nią martwisz, jesteś jej jedyną rodziną. Może jeśli z nią porozmawiasz, zgodzi się, żebyśmy podali jej tlen bez konieczności włączenia środków uspokajających.

– Ich zastosowanie mogłoby mieć dla niej śmiertelne skutki.

– Nie, jeśli będzie pod tlenem.

Jedyne, co słyszałem, to tykanie zegara na ścianie gabinetu. Mijały sekundy, minuty.

Nienawidziłem czasu. Nienawidziłem tego, że jestem za nią odpowiedzialny i że nie wiem, co robić.

– Zapalenie płuc jest uleczalne. Nic jej nie będzie, Gabe. – Marta zamknęła teczkę.

– Mogę zostać na chwilę sam?

– Oczywiście. – Odsunęła krzesło, wstała zza biurka i wyszła z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Zostałem tylko ja i zegar.

I kolejne decyzje.

Decyzje, których nie powinienem podejmować w takim stanie umysłu.

– *Nie!* – krzyczała pani Unifelt. – *Nie pozwólcie jej umrzeć!*

Chwyciłem ją za ręce i próbowałem wyprowadzić z pokoju, gdy lekarz uwijał się przy łóżku Kimmy.

– Proszę ją stąd zabrać! – zwrócił się do mnie.

Pani Unifelt była krzepką kobietą, a ja w wieku osiemnastu lat nie miałem dość siły, by odciągnąć ją od córki. Walczyła jak lwica broniąca swoich młodych.

– Zróbcie wszystko, co możliwe! – zawodziła. – Proszę! – Łzy płynęły jej po policzkach i skapywały na moje ręce. Chociaż były ciepłe, dygotałem, jakbym umierał razem z Kimmy.

Wiedziałem, że tak będzie dla niej najlepiej. Kimmy nie chciałyby takiego życia. Nie chciała być uwięziona we własnym ciele i wegetować. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale nie wyobrażałem sobie, że mogłaby chcieć żyć w zniewoleniu. Nie móc biegać, nie mieć dzieci, nie być taką, jaką była kiedyś.

– Spróbujemy – odparł w końcu lekarz. – Ale proszę opuścić pokój.

Kilka godzin później pozwolili nam ją zobaczyć.

Nie spodziewałem się, że będzie wyglądała tak normalnie.

Wyglądała jak moja Kimmy, choć twarz miała posiniaczoną, a usta zaciśnięte.

– Proszę do niej mówić – poinstruowała nas pielęgniarka. – Ona wszystko słyszy.

– Kimmy? – szepnąłem. – To ja, Parker... Kocham cię, Kimmy.

Jej powieki zadrżały i otworzyła oczy. Była przerażona, jakby przeszła prawdziwe piekło.

Ciśnienie krwi gwałtownie wzrosło, a kardiomonitor

wydał z siebie przeciągły pisk.

– Nie – powiedziała bezgłośnie. – Nie, nie! –
Poruszyła głową w przód i w tył.

I wtedy dostała ataku.

Kiedy następnym razem otworzyła oczy, dostrzegłem
w nich pustkę.

Dziewczyna, którą kochałem, odeszła.

Powoli wróciłem do pokoju rekreacyjnego.
Większość pacjentów była zajęta oglądaniem filmu.

Ale nie Księżniczka.

Siedziała przy otwartym oknie.

– Cholera! – Przebiegłem przez pokój i zamknąłem
okno. – Co ty sobie, do cholery, wyobrazasz?

Saylor niewinnie zatrzepotała rzęsami.

– Powiedziała, że chciałaby wyjść na dwór.

– Oszalałaś? – ryknąłem. – Ona nie może wychodzić
na dwór! Gdyby wyszła, mogłaby umrzeć!

– Ale...

– Idź już. Dość złego narobiłaś!

– Gabe, ja...

– Wynoś się! – krzyczałem tak, że bolało mnie
gardło.

Saylor cofnęła się o krok, potem drugi, aż w końcu
odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi.

– Nie powinieneś krzyzczeć, Parker – upomniała mnie
Księżniczka.

– Tak, cóż... Nie powinna mnie prowokować.

– Na powietrzu jest tak miło. – Jej twarz pojaśniała.

– A skoro o tym mowa... – Nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć. – Będą musieli podać ci trochę powietrza. Chciałabyś, prawda? Skoro tak bardzo tęsknisz za wychodzeniem na dwór.

Skrzywiła się.

– Będzie bolało?

– Nie, to trochę jak pocałunek.

– Tęsknię za twoimi pocałunkami.

Jej głos brzmiał niemal normalnie. Miałem wrażenie, że gdybym zamknął oczy, to wszystko, co się działo w ciągu ostatnich kilku lat, okazałoby się snem wariata, a ona znowu byłaby sobą. Mógłbym ją tulić, całować jej usta, mówić, że ją kocham. Moglibyśmy się śmiać, kochać i wszystko byłoby tak jak kiedyś.

– Parker. – Piskliwy głosik powrócił. – Otwórz oczy, głuptasie. Żadnego spania.

– Masz rację. – Głos mi drżał. – Żadnego spania.

Czy to możliwe? Minęły cztery lata, odkąd spokojnie przespałem całą noc. Cztery lata, odkąd mogłem spojrzeć na siebie w lustrze, nie czując nienawiści.

A teraz? Nawet nie chciało mi się patrzeć. Chyba że musiałem. Wiedziałem, jak wygląda moje odbicie. Ból. Smutek. Poczucie winy. I najgorsze... Oszustwo. Moje lustrzane odbicie było jednym wielkim oszustwem.

Zawiozłem Księżniczkę z powrotem do jej pokoju i zadzwoniłem do Wesa.

– Taa?

– Jestem gotowy.

- Gotowy na co?
- Na rozmowę.
- Stary, nie możesz znaleźć kogoś innego, kto wytłumaczy ci, skąd biorą się dzieci?
- Zabawne.
- Uśmiechasz się.
- Zamknij się.
- Westchnął.
- Więc mów.
- Spotkajmy się w kampusowym Starbucksie.
- Mam przyjść sam czy z Kiersten?
- Lepiej weź ją ze sobą. Będę potrzebował was obojga, jeśli mam przeżyć... Obaj wiemy, że Kiersten byłaby gotowa mnie zabić.
- Do zobaczenia o dziesiątej.

Rozdział 17

Wszyscy noszą maski. W różnych kształtach i rozmiarach. Jedyne problem z nakładaniem masek polega na tym, że tak dobrze się w nich czujemy. Jakże szybko uświadamiamy sobie, że nie musimy być tym, kim naprawdę jesteśmy. Jak łatwo przekonać samych siebie, że musimy ukryć to, jacy się urodziliśmy. To straszne, że lęk nie pozwala nam wypełnić naszego przeznaczenia. To piekło, gdy osoba, którą mieliśmy być, zostaje zastąpiona przez jakiegoś taniego oszusta. – Wes M.

Gabe

Szedłem do Starbucksa jak na skazanie. Wiedziałem, że Wes wie. Zastanawiałem się, co było gorsze. To, że on wiedział, a ja nic nie mówiłem? Czy to, że w końcu wyznam mu całą prawdę, a on obrzuci mnie tym swoim spojrzeniem. Spojrzeniem, które będzie mówiło, jak bardzo się na mnie zawiódł.

Nienawidziłem tego spojrzenia. Tak samo patrzyła na mnie jej mama tamtego dnia w szpitalu. Tak samo patrzył na mnie ojciec, gdy rzuciłem swoją głównianą karierę i przeprowadziłem się do Seattle.

Współczucie? Nienawidziłem go. Ale sytuacja, w której ktoś oceniał twój charakter? W której odkrywał, że daleko ci do osoby, za którą się podajesz? To było piekło. Nie miałem pewności, czy rzeczywiście jestem gotowy na rozmowę z Wesem. Był dla mnie jak brat, a ja zamierzałem wszystko popsuć.

Moje pojawienie się obwieścił wiszący nad drzwiami dzwonek. Wes siedział przy stoliku w kącie. Przycupnięta obok niego Kiersten tuliła się do jego ramienia. Nie widzieli mnie, i może tak było lepiej.

Byłoby fajnie.

Mieć dziewczynę. Normalne życie. Pójść z nią do kawiarni, objąć, gdyby zrobiło jej się zimno, otulić ją szalikiem i pocałować w policzek.

Kimmy uwielbiała Seattle – miała obsesję na punkcie tego miasta. Odkąd pamiętam, fascynował ją deszcz. Przysięgam, całowałem ją w deszczu tak wiele razy, że w końcu zaczęło mi się to podobać. Oto co filmy robią z dziewczynami. Ogłupiają je, ale nie dbałem o to, bo chodziło o nią. A dla niej zrobiłbym wszystko. Wszystko.

Zacisnąłem pięści i niepewnie ruszyłem w stronę stolika. Cholera, zanim dotarłem do krzesła, byłem na granicy hiperwentylacji.

Zmęczony. Byłem tym wszystkim cholernie zmęczony.

– Hej. – Głos Wesa był tak łagodny, pełen troski i zrozumienia, że miałem ochotę walnąć go w tę jego idealną gębę. – Kiersten, mogłabyś przynieść Gabe’owi kawę? Wygląda, jakby potrzebował kofeiny.

– Jasne. – Kiersten posłała mi pełne współczucia spojrzenie i odeszła od stolika.

– Nie mów jej – wypalił Wes. Sądząc po jego minie, był równie zaskoczony jak ja.

– Co?

– Nie mów Kiersten. – Nachylił się w moją stronę. – Była ze mną, gdy dzwoniłeś, inaczej bym jej nie wziął.

– Ale... – Miałem mętlik w głowie. – To twoja narzeczona. Mówicie sobie wszystko. W porządku, muszę to z siebie wyrzucić, to...

– Nie chodzi o to, że się dowie – wtrącił Wes i sięgnął po telefon. – Tu chodzi o jej bezpieczeństwo. Przeze mnie dziennikarze i fani nie dają jej spokoju. Jak myślisz, co się wydarzy, kiedy dowie się o tym? Będzie chciała ci towarzyszyć, wspierać cię, a ja będę musiał wrywać ją z twoich objęć... No i jeszcze twój ojciec... – westchnął. – Stary, są rzeczy, które powinieneś wiedzieć.

– Zaraz – prychnąłem, wściekły, że Wes wie więcej, niż się spodziewałem. – Czy to nie ja miałem wywalić z siebie wszystko i prosić cię o radę?

– Za późno. – Odwrócił wzrok i zamknął oczy. –

Posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzony...

– Wkurzony? – roześmiałem się. – Raczej zdradzony, ale dopóki Kiersten jest bezpieczna, wszystko jest przecież w porządku.

– Gabe...

– Nie nazywaj mnie tak.

– Wolisz, żebym mówił do ciebie Parker? – Rzucił mi wściekłe spojrzenie. – A może Ashton? Tego chcesz? Żeby wszyscy się dowiedzieli? Gdyby Kimmy...

– Nie waż się – wypadłem do przodu, chwyciłem go za koszulę i szarpnięciem postawiłem na nogi – wymawiać jej imienia!

– Puść mnie. – Wes zmrużył oczy.

– Koniec z nami.

– Nie – rzucił, zbyt spokojnie jak na mój gust. – Wcale nie. Jesteśmy drużyną. Pomogę ci przez to przejść. Coś wymyślimy. Proszę tylko, żebyś nie mieszał do tego dziewczyny, którą obaj kochamy.

Puściłem jego koszulę, opadłem na krzesło i potarłem twarz dłońmi, moimi wytatuowanymi dłońmi pozera.

– Hej, jesteś pewien, że Gabe potrzebuje kawy? – zażartowała Kiersten, stawiając przede mną papierowy kubek. – Może potrzeba ci seksu?

Jęknąłem, zasłaniając twarz.

– Gabe.

Czyjaś ciepła dłoń dotknęła moich palców. Otworzyłem oczy i zobaczyłem promienny uśmiech

Kiersten.

– Wszystko w porządku? Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, prawda? To dlatego chciałeś się spotkać?

Do diabła, Wes. Kłamstwa. Kolejne kłamstwa. Ile jeszcze, zanim moja dusza będzie czarna jak smoła?

– Tak – wychrypiałem. – Chciałem pogadać z wami o urodzinach Lisy. To już niedługo i pomyślałem, że moglibyśmy przygotować coś fajnego.

– No tak! Zupełnie zapomniałam! – Kiersten klasnęła w dłonie i zaczęła paplać o przyjęciu niespodziance, podczas gdy Wes zerknął na mnie i powiedział bezgłośnie: „Dziękuję”.

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

Godzinę później Kiersten poszła w końcu na zajęcia. Do tego czasu wypilem co najmniej trzy kawy i byłem wykończony. Przynajmniej nie dzwonili do mnie z domu opieki, a to znaczyło, że Księżniczka ma się dobrze – na razie.

Wes odchylił się na krześle i westchnął.

– Przejdźmy się – zaproponował.

– Wolałbym wałnąć cię w twarz – wysyczałem. – Ale spacer to chyba lepszy pomysł.

– Dupek z ciebie, wiesz? – Uśmiechnął się znacząco.

– Na tym polega mój urok.

– Możliwe – parsknął. – Nie nadużywasz go ostatnio?

– Zamknij się.

Wyszliśmy z kawiarni i powoli ruszyliśmy w stronę akademików.

– Ta cała Saylor jest słodka.

Jeśli na tym jego zdaniem miała polegać rozmowa towarzyska, będzie musiał zweryfikować swoje poglądy.

– Koty też. Ale to nie znaczy, że kupię od razu dziesięć i umrę samotny z ręką w rozporoku.

– Koleś. – Wes pokręcił głową. – Z takim podejściem daleko nie zajedziesz.

– Co? – Kopnąłem szyszkę i ukryłem dłonie w kieszeniach. – Poza tym jest irytująca jak diabli i wcale nie jest słodka. – Kolejne kłamstwa. Powinienem zrobić na tym karierę. Super, a zatem przeznaczony był mi los oszusta, co niewiele odbiegało od mojej obecnej roli.

Wes nie pociągnął tematu i w milczeniu doszliśmy do żeńskich akademików. W końcu jednak nie wytrzymał.

– Naprawdę uważasz, że nie jest słodka? – spytał.

Poirytowany podniosłem głos.

– Wes, Saylor jest najbardziej irytującą i nieatrakcyjną dziewczyną, z jaką miałem do czynienia w ciągu ostatnich czterech lat. To wiele mówi. Daj spokój, stary. Poza tym myślałem, że pogadamy.

Usłyszałem obok stłumiony okrzyk.

Odwrociłem się i stanąłem twarzą w twarz z Saylor. Łzy w jej oczach mieszały się z wściekłością, gdy pobiegła pędem w stronę akademika.

Chwilę później usłyszeliśmy szcęk zamykanych drzwi.

– Myślisz, że słyszała? – Wes się skrzywił.

– Co z tobą? – Miałem ochotę go stłuc albo po prostu coś rozwalić.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Nie mogę być szczery?

– Możesz, ale wolałbym, żebyś na chwilę przestał kłapać dziobem – mruknąłem.

Palce mnie swędziały, taką miałem ochotę przestawić mu tę jego facjatę.

Wzruszył ramionami.

– Skoro nawet z najlepszym kumplem nie jesteś szczery i nie potrafisz powiedzieć, że podoba ci się dziewczyna, rozmowa o twojej przeszłości nie ma sensu. Nie jesteś na nią gotowy. Ty chcesz pogadać, bo czujesz się winny. Ja chcę, żebyś powiedział mi prawdę, bo tego chcesz. Dlatego, że potrzebujesz pomocy, nie dlatego, że najwyższy czas, żebym poznał twoją historię. Zresztą i tak ją znam.

– To bez sensu. – Ściągnąłem brwi.

– Opowiedz mi swoją historię – kontynuował Wes – kiedy poczujesz, że chcesz się nią ze mną podzielić, a nie z braku innego wyboru. Nie przychodź do mnie, bo wydaje ci się, że nie masz już siły odpychać mnie i okłamywać. Przyjdź, kiedy uznasz, że zasługuję na to, żeby poznać prawdę. Bo na razie nie jesteś gotowy, a ja mam tylko ochotę skopać ci ten żałosny tyłek.

Wypuściłem powietrze, jakby uderzył mnie w brzuch. Jakim prawem ten koleś mówił mi takie rzeczy? Miałem ochotę krzyczeć, wrzeszczeć, ale kiedy otworzyłem usta,

dobył się z nich jedynie chrapliwy jęk.

Wes poklepał mnie po ramieniu i ruszył w stronę drzwi. Zanim wszedł do budynku, odwrócił się jeszcze i rzucił:

– A tak przy okazji, twój ojciec cię szukał.

– Jak...

– Zająłem się tym. Byłem w administracji, kiedy przyszedł, i sprzedałem mu jakąś wiarygodną bajeczkę. Ale, Gabe... masz coraz mniej czasu. Musisz zacząć myśleć, co z tym zrobić. Ucieczka nie jest rozwiązaniem, podobnie jak narażanie tej biednej dziewczyny na kontakt ze światem. Po prostu... podejmij decyzję i wiedz, że gdy to zrobisz, będę gotowy cię wysłuchać.

Po tych słowach zniknął za drzwiami budynku, a ja poczułem się jeszcze większym dupkiem niż na początku naszej rozmowy.

Cholera.

Nie mogłem znieść myśli, że miał rację, tak jak nie mogłem pogodzić się z tym, że tkwiłem w błędzie. Niech to szlag! Z wściekłości zacząłem kopać w ścianę i waliłem w nią aż do chwili, gdy wydało mi się, że złamałem palec.

– Spokojnie. – Usłyszałem za plecami głos Lisy. – Ściany mają to do siebie, że raczej ci nie oddadzą.

– Daj spokój. – Głos mi drżał.

– Wes wysłał mi wiadomość.

Jęknąłem. Co tym razem? Wystarczyły mu dwie

sekundy, żeby napisać do Lisy i zakapować na mnie?
Cudownie.

– Wes ma się trzymać ode mnie z daleka.

– Ash...

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Po prostu daruj sobie, Liso. Nie mogę. Nie teraz.

– Jesteśmy rodziną.

Słyszając to, wybuchłem śmiechem i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Zabawne... Nasze pierwsze kłamstwo.

Rozdział 18

*Co ja mu zrobiłam? Oprócz tego,
że słuchałam, jak wyżywa się na
pianinie, i otworzyłam głupie okno?
Nic. Gabe był nieciekawym typem
– bardzo, bardzo nieciekawym. Był
niczym burza, która zastała mnie
bez parasola. – Saylor*

Saylor

Wbiegałam po dwa stopnie naraz, starając się opanować łązy. Nie chciałam, żeby Lisa zobaczyła mnie w takim stanie. A już na pewno nie miałam ochoty rozplakać się przy kimś takim jak ten dupek – Gabe.

Pewnie. Wiedziałam, że nie jestem typem supermodelki, ale czy musiał mówić to w taki sposób? Musiał być taki niemiły? Znowu poczułam się zażenowana. Jego twarz – wyrażała całkowite obrzydzenie. Jakbym cuchnęła i cierpiała na jakąś nieuleczalną chorobę.

Zakłuło mnie w piersi.

Nienawidziłam tego uczucia. W przeszłości zbyt

długo musiałam je znosić. Kiedy Eryk bez przerwy płakał i ja płakałam – z bezsilności. Nie potrafiłam mu pomóc. Był zagubiony we własnym umyśle. Nie potrafił odróżnić ludzi, którzy chcieli mu pomóc, od tych, którzy chcieli go skrzywdzić. Wtedy nie miałyśmy pojęcia, że cierpiał na zaburzenia przetwarzania sensorycznego.

Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio płakałam.

Może dlatego moje łzy były takie gorzkie. Czy to ważne, co myślał na mój temat Gabe? Uważał, że jestem brzydka. Nienawidził mnie. I co z tego? To przecież nic nie znaczyło, prawda?

Tylko że z jakiegoś powodu ten człowiek mnie prześladował.

Może nie prześladował mnie dosłownie, ale w pewnym sensie jednak tak. Otóż kiedy wychodziłam z domu opieki, powiedziano mi, że Gabe ma pełną swobodę działania na terenie ośrodka i że gdybym miała jakieś problemy, powinnam się z nimi zwrócić właśnie do niego.

Jakby to było takie proste.

Rozmowa z Gabe'em była jak oglądanie disnejowskiego filmu i nieśpiewanie pod nosem motywu przewodniego.

Niemożliwa.

Zanim dotarłam na piętro Lisy, moje łzy zdążyły już wyschnąć. Dam radę. Za kilka tygodni zaczną się wakacje. Musiałam tylko zaliczyć te jedne zajęcia. Co

gorszego mogło się wydarzyć? A więc Gabe mnie nienawidził. A więc był wolontariuszem w miejscu, od którego zależało moje zaliczenie i stypendium.

To nic.

Nic mi nie będzie.

Rozdział 19

Moją duszę toczyła choroba, która zaczynała przejmować kontrolę nad ciałem. Sączyła się do najgłębszych zakamarków mojego życia. Jak się nazywała? Cóż, to dopiero jest zabawne. Nosiła trzy nazwy. Gabe, Ashton i Parker. A mówią, że ludzie z rozszczepieniem osobowości mają problemy. Ja zrobiłbym wszystko, żeby zabić swoje alter ego. Problem polegał na tym, że gdybym to zrobił, zostałbym z niczym. A ona by tego nie chciała. O nie. Tylko ja tego pragnąłem. Tylko. Ja. – Gabe H.

Gabe

Minął tydzień bez żadnego kontaktu z ojcem. Po raz kolejny zmieniłem numer telefonu i zadzwoniłem do wystawców kart kredytowych, żeby upewnić się, że nie wykorzystał żadnych kruczków prawnych i nie dobrał się do tego, co w świetle obowiązujących przepisów nie należało do niego.

Byłem bezpieczny.

Kolejny pożar został ugaszony – przynajmniej chwilowo. Nie musiałem się martwić aż do czasu, gdy mnie znajdzie, do czasu, aż połączy kropki. Co wcześniej czy później na pewno się stanie. Kiedyś. Pewnego dnia kropki same się połączą. Cholera, znowu zaczęło mi odbijać.

Pozostał tylko problem Saylor, która pracowała w domu opieki.

Uznałem, że unikanie kręcenia się po ośrodku w dni, w które odbywała swój staż, byłoby całkiem bez sensu. Jej obecność tam oczywiście mnie stresowała. Wiedziałem, że Saylor jest o krok od odkrycia prawdy na mój temat. Jedno potknięcie, trochę grzebania w internecie i było po mnie.

Cztery lata ukrywania się. Wszystko na nic.

Zrezygnowany powlokłem się do budynku i odszukałem Martę.

– Cześć. Dzięki, że znalazłaś dla mnie czas.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się ciepło. – Chcesz kawy? Nie wyglądasz za dobrze.

– Auć... – Dotknąłem ręką piersi i rozciągnąłem usta w uśmiechu. – To nie było zbyt miłe. Myślisz, że przez to poczuję się lepiej?

– Przeżyjesz – rzuciła oschle. Uniosła brwi, postawiła przed sobą kubek z kawą i pochyliła się do przodu. – A więc, o co chodzi, szefie?

– Ha! – Przewróciłem oczami. – Dobre pytanie.

- Przekonamy się.
- Odchrząknąłem i pospiesznie zmieniłem temat.
- Chcę zwiększyć ochronę.
- Rozumiem. – Zabębniła placami po blacie. – Z jakiegoś konkretnego powodu?
- A potrzebny ci powód? – warknąłem.
- Spoważniała.
- Gabe, kochanie, co się dzieje?
- Nic, czym musiałybyś się przejmować. – Mówiąc to, zerwałem się na równe nogi.
- Skoro tak uważasz.
- Tak właśnie uważam – odparłem pospiesznie. – Po prostu zadzwoń do firmy ochroniarskiej i powiedz, żeby postawili przed wejściem dodatkowych dwóch ludzi. Załatw to wszystko jeszcze dziś, żeby nikt obcy nie mógł wejść do budynku ani z niego wyjść. A, i jeszcze jedno, przejmuję nadzór nad realizacją programu wolontariatu.
- Marta omal się nie zakrztusiła.
- Zwalniasz mnie?
- Ależ skąd – westchnąłem. – Potrzebuję cię, Marto, wiesz o tym. Po prostu nie ufam tej całej Saylor. To znaczy, niewiele o niej wiemy, no i za bardzo zbliżyła się do...
- ...Księżniczki.
- Tak – wychrypiałem.
- Cóż... – Marta wstała. – Jak już mówiłam, ty tu jesteś szefem, więc zrobisz, jak będziesz chciał. Ale,

Gabe...

Spojrzałem w jej szaroniebieskie oczy. Znałem ją od dawna. Nigdy mnie o nic nie pytała, nawet gdy wprowadzałem idiotyczne zmiany czy formułowałem prośby, które wydawały się kompletnie pozbawione sensu.

– Tak?

– Wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać.

Ha, gdyby tylko miała świadomość, ile osób mówiło mi to samo. Ale rozmowa nie była mi potrzebna.

– Dzięki. – Obliziałem usta. – Będę pamiętał.

Pokiwiała ze smutkiem głową i wyszła z pokoju.

Przeczesałem palcami włosy, zerkając na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła dziesiąta. Saylor będzie tu lada chwila.

Dam radę. Muszę.

Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie, dlaczego podjąłem decyzję, żeby stać się częścią jej życia, gdy tak naprawdę miałem ochotę obrócić się na pięcie i uciec. Ponieważ Wes miał rację.

Podobała mi się... i było to uczucie, którego nie doznawałem od bardzo dawna. Ostatni raz, gdy poszedłem za głosem serca, skutki okazały się tragiczne.

Poza tym. To już się więcej nie powtórzy.

Bo wciąż miałem swoją Księżniczkę.

Na tym polegał problem. Nie mogłem znieść myśli, że pragnę czegoś, czego nie mogę mieć. A Saylor?

Pragnąłem jej bardzo, ale to bardzo mocno.

Rozdział 20

*Patrzenie, jak ktoś ci bliski
przechodzi trudne chwile, to jak
tkwienie w więzieniu własnego
sparaliżowanego ciała. Masz
ochotę krzyczeć, wrzeszczeć, pomóc
tej osobie, ale twoje ciało ani
drgnie i wiesz, że niezależnie od
tego, jak bardzo będziesz się starał,
ostateczny wybór i tak będzie
należał nie do ciebie, lecz do niej.
Nie możesz decydować za innych.
Cóż za straszna świadomość,
zwłaszcza że ludzie, którzy zatracili
się w poczuciu beznadziejności, nie
dostrzegają żadnych rozwiązań.
Czasami mam ochotę krzyknąć:
„Rozejrzyj się!”. Ale w chwili, gdy
wypowiadam te słowa, Gabe
zamyka oczy. – Wes M.*

Saylor

Wymuszonym uśmiechem powitałam ochroniarzy stojących przed wejściem do ośrodka i podeszłam do biurka, żeby podpisać listę obecności.

Marta obrzuciła mnie spojrzeniem, poprosiła o telefon i odprawiła machnięciem dłoni.

Zamierzałam rozpocząć zajęcia wspólnym obejrzeniem fragmentu musicalu, a potem zachęcić pacjentów do nauczenia się kilku nowych piosenek – wszystko, żeby uniknąć wychodzenia na środek i przemawiania. Nie to, żebym miała coś przeciwko pogadankom. Po prostu trochę się stresowałam, a po tym, jak usłyszałam od Gabe'a, że jestem brzydka... Cóż, powiedzmy, że nie czułam się szczególnie pewna siebie.

Nawet wyrzuciłam tę głupią bluzę.

Przynajmniej nie wyglądałam już jak bezdomna.

Otworzyłam metalowe drzwi do pokoju rekreacyjnego.

I mało nie uciekłam.

Gabe majstrował coś przy odtwarzaczu DVD, podczas gdy kilku pacjentów siedziało w milczeniu i czekało, co się wydarzy.

Idąc w ich stronę, czułam, że poca mi się dłonie. Dobra, nie panikuj, uspokajałam się w myślach. Pewnie tylko pomaga podłączyć telewizor.

Kiedy stanęłam obok Gabe'a, zmusiłam się do uśmiechu i poklepałam go w ramię.

– Co? – Nie odwrócił się.

I cała uprzejmość ze mnie wyparowała.

– Co robisz? – warknęłam.

– Och! – Gabe przestał grzebać przy odtwarzaczu

i podniósł się z kolan. Był tak wysoki, że instynktownie się cofnęłam. – Podłączam ci sprzęt, żebyś mogła wyświetlić film.

Odetchnęłam z ulgą.

– A przy okazji, teraz ja odpowiadam za projekt, więc w dni, kiedy tu jesteś, będziemy działać razem.

– Żartujesz, prawda? – Nogi ugięły się pode mną.

– Obawiam się, że nie. – Mówiąc to, zmrużył oczy. – Masz z tym jakiś problem?

– Nie podoba ci się to, co robię? – Oddychałam z trudem. – O to ci chodzi? Aż tak bardzo mnie nienawidzisz?

Gabe przechylił głowę i splótł ramiona.

– Gdybym cię nienawidził, to bym cię zwolnił.

Zaczerpnęłam powietrza, żeby powstrzymać krzyk. Wiedziałam, że formalnie rzecz biorąc, nie mógł mnie zwolnić, ale mógł zamienić moje życie w piekło i powiedzieć profesorowi, że odwałam głównianą robotę, co jak nic wpłynęłoby na moją ocenę.

– Skończyliśmy?

Cisza.

– Dobra. – Odwrócił się i włączył telewizor.

Na ekranie pojawiło się menu DVD, ale ja wciąż stałam w bezruchu. Gabe cztery razy klasnął w dłonie.

Ci z pacjentów, którzy mogli klaskać, zrobili to samo.

– Posłuchajcie. – Uśmiechnął się. – Dziś razem z Saylor obejrzymy film i dowiemy się więcej na temat musicali.

Pokój wypełniły okrzyki radości.

– Saylor? – Jego uśmiech przygasł, kiedy nasze oczy się spotkały. – Chcesz opowiedzieć o tym, co będziemy oglądać?

– Jasne. – Głos miałam schrypnięty z emocji. Dlaczego pozwalałam mu sobą poniewierać? Potarłam dłonią swoją białą koszulkę, próbując opanować łzy.

Nie znałam nikogo, kto by mnie tak nienawidził.

Kto upokorzyłby mnie tak wiele razy.

I kto potrafił zawrócić w głowie każdej żyjącej istocie, łącznie z dziećmi i zwierzętami, jakby chciał mi pokazać, że jestem dla niego nikim. Nieatrakcyjną, irytującą dziewczyną.

– A więc, dziś obejrzymy... – Głos mi drżał, w głowie miałam kompletną pustkę. Wszyscy patrzyli na mnie z wyczekiwaniem, ale ja nie potrafiłam znaleźć słów. Łzy paliły mnie w gardło, sprawiając fizyczny ból. Położyłam rękę na piersi i powiedziałam sobie w duchu, że muszę oddychać, skupić się na wciąganiu powietrza i wydychaniu go. Że niepotrzebnie się denerwuję. Zamiast tego moja dolna warga zaczęła drżeć. Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy rozejrzałam się po sali. I zdołałam zaledwie rzucić zduszonym głosem: – Przepraszam, muszę wyjść.

Wybiegłam z pokoju do najbliższej łazienki, zamknęłam za sobą drzwi i pochylona nad porcelanową umywalką zaniosłam się szlochem.

Chwilę później usłyszałam szcęk drzwi.

Cholera. Nie zamknęłam ich na zamek. Obróciłam się i stanęłam twarzą w twarz ze sprawcą mojego załamania.

Gabe.

Cofnęłam się pod ścianę i spojrzałam w stronę Gabe'a, ale łązy przesłoniły mi widok. Widziałam jedynie zarys jego twarzy, nic więcej. Obiecałam sobie, że nigdy nie będę jedną z tych dziewczyn, które pozwalają, żeby facet miał nad nimi władzę. Nie powinien był zobaczyć moich łez – nawet ja nie chciałam ich widzieć. Nie chciałam ich czuć. Pragnęłam, żeby zniknęły. To przez niego przeżywałam mękę!

– Wszystko w porządku? – spytał łagodnie.

– A wyglądam, jakby wszystko było w porządku? – warknęłam, ocierając oczy. – Po prostu zostaw mnie. Proszę. Czuję się wystarczająco zażenowana.

– Zażenowana? – Zachowywał się, jakby nie wiedział, o czym mówię.

– Tak! Zażenowana, rozumiesz? Już samo przebywanie w twoim towarzystwie zawstydzia mnie. Tak bardzo pilnuję się, żeby się nie narazić, że zwykłe oddychanie przysparza mi trudności, nie mówiąc o prowadzeniu zajęć! Cokolwiek zrobiłam, przepraszam, dobrze? Przepraszam, że podsłuchiwałam, jak grasz, ale twoja muzyka była... – zakrztusiłam się – piękna. Była piękna... I przepraszam, że otworzyłam okno. Nie wiedziałam! Chciałam tylko, żeby się uśmiechnęła i...

Drżącymi rękami zakryłam twarz i próbowałam uspokoić oddech.

– Jasna cholera – mruknął pod nosem. – Płaczesz przeze mnie?

Naprawdę był taki głupi?

Nie miałam siły kłamać, ale przyznanie się, że to wszystko przez niego, potęgowało jedynie uczucie wstydu.

– Saylor, ja... – Znowu zaklął.

I zrobił coś niewiarygodnego.

Objął mnie i przytulił.

Płakałam z twarzą wciśniętą w jego pierś.

Płakałam w ramionach swojego dręczyciela.

Płakałam, jakby był moim wybawcą.

A przecież tak naprawdę to on ponosił za wszystko winę.

Po kilku minutach wypuścił mnie z objęć i otarł kciukami moje łzy.

– Nie spiesz się, włączyłem im film.

Żadnego „przepraszam”.

Żadnego słowa otuchy.

Po prostu... wyszedł.

Zostawiając mnie jeszcze bardziej zdezorientowaną, ale już nie tak załamana.

Rozdział 21

*Wspominałem już, że nienawidzę
łez? Trzymaj serce, wbij w nie
strzałę... krew, krew, mnóstwo
pieprzonej krwi. – Gabe H.*

Gabe

A tytuł dupka roku wędruje do... ta daaam! Mamy zwycięzcę.

Z jednej strony miałem ochotę ją pocieszyć, a z drugiej chciałem jej powiedzieć, żeby przestała się mazać. Na świecie były gorsze rzeczy niż brak pewności siebie.

Jednak część mnie – ta bardziej ludzka część mojego serca, które wciąż biło, choć ciągnęło resztką sił – wzdrygnęła się na myśl, że to ja doprowadziłem ją do płaczu swoimi nierozważnymi czynami i słowami.

Nie chodzi o to, że nie czułem się z tym źle czy że nie chciałem jej przeprosić.

Miałem dość kłamstw. Czułem, że jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć jej prawdę, ale to – choć przyniosłoby mi wielką ulgę – tylko pogorszyłoby całą

sytuację.

Dlatego ją przytuliłem.

Co jednak okazało się jeszcze gorszym pomysłem, bo moje ciało aż się rwało do tego, by jej dotykać.

Była boska. Jej złocistobrązowe włosy pachniały miodem, a płacz przydawał błękitnym oczom dodatkowego uroku.

A niech to.

Jęknąłem i ukryłem twarz w dłoniach.

– Gabe? – Księżniczka próbowała szeptać, ale jej szept brzmiał jak cholerny wrzask. – Co się stało?

Zaczęli kurację, więc miała w nosie jedną z tych rurek, z którymi dało się mówić albo – jak w jej przypadku – drzeć się wniebogłosy.

Westchnąwszy, podniosłem powieki i spojrzałem jej prosto w twarz.

– Nic, po prostu... jestem zmęczony.

– Ja też – westchnęła. – Ja zawsze jestem zmęczona.

– Naprawdę? – Zaniepokojony przyjrzałem się jej, szukając oznak gorszego samopoczucia. Wciąż była blada i nadal kasłała, ale terapia tlenowa wyraźnie jej pomogła. – Dobrze się czujesz, Księżniczko?

– Popatrz! – Odwróciła wzrok i spojrzała na ekran. – Znowu śpiewają!

– Tak – odparłem, trzymając ją za rękę.

Metalowe drzwi za moimi plecami zamknęły się z cichym szcęknięciem. Wiedziałem, że Saylor wróciła do pokoju. Czuję jej zapach. Oblepiał mnie, znałem

go na pamięć.

Wpadłem w kłopoty.

Powietrze zapachniało miodem, kiedy usiadła obok mnie i skrzyżowała ramiona.

Siedzieliśmy tak w ciszy, gapiąc się w ekran telewizora.

Kiedy film się skończył, wstała, przeszła na środek sali i zaczęła mówić, jakby zapomniała, że chwilę temu była kompletnie załamana. Dobra wiadomość? Żaden z pacjentów nie zwrócił uwagi na zmianę w jej zachowaniu. Połowa zapomniała już o zajściu... Gdzie tam, połowa nie pamiętała nawet własnych imion, więc Saylor mogła czuć się bezpieczna.

– Trzy piosenki, których nauczymy się z *Music Mana*, to *Shipooopi*...

Księżniczka zaczęła chichotać. Uśmiechnąłem się, rozbawiony wesołością, jaką wywołał u niej tytuł piosenki, i zerknąłem na Saylor.

Nasze spojrzenia się spotkały.

Ale nie odwróciła wzroku.

Patrzyła przed siebie, jakby w ogóle mnie nie widziała.

Serce waliło mi jak młotem. Ja również nie odwróciłem wzroku. Zamiast tego uśmiechnąłem się do niej.

Zasługiwała na coś więcej.

Była tu z tego samego powodu co ja... żeby uszczęśliwić Księżniczkę i nieść radość w świecie

pełnym mroku i nienawiści.

I z tego względu byłem jej winien szacunek, nawet jeśli znaczyło to, że będę musiał obchodzić się z nią jak z jajkiem.

W końcu spojrzała w inną stronę, podała tytuły dwóch pozostałych piosenek i ogłosiła koniec zajęć.

– Parker! – krzyknęła Księżniczka. Zabawne, bo od dawna nie używała pełnego imienia. Mówiła o mnie „Park” albo „ten zabawny chłopak z gitarą”.

– Hmm? – Strzeliło mi w kolanach, gdy przykucnąłem obok wózka.

– Parker? – Usłyszałem za plecami głos Saylor. – A myślałam, że masz na imię Gabe...

– Nie! – Księżniczka zaczęła trząść głową. – Nienawidzę tego imienia! To imię kogoś obcego. On ma na imię Parker! P-parker! – Otworzyła usta. Po jej policzkach potoczyły się łzy. Wydała z siebie przerażający wrzask.

Klnąc pod nosem, pobiegłem po gitarę, usiadłem przy niej i zacząłem grać.

Słyszając pierwsze akordy naszej piosenki, Księżniczka przestała krzyczeć i zamknęła oczy.

– Piękna dziewczyno – zaśpiewałem. – Moja piękna dziewczyno. Nie pozwól, bym został sam w swoim świecie.

Ostatni raz trąciłem struny.

Zapadła cisza.

Pacjenci byli przyzwyczajeni do jej wybuchów i znali

piosenki równie dobrze jak ja, ale tu chodziło o mój głos. Kiedyś chcieliśmy posłużyć się nagraniem. Nie pomogło.

– To mnie uszczęśliwia – zaśmiała się. – Park, pamiętasz, jak tańczyliśmy?

– Tak. – Kiedy przypomniałem sobie, jak podrygiwała przede mną, gdy jeszcze mogła chodzić i tańczyć, miałem ochotę staranować głową ścianę. – Zawsze byłaś lepsza ode mnie.

– Hmm – mruknęła.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Marta.

– Hej, Księżniczko, może ty i Marta zjecie coś, a ja tymczasem porozmawiam z Saylor.

– Dobrze! – krzyknęła. – I pamiętaj, Saylor, on ma na imię Parker, nie Gabe.

– Zrozumiałam – zapewniła pospiesznie Saylor. – Dzięki za pomoc, Księżniczko.

– Nie ma sprawy – rzuciła, kompletnie mnie zaskakując. – Nie wiedziałas. Ale teraz już wiesz, więc nazywaj go „Park”.

Nie chciałem, żeby tak na mnie mówiła.

Miałem dość.

Czułem, że jeszcze chwila i wybuchnę.

– Jasne! – W głosie Saylor pobrzmiwała radość. – Będę mówiła na niego „Park”, chociaż to mi się kojarzy z samochodem ¹.

Księżniczka nie przestawała chichotać, kiedy Marta wywoziła ją z pokoju.

Gdy byłem pewien, że mnie nie usłyszy, wziąłem Saylor pod ramię i pociągnąłem w stronę drzwi w drugim końcu pokoju – tych, które prowadziły nad wodę.

– Przejdźmy się – zaproponowałem.

1. *Park* (ang.) – parkować. [\[wróć\]](#)

Rozdział 22

*Tak więc wracamy do mojej
pierwotnej hipotezy –
rozszczerzenie osobowości. Zresztą
sam mi powiedział, jak każda z nich
ma na imię. To chyba dobry znak,
prawda? – Saylor*

Saylor

Wysłałam z Gabe'em na rzeźkie popołudniowe powietrze. Ośrodek znajdował się tuż nad zatoką Puget Sound. Musiał kosztować majątek. To była luksusowa posiadłość. Nieopodal pięły się w niebo strzeliste budynki centrum Seattle.

Dorastałam w tych okolicach, ale widok zatoki nadal zapierał mi dech w piersi i działał na mnie uspokajająco. Było w oceanie coś, co sprawiało, że człowiek czuł się mały i nic nieznaczący.

Patrząc w przestrzeń, uświadamialiśmy sobie, że życie to coś więcej niż tylko my.

Zaczynało do mnie docierać, że każdego dnia powinnam sobie o tym przypominać.

– Hmm... – Gabe szedł obok mnie z rękami w kieszeniach. – To niesamowite, nie przychodzi mi do głowy żadne sensowne kłamstwo.

Wzruszyłam ramionami.

– Może więc spróbuj powiedzieć prawdę.

– Zwykle tego nie robię. – Zatrzymał się i podniósł głowę. – Tak wygląda prawda.

– Może powinieś – rozłożyłam ręce – zacząć mówić prawdę.

– Hmm... – Otoczył mnie ramieniem i w milczeniu zaprowadził nad samą zatokę.

Kiedy stanęliśmy nad brzegiem, pochylił się, podniósł kamień i cisnął go do wody.

Sięgnął po kolejny i zaczął mu się przyglądać.

– Kiedyś byłem taki.

– Jak kamień? – Uniosłam brwi. – Taki gładki i wypolerowany, aż do czasu, gdy odpuściłeś sobie, czy...?

Gabe odchylił głowę i się roześmiał.

Boże przenajświętszy. Uwielbiałam ten śmiech. Mogłam nienawidzić go jako człowieka, ale jego śmiech to była zupełnie inna bajka. Czynił mnie podatną na jego uroki, choć wciąż jeszcze miałam się na baczności. Gabe nie był zwyczajnym, miłym chłopakiem. On... zaliczał dziewczyny i najwyraźniej było mu z tym dobrze.

– Słodkie. – Obliznął wargi, wciąż nie przestając się uśmiechać. – Nie, ale dobrze wiedzieć, że moje ciało nie

robi już na tobie wrażenia.

Ależ robiło. Po prostu nie chciałam dawać mu kolejnego powodu, żeby mógł mnie zawstydzić.

– Chodzi o to, że... – Podrzucił kamień w dłoni. – Kiedyś byłem twardy. Silny, niezachwiany, wiedziałem, czego chcę w życiu. Nie miałem jednak pojęcia, że to wszystko iluzja. Stałem na brzegu, gdzie czułem się bezpieczny.

– I co się stało?

Zrobiłam krok w jego stronę.

– Życie. – Znowu podrzucił kamyk, raz, drugi, trzeci. – Rzeczy, nad którymi z pozoru panowałem, wymknęły się spod kontroli. – Wzruszył ramionami i cisnął kamień do wody. – Wiesz, ile było zmarszczek?

– Dziesięć? – odparłam bez zastanowienia. – Może więcej.

– Więcej. – Pokiwał głową. – Nawet kiedy ich nie widać, fale wciąż się rozchodzą. Większość z nas przechodzi przez życie, nie mając pojęcia, że los ciska nami jak kamieniami, że tu nie chodzi o nas, ale o wszystkich w naszym otoczeniu. Ludzka kondycja jest naznaczona piętnem choroby. Samolubnie i naiwnie wierzymy, że nasze ciała należą do nas, podobnie jak nasze myśli i czyny. Że wszystko zależy od naszych wyborów, że mamy prawo robić, co nam się żywnie podoba, i że to my decydujemy o cholernych konsekwencjach naszych czynów. Aż... – Wzruszył ramionami.

Zaklął i spojrzał w dół.

Nie byłam pewna, co tak właściwie robię ani dlaczego wyciągam do niego gałązkę oliwną, gdy tak naprawdę miałam ochotę mu nią przyłożyć. A jednak wzięłam go za rękę.

– Aż – ciągnął, jakby czerpał siłę z mojego dotyku – coś potwornego przydarza się tobie albo komuś, kogo kochasz, i nagle widzisz skutki każdej sytuacji, każdego wyboru, którego dokonałaś w swoim życiu. To oczywiste, że moje ciało należy do mnie i mogę z nim robić, co tylko chcę, ale moje decyzje mają wpływ na innych. To, co robię w wolnym czasie, to moja sprawa, ale wpływa to na tych, którym tego czasu nie poświęcam. W życiu istnieje jin i jang, ludzie jednak nie zdają sobie z tego sprawy, dopóki nie jest za późno.

– A dla ciebie jest już za późno?

– Tak – westchnął. – Jest.

W milczeniu trzymaliśmy się za ręce.

– Nie wiem, przez co przechodzisz ani co zrobiłeś w przeszłości – odezwałam się w końcu. – Nie wiem chyba nawet, jak masz na imię.

Znowu się zaśmiał.

– Ale wiem, jak to jest, kiedy nasze decyzje wpływają na innych. Mojego brata, kiedy dorastał, dręczył brak poczucia wsparcia ze strony bliskich i to było... straszne. Teraz cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. Muszę skończyć szkołę, zdobyć wykształcenie i być najlepsza we wszystkim, co robię. Teraz to ja

muszę dokonywać wyborów... i czuję się dokładnie tak, jak to opisałeś, bo moje życie dawno temu przestało być tylko moje.

– Hmm – mruknął i spojrzał na swoje dłonie. – Nie ma co, dobrana z nas para.

– Na to wygląda – odparłam z uśmiechem.

– Mówi do mnie Parker... – Wbił wzrok w ziemię i mocniej ścisnął moją rękę.

Wstrzymałam oddech, serce waliło mi jak oszałałe.

– Mówi tak do mnie, bo tylko tę część mojego imienia pamięta z czasów sprzed wypadku. To część mojego pełnego imienia i nazwiska, ale nie pierwsze imię.

– Bo twoje pierwsze imię to Gabe. Prawda?

– Lubisz ryby?

– Słucham?

Gabe puścił moją rękę i się roześmiał.

– No już, albo lubisz ryby, albo nie. – Spojrzał na mnie zadziornie, zagryzł wargę i splótł ręce. – Zamierzam zabrać cię na ryby.

– Będziemy łowić czy chcesz kupić mi złotą rybkę?

Wzruszył ramionami i posłał mi ten sam uśmiech, za którym tęskniłam od dwóch tygodni.

– Ani to, ani to. Chodźmy.

Rozdział 23

Myszę... że pozwoliłem się jej do siebie zbliżyć. Czy tak właśnie jest? Rozmawiać z kimś, kto rzeczywiście cię rozumie? Byłem tak szczery, jak to tylko możliwe, a ona nie przeraziła się, nie nazwała mnie świrem, nie próbowała pocałować i nie zawołała mnie po imieniu, choć nie miałbym nic przeciwko temu. Ona po prostu... słuchała. To było niesamowite. – Gabe H.

Gabe

– Gdzie jesteście? – spytała Saylor, wyskakując z wozu. Był to jeden z tych nielicznych dni, kiedy siadałem za kółkiem samochodu.

Samochodu, którym nie jeździł nawet Wes.

Zwykle za moją zgodą korzystała z niego Lisa, ale z jakiegoś powodu tego dnia miałem ochotę zamienić motocykl na cztery kółka.

Saylor prawie się nie odzywała, gdy powiedziałem jej, żeby wsiadła.

Choć muszę przyznać, że poczułem dumę, widząc, jak patrzy na moje BMW coupé.

– Obok Anthony's – odparłem. – Mojej ulubionej restauracji. Mówiłem, że jedziemy na ryby, prawda?

Zamarła.

– Ale, Gabe, moje ciuchy. Nie jestem ubrana odpowiednio do...

– Wyglądasz świetnie. Poza tym, kogo obchodzi twój strój?

Zmrużyła oczy.

– Naprawdę musimy wracać do tamtej rozmowy?

– Byłem wkurzony. – Ze wstydem odwróciłem wzrok.

– Dajmy już temu spokój.

– Jak to robisz, że dziewczyny na ciebie lecą? – spytała.

– Słucham? – Omal się nie potknąłem.

– Mówię poważnie – odparła z uśmiechem. – Jesteś najgorszym bajerantem, jakiego w życiu spotkałam.

– Bzdura – roześmiałem się. – Potrafiłbym uwieść zakonnice. Po prostu przy tobie się hamuję.

Sposepniała.

– Cholera. – Potarłem twarz dłońmi. – Spróbujmy od nowa, dobrze? – Jeszcze chwila i nadzieje mnie na miecznika, zdobiącego ścianę restauracji. – Przy tobie – wyznałem z westchnieniem – mogę być sobą.

– Kiepski bajerant, który nigdy nie patrzy kobiecie prosto w oczy? – spytała oschle.

– Auć, to bolało. – Skrzywiłem się. – Zawsze tak

gnoisz chłopaków, z którymi się umawiasz, czy tylko mnie spotkał ten zaszczyt?

– Tylko ciebie. – Rozciągnęła usta w uśmiechu.

Boże, prawie zapomniałem o tych ustach. Patrzyłem na wszystko, tylko nie na nie.

Przyjrzałem się linii jej brody. Była idealna. A przecież w brodzie nie ma nic fajnego. Poza tym że łączy się z ustami i... Cholera, znowu się w nie wpatrywałem.

– Co państwu podać? – spytała kelnerka.

– Obiad dla dwojga. – Nie mogłem oderwać oczu od Saylor. Powinienem być przestać się na nią gapić. Ale nie chciałem. Dziś nie chciałem robić tego wszystkiego, co robiłem przez ostatnie cztery cholerne lata.

Wciąż więc się w nią wpatrywałem.

Bałem się, że mnie spoliczkuje, ale co tam.

Kelnerka podała nam menu i przyniosła wodę.

Saylor zerknęła do karty, zamknęła ją i pobladła.

– Gabe, nie musimy tu jeść. Te ryby... One są naprawdę drogie, a ty jesteś studentem i...

– To nie problem. – Miałem ochotę się roześmiać. Nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie wydać wszystkich swoich pieniędzy. – Zaufaj mi.

Zmrużyła oczy i pokiwała na mnie palcem.

– Sprzedajesz narkotyki?

– Jasna cholera! – Parsknąłem śmiechem. – Nie! O co ci chodzi? Czemu myślisz, że handluję prochami?

Skrzywiła się.

– Wahania nastrojów, fajny samochód, pieniądze i, eee, zaraz schowam się pod stół.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał... – zaakcentowałem słowo „bardzo” – zobaczyć, co potrafisz zrobić pod stołem.

– Aha! – Wycelowała we mnie widelcem.

Odsunąłem go na bok.

– Znowu zaczynasz!

– Zaczynam? Skądże!

– Ależ tak. – Odłożyła widelec i sięgnęła po nóż.

Na wszelki wypadek odchyliłem się do tyłu.

– Co rusz się tak zachowujesz.

– Mówiąc „co rusz”, masz na myśli te kilka razy, kiedy wpadliśmy na siebie?

– Nie bądź dupkiem – mruknęła.

– Wymawiasz słowo „duppek” w taki zabawny sposób, jakbyś wstydziła się, że coś takiego przechodzi ci przez usta.

– Duppek. – Tym razem powiedziała to głośno, bez cienia wstydu i seksownie jak diabli. – Lepiej?

– Tak – wychrypiałem.

– I nie próbuj zmieniać tematu. To też często robisz.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Otarłem czoło serwetką. Pociłem się. Czułem się, jakbym grał w serialu *Prawo i porządek*, tyle że byłem przesłuchiwanym, a nie przesłuchującym. Siedziałem na metalowym krześle, z twarzą wykrzywioną grymasem.

– W jednej chwili jesteś czarujący, w następnej

wydajesz się wściekły, a zaraz potem znowu jesteś do rany przyłoż.

Wzruszyłem ramionami.

– Może jestem niezrównoważony psychicznie.

Wymierzyła we mnie nożem; nie wydawała się już skruszona.

– Do diabła, odłóż ten nóż. Żartowałem.

– Opowiedzieć państwu o polecanych dziś daniach? – Przy naszym stoliku pojawił się kelner.

– Ryba. – Z zainteresowaniem przyglądałem się twarzy Saylor. Miałem wrażenie, że ma minę na każdą okazję. To mnie... rozpraszało. – Jaka jest ryba dnia?

– Mamy wspaniałego łososia, który...

– Dobrze. – Oddałem karty. – Poprosimy dwa łososie, chleb i wodę mineralną.

– Oczywiście. Jakieś sałatki?

– Cezara – odparliśmy jednocześnie.

Kelner uśmiechnął się do mnie i, dzięki Bogu, zostawił nas w spokoju.

– Jak nic napluje nam do jedzenia – jęknęła Saylor.

– Jadam w tej restauracji od czterech lat.

– No... – Powoli pokiwała głową. – Cudownie. To dobrze. Chcesz powiedzieć, że zawsze jadasz przy tym stoliku? Czy że jesteś na ty z pracownikami?

– Nikt, nawet Wes, nie zamawia sałatki Cezar.

– A więc to był rodzaj testu? – Ściągnęła swoje słodkie brązowe brwi. Dlaczego wszystko, co robiła, tak bardzo mnie pociągało?

Roześmiałem się.

– Nie, ale po tej sałatce będziesz ziała ogniem przez kilka najbliższych dni. To jedyny sposób, żeby nikt nie zbliżał się do twoich ust. Wes nazywa ją pocałunkiem śmierci.

– To nie jest śmieszne – burknęła.

– Fakt! – Uderzyłem dłonią w stół. – Mówię stanowczo nie dowcipom o śmierci. Tfu, diabelstwo!

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Pomijając dowcipy na temat śmierci, nie boję się tej sałatki.

– Czyżby?

– Pewnie. – Upiła łyk wody i dokończyła: – Bo dziś wieczorem na pewno nikt nie będzie mnie całował.

Byłem jak byk, któremu zamachała przed oczami czerwoną płachtą. Nie miała tylko pojęcia, że właśnie otworzyła bramkę wybiegu.

– Czyżby? – powtórzyłem. – A kto tak twierdzi?

– Ja – odparła ze śmiechem. – Zresztą ty też będziesz jadł sałatkę. Nie ma mowy, żebym zbliżyła się do twoich ust.

Miała zaraźliwy śmiech. Ja również się roześmiałem i stuknęliśmy się szklankami.

– Za pocałunek śmierci i ryby.

Rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Za ryby.

Rozdział 24

Utrata hamulców w towarzystwie kogoś takiego jak Gabe niosła ze sobą spore ryzyko, zważywszy na to, że nasza znajomość nie zaczęła się szczególnie miło. Ale nie potrafiłam mu się oprzeć, zwłaszcza gdy był sobą, co, jak zdążyłam zauważyć, ostatnio nie zdarzało się zbyt często. – Saylor

Saylor

– Opowiedz mi o czymś, co cię przeraża – poprosił Gabe, gdy wracaliśmy do domu.

Zdążył już zadzwonić do Wesa i powiedzieć mu, że wybraliśmy się na obiad. Lisa i Kiersten zgodziły się przyprowadzić mój samochód, żeby Gabe mógł odwieźć mnie do domu. Nie wiedziałam, czy bawią się w swatki, czy po prostu są tak miłe.

– Tylko o jednej rzeczy? – drażniłam się z nim.

Spędziliśmy w restauracji trzy godziny i muszę przyznać, że przez cały ten czas zachowywał się bez zarzutu. Gdyby były święta, pomyślałabym, że zdarzył

się bożonarodzeniowy cud, jakie zwykle ogląda się w telewizji. Nie kłóciliśmy się, przekomarzaliśmy się bez żadnych złościwości i było naprawdę miło.

Poza tym, że im lepiej poznawałam Gabe'a, tym...

Tym bardziej go lubiłam.

Wolałam, kiedy mogłam go nienawidzić.

– Tylko o jednej. – Odwrócił się w moją stronę z uśmiechem. Był to olśniewający uśmiech gwiazdy rocka. Gabe przypominał mi kogoś, ale nie bardzo wiedziałam kogo. Może po prostu był do kogoś podobny albo był tak boski, że wyobraźnia płatała mi figle.

– Denerwuję się przed występami – odparłam szczerze. – Kiedy gram, zawsze coś schrzanię. Ręce mi marzną i... sama już nie wiem. Zawsze jest tak samo. Ćwiczę godzinami, bez efektu. W końcu i tak idzie nie po mojej myśli. Dlatego nie lubię tłumów, wielkiej publiczności i fortepianów salonowych.

– To już z pięć rzeczy – wytknął mi Gabe.

– Hej!

– Żartuję, Saylor. – Poklepał mnie po kolanie.

Jego ręka równie dobrze mogła wypalić mi dziurę w dżinsach. Poczułam ten dotyk na całym ciele.

Gabe jakby zauważył moją reakcję – pospiesznie cofnął dłoń i odchrząknął.

– A więc stres przed występami? Myślę, że potrafię ci pomóc.

– Wyobrażałam już nawet sobie, że publiczność jest

naga. Nic to nie dało – mruknęłam.

– Wygląda na to, że wyobrażasz sobie nago nie tych ludzi, co trzeba.

– Choćbym wyobraziła sobie nago ciebie, i tak bym spanikowała.

Uśmiech zastygł mu na ustach. Nie powinnam była tego mówić. Dlaczego musiałam być taką idiotką?

Nagle jednak z jego twarzy opadła maska.

– Kochana, gdybyś zobaczyła mnie nago, wierz mi, pomyliłabyś nuty, ale bynajmniej nie ze strachu.

– To się nazywa pewność siebie.

– No, ba – rzucił chełpliwie. – Chociaż są tacy, którzy twierdzą, że trochę przesadzam.

– Nigdy mi tego nie zapomnisz, co?

– Pewnie nie – roześmiał się i wjechał na parking. – Ale wracając do tematu. – Wyłączył silnik. – Pozwól, że ci pomogę.

Westchnęłam.

– Posłuchaj, Gabe... dzisiejszy wieczór był miły, prawda?

– Tak. – Ściągnął brwi, jakby zastanawiał się, o co mi chodzi. – Oczywiście.

– Świetnie się z tobą bawiłam. – Zagryzłam wargę. – Ale ostatnim razem, kiedy spotkaliśmy się w sali ćwiczeń, nie było tak kolorowo. Nie byłęś...

– ...sobą – dokończył. – Poza tym byłem wściekły. Nie na ciebie, na życie. To było niewłaściwe miejsce i niewłaściwy czas...

– Dwa razy z rzędu?

– Obawiam się, że tak – odparł, wykrzywiając usta.

Logika podpowiadała mi, żebym powiedziała „nie”. Żebym skończyła to tu i teraz. Narysowała linię na piasku, jasno wskazującą, gdzie są nasze miejsca. Dopiero się poznaliśmy, a ze względu na ten cały wolontariat i tak przez najbliższe tygodnie będę widywała go kilka razy w tygodniu.

– Saylor... – Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

– Pozwól, że ci to wynagrodzę.

– Sama nie wiem.

– Pozwól, że wynagrodzę ci przynajmniej pięć z nich.

– Pięć? – Pokręciłam głową. – Pięć czego?

– Łez. – Przełknął z trudem. Jego grdyka podskoczyła i opadła, kiedy pochylił się nade mną i dotknął kciukiem moich ust. – Pozwól, że wynagrodzę ci te pięć łez. Chociaż wiem, że było ich dużo więcej. Tylko o to cię proszę.

– A później...

– Daj mi pięć łez... pięć szans... – Westchnął. Emanował ciepłem. – Później zostawię cię w spokoju.

Spojrzałam na jego usta i oczy.

– Dobrze. Pięć. – Chwyciłam klamkę, gotowa wyjść na zewnątrz, ale złapał mnie za rękę.

– A żeby wszystko było jasne... – wyszeptał, patrząc na mnie tak, jak tego pragnęłam – w rzeczywistości jesteś...

– Jestem?

– Piękna. I przepraszam. – Puścił moją rękę.

Powoli wysiadłam z samochodu i oszołomiona powlokłam się do akademika.

Miałam ochotę walić głową w ścianę. Czy dzisiejszy wieczór był tylko snem? Tak właśnie się czułam, bo wydarzyło się niemożliwe.

Gabe zszedł do piekielnych czeluści, żeby targować się o swoją duszę, dostał szansę i wrócił, żeby wszystko naprawić.

Cóż. Najwyraźniej cuda się zdarzają.

Rozdział 25

*Gwizdałem. Dobry Boże, ustrzeż nas wszystkich przed takim losem. Kiedy dorosły facet pogwizduje, wiadomo, że coś jest na rzeczy. A jednak nie mogłem się powstrzymać... Nie mogłem przestać okazywać wesołości. I po raz pierwszy od lat, kiedy spojrzałem w lustro, nie skrzywiłem się z odrazą. Moja twarz rozciągnęła się w uśmiechu. –
Gabe H.*

Gabe

– Albo znowu zacząłeś pić, albo coś ci się stało. – Za plecami usłyszałem głos Wesa.

Wzdrygnąłem się i mało brakowało, a zaryłbym twarzą w lustro. Minął tydzień od mojej kolacji z Saylor i wszystko wydawało się... normalne. Pierwszy raz od dawna spoglądałem na siebie z uśmiechem.

– Nie umiesz pukać?

– Nie. – Stał pod ścianą łazienki i uśmiechnął się

znacząco. – Odkąd mój najlepszy kumpel pograżył się w szaleństwie. czuję się jak cholerna niańka. Nie zmuszaj mnie do tego, żebym wynajął ci ochroniarza.

Przewróciłem oczami.

– Ale przecież znasz się na tym jak nikt inny.

Zagwizdał i zaczął z uwagą przyglądać się swoim paznokciom.

– Wes... – jęknąłem, patrząc na jego lustrzane odbicie. – Nie jestem naćpany i nie spałem z żadną panną. Po prostu... czuję się lepiej.

Wypiął pierś i uśmiechnął się zadziornie.

– Czy ma to coś wspólnego z pewną osobą, której imię zaczyna się na literę „S”?

– Zobacz, która godzina. Pora na ciebie. Ja muszę się ubrać. I nie, nie możesz oglądać mnie nago.

– To boli, stary. – Z tymi słowy uderzył się dłonią w pierś. – O, tu.

– Graj uczciwie. – Zmrużyłem oczy.

– To taki przenikliwy ból. – Skrzywił się.

– Sukinsyn. Jesteś upierdliwy.

– A więc? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– A co? Już ci lepiej?

– Oooh. – Zgiął się wpół.

– Odpowiedź brzmi: „Tak”. Zadowolony?

– Uleczony. – Wyprostował się. – Dzięki, że zdobyłeś się na szczerść po pięciu minutach moich błagań.

– Trzech minutach.

– Czterech.

– Wes?

– Taa?

– Nie jestem gotów. Nie teraz. Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, ale... mój ojciec... Czy on coś mówił?

Wes odetchnął ciężko i spoważniał.

– Nie, ale szukał cię pod prawdziwym nazwiskiem. Tym, które widnieje na twoim prawie jazdy.

Ogarnął mnie przejmujący chłód. Zadrżałem i ze świstem wypuściłem powietrze.

– Powinienem zacząć się martwić o nasze bezpieczeństwo? – zapytał.

– Nie. – Zacisnąłem zęby. – Jest... zdesperowany, ale sprawa przycichnie. Nie pierwszy raz przyjechał mnie szukać i za każdym razem wraca do domu z podkulonym ogonem. Jestem ostrożny. Nie pozwolę, żeby mnie znalazł. Poza tym trudno by mu było mnie rozpoznać.

Wes patrzył na mnie przez chwilę.

– A ty rozpoznajesz sam siebie? – spytał w końcu.

– Nie – roześmiałem się bez cienia wesołości. – Nie bardzo.

– Tak myślałem.

– Jestem z nią umówiony. Za chwilę.

– Z dziewczyną, która twoim zdaniem jest brzydka i którą traktowałeś jak gówno?

– Taa.

– Powodzenia – rzucił z uśmiechem i skierował się w stronę drzwi. Zaczynałem żałować, że pozwoliłem mu

wpadać do siebie bez zapowiedzi, zwłaszcza teraz, kiedy był zamieszany w całą sprawę. Z drugiej strony martwił się, i to przeze mnie.

– Wes?

– Hmm? – Zatrzymał się w drzwiach.

– Dzięki.

– Za co? – Wyglądał na skonfundowanego.

– Za to, że zajrzałeś, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku.

Wyraźnie się odprężył.

– Jasne, Gabe. Nie ma sprawy.

* * *

– Jesteś na to gotowa? – Strzeliłem palcami.

Saylor ziewnęła.

– Tak, i wierz mi, nie skończy się to dla ciebie dobrze.

– Dzięki, mamó.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Może mam rozszczepienie osobowości, ale ty za to jesteś cholernie apodyktyczna.

– Wiedziałam, że to się nie uda. – Mówiąc to, przygarbiła ramiona.

– Przepraszam – mruknąłem i położyłem dłonie na klawiszach. – Damy radę, obiecuję. Muzyka sprawia, że robię się drażliwy.

– Dlaczego? – To było niewinne pytanie. – Jesteś niesamowity. Grasz na gitarze i pianinie, a do tego

śpiewasz. Jesteś fenomenalny. Ja ledwie potrafię coś zanucić.

– Ale... – poklepałem ławeczkę, pokazując Saylor, żeby usiadła obok mnie – potrafisz grać. Po prostu nie wiesz, jak oddychać.

– Słucham? – Zaczerpnęła tchu i wypuściła powietrze, jakby chciała mi udowodnić, że dobrze wie, jak utrzymać się przy życiu.

Świetnie, przynajmniej zmieniłem temat.

– Spójrz. – Zacząłem grać, przekonany, że nikt mi nie przeszkodzi, bo jedyny „intruz” był ze mną w pokoju, a poza tym opuściłem rolety i zamknąłem drzwi na klucz. Dobrze, że choć trochę mi ufała. Dzięki Bogu za ryby.

Najpierw grałem powoli, moje palce sunęły po klawiszach. Dźwięki brzmiały idealnie, ale brakowało w nich mnie. Nie dbałem o to, co gram. Próbowiałem skupić się na czymś innym, na czymś do bólu nudnym.

Co było nie lada wyzwaniem, biorąc pod uwagę, że zaczynałem reagować na zapach miodu i ciepło, którymi emanowała Saylor.

– A teraz – rzuciłem i zacząłem grać szybciej – zauważ różnicę.

Ta sama piosenka. Inny styl gry. Pozwalałem, by każdy dźwięk spływał z mojego ciała wprost do palców, jakby moja dusza i muzyka stanowiły jedność.

Kiedy skończyłem grać, otworzyłem oczy.

Saylor płakała.

– Cholera. – No tak, na to słowo dziewczyny od razu przestają płakać. Genialne posunięcie. – Wszystko w porządku?

– To było piękne. – Pociągnęła nosem, jej niebieskie oczy błyszczały z emocji. – Nigdy dotąd nie słyszałam czegoś podobnego. Przepraszam za te łzy. – Otarła policzki wierzchem dłoni. – Pewnie masz mnie za idiotkę. Już drugi raz się przy tobie rozklejam.

Wzruszyłem ramionami. Prawdę mówiąc, tylko raz widziałem, jak płacze, i wtedy też nie popadła w histerię... Dziwne, nawet w płaczu umiała zachować powściągliwość.

– Przynajmniej teraz zasłużyłem na twoje łzy.

Uśmiechnęła się.

– Tak – przyznała.

– Dobrze. – Wstałem, delikatnie objąłem ją w pasie i przesunąłem na środek ławeczki. – A teraz zagraj jedną ze swoich piosenek, którąkolwiek, a ja pomogę ci poczuć.

– Poczuć co? To tylko muzyka.

– Tylko muzyka? – powtórzyłem. – To jak powiedzieć, że ty tylko oddychasz, a ja tylko żyję. To nieprawda. Muzyka to opowieść. A ty jesteś autorką. –

Położyłem jej ręce na klawiszach i przykryłem je swoimi dłońmi. – Każdy ruch twoich palców to kolejne słowo, którym opisujesz swoją historię. Sama w sobie jest bez znaczenia, ale... – Poruszyłem palcami, zmuszając ją, żeby zagrała kilka nut. – Połącz je,

a otrzymasz melodię. I gotową opowieść. A zatem, Saylor, jaką historię chcesz mi przekazać?

Jej ciało znieruchomiało. Ciepło, którym emanowała, doprowadzało mnie do szaleństwa. Zaczęła drżeć, jakby nasza bliskość była ponad jej siły. Ja sam musiałem się hamować, żeby trzymać ręce przy sobie. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio byłem tak blisko drugiej osoby. Jasna cholera, naprawdę chciałem żyć.

Czułem, że przekraczamy jakąś niewidzialną granicę, ale zależało mi na tym, żeby jej pomóc. Zupełnie jakbym dzięki temu mógł odkupić swoje grzechy.

Muzyka rozbudzała we mnie życie.

A ci, którzy tworzyli piękną muzykę? Sami w sobie działali niczym narkotyk.

– Chcę poznać twoją historię. – Powiedziała to tak cicho, że prawie jej nie usłyszałem. – Zwykle nie używasz słów, żeby cokolwiek wyjaśnić. Czasami wydaje mi się, że nigdy ich nie używałeś i że nigdy tego nie zrobisz. Wyraż się przez muzykę. Opowiedz mi swoją historię, Gabe.

Miałem wrażenie, że pokój się skurczył.

– Proszę – szepnęła.

– Saylor, moja historia... Ona nie jest szczęśliwa. – Mimo to poruszyłem palcami, żeby pomóc jej zagrać melodię.

– Nie potrzebuję radosnych opowieści.

– No i zakończenie. – Kierowałem palcami Saylor, przyciskając brzuch do jej pleców. – To jedno z tych

zakończeń...

– Jakich? – spytała półgłosem.

– Smutnych. – Głos mi drżał.

Jej palce stężały, ciało przestało dygotać. Wysunęła rękę i położyła je na moich.

– Więc je zmień.

Rozdział 26

*Życie ma dwa etapy. Narodziny
i śmierć. Nic więcej. Co w takim
razie dzieje się między nimi? Cóż,
to zależy wyłącznie od nas samych,
prawda? – Wes M.*

Saylor

Gabe zastygł w bezruchu. Gdyby nie ciepło, które rozlewało się po moich plecach w miejscu, gdzie nasze ciała się stykały, nie wiedziałabym, że jest tuż obok mnie. Jego dłonie ogrzewały moje ręce. Spodziewałam się, że lada chwila odsunie się ode mnie i na powrót założy którąś ze swoich masek. Zamiast tego odwrócił moje ręce, ścisnął je i powoli wypuścił powietrze. Mijały sekundy, ale równie dobrze mogły to być lata. Za każdym razem, gdy słyszałam jego oddech, serce biło mi mocniej. Pragnęłam, by mnie dotykał... Pragnęłam czegoś więcej. Czułam na plecach przyjemne mrowienie, gdy tak stał, przyciskając do mnie swój brzuch. Jakbym była w kokonie.

I podobało mi się to.

Aż do chwili, gdy usłyszałam muzykę.

Gabe delikatnie ujął mnie za rękę i położył moje palce na klawiszach.

Grał przeze mnie, używał mojego ciała jako instrumentu, żeby opowiedzieć historię swojego życia. Za każdym razem, gdy naciskał mój palec albo kładł go na innym klawiszu, czułam nieopisany smutek. Dźwięki przywodziły na myśl unoszące się na wodzie kosmyki bólu, które wnikały w moje ciało, stopniowo odbierając mi dech.

Grał coraz szybciej, przez co moje palce przestały za nim nadążać. Chwilę później wysunęłam rękę spod jego dłoni, podczas gdy on nie przestawał uderzać w klawisze, jakby każdy kolejny dźwięk był krzykiem, który dobywał się z jego ust. Jakby inaczej nie potrafił wyrazić swoich emocji.

W końcu oderwał dłonie od klawiatury, a chwilę później jego palce spadły na nią chaotycznie, po raz ostatni.

Oddychał płytko i nierówno. Czułam na sobie ciężar jego ciała, kiedy oparł brodę na mojej głowie i wyszeptał:

– Nie mogę.

– Tak dobrze ci szło.

– To jak wsiąść do samochodu z zamiarem rozbicia się. Nabierasz prędkości, adrenalina buzuje ci w żyłach, aż nagle robisz gwałtowny skręt i jedyne, co widzisz, to ciemność. Tak samo jest z nutami. Dźwięki stają się

coraz wyższe i kiedy wydaje mi się, że mogę zmienić zakończenie, ogarnia mnie panika. Niektóre rzeczy... – westchnął i odsunął się ode mnie. – Niektóre rzeczy powinny zostać tam, gdzie ich miejsce. W chaosie.

– Masz co do tego pewność? Co do doskonałości? – Złożyłam dłonie na kolanach, ale się nie odwróciłam.

– Jasne. – Usiadł obok mnie na ławeczce. – Gdyby życie było idealne, jak byśmy mieli poznać, czym jest zależność od drugiego człowieka, skoro w pełni polegalibyśmy na sobie? Oto czego nauczyło mnie życie. Potrzeba bycia idealnym ma swój początek w przekonaniu, że naprawdę możemy zrealizować ten cel. Nie istnieje coś takiego jak samorealizacja.

Oblizłam usta i spojrzałam na klawisze.

– To znaczy, że mamy nie próbować?

– Nie. – Gabe trącił palcami kilka klawiszy. Wytatuowane na jego palcach nuty kontrastowały z bielą kości słoniowej. – Znaczy to, że kiedy sięgniesz końca liny, nie powinnaś niczego żałować, ani jednej cholernej rzeczy. Powinnaś docenić własne próby dokonania niemożliwego.

Czułam, że to, co mówi, ma dwojake znaczenie. Gabe-filozof był odrobinę bardziej przerażający niż Gabe-dupek, bo sprawiał, że traciłam pewność siebie. Ale facet, który siedział teraz obok mnie? Zaczynało do mnie docierać, że nie był jedną osobą. Był każdym, wszystkim. Był tym, czym chciał być.

Jak kameleon.

Nagle zakończenie opowieści nabrało sensu.
Rozbrzmiewające jednocześnie różne dźwięki.
Chaos.

Gabe był chaosem.

– Dobra. – Pociągnął nosem i odchrząknął. – Po tym, jak napędziłem ci stracha i niemal popsułem nastrój swoją gadaniną, może popracujemy nad którymś z utworów?

– W porządku. – Położyłam dłonie na klawiaturze, ustawiłam nadgarstki pod odpowiednim kątem i spojrzałam na nuty. Czasami zastanawiałam się, czy sama moja postawa nie jest lepsza od gry.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ze spokojem.

– Przygotowuję się. – Spojrzałam na niego i stanowczo skinęłam głową.

– Do wojny?

– Słucham? – Odrobinę rozluźniłam ręce. – Nie. – Wyprostowałam się. – To właściwa postawa, to...

– Jeśli powiesz „idealna”, zabiję się.

– Ktoś tu powinien studiować aktorstwo.

Wybuchnął śmiechem.

– Skarbie, nie masz pojęcia.

– A więc? – Uniosłam nadgarstki i spojrzałam przed siebie.

– Dobra – bąknął. – Graj, jak chcesz.

– W porządku. – Zaczęłam od jednego z trudniejszych utworów, *Sonaty fortepianowej nr 14*. Miało być tak jak zawsze podczas grania tego utworu. Niezbyt szybkie

tempo gry i idealna synchronizacja.

– Zamknij oczy – poinstruował mnie Gabe.

– Ale...

Trzepnął mnie w nadgarstki.

– Nie kłóć się ze swoim nauczycielem.

– Dobrze już, dobrze.

– Powiedz: „Dobrze, proszę pana”.

– Nie w tym życiu. – Uśmiechnęłam się, nie odrywając wzroku od nut. Zaczęłam powoli grać.

– Założę się, że mógłbym zmusić cię, żebyś to powiedziała. – Rzucił z domieszką arogancji, która zwiększyła tylko moje poirytowanie. Pan? Nigdy. – Oczy – warknął.

Westchnęłam, ale posłusznie opuściłam powieki.

– Lepiej?

– Dużo lepiej – stwierdził z zadowoleniem.

Spowiła mnie ciemność. Czułam jedynie dźwięki, które dobywały się spod moich palców. Miałam tylko muzykę. I Gabe’a.

On jednak milczał.

Nie mogłam znieść tego milczenia.

Chciałam otworzyć oczy, ale wiedziałam, że gdybym to zrobiła, znów kazałby mi je zamknąć, nie przestawałam więc grać.

I nagle jego palce musnęły moją brodę, zmuszając mnie, żebym nieznacznie pochyliła głowę. Ręka, którą położył mi na plecach, przygięła mnie do przodu, jakby chciał, żeby moje ciało zbliżyło się do klawiatury.

Siedząc w tej dziwnej pozycji, z zamkniętymi oczami, pochyliłam się nad pianinem. Wydawało mi się, że wszystko jest nie tak.

– Wolniej – nakazał mi.

Westchnęłam, ale zaczęłam grać wolniej. Jego ręce spoczęły na moich biodrach i znieruchomiały. Miałam ochotę zerwać się na równe nogi, ale zamiast tego skupiałam się na muzyce.

– Muzyka – szepnął. – To nie tylko twoja opowieść. To twój kochanek.

– Dobrze. – Głos miałam dziwnie piskliwy. Oblała mnie fala gorąca, gdy słowo „kochanek” rozbrzmiewało echem w mojej głowie. Znałam je, ale nigdy go nie doświadczyłam. Jak miałam zrobić użytek z czegoś, o czym nie miałam pojęcia? Było mi wstyd, że utknęłam tu, w tej klitce, a nigdy dotąd nie byłam... sam na sam z mężczyzną. Kochankiem. Wybrałabym jego. Gdybym mogła. To byłby on. Ale ludzie tacy jak Gabe, piękni ludzie, w których duszach grała muzyka i którzy potrafili mówić bez słów... nie byli dla takich dziewczyn jak ja.

– Każde muśnięcie... – Zacisnął ręce na moich biodrach, aż wydałam stłumiony okrzyk. – Musisz je czuć nie tylko w opuszkach palców, ale całą sobą.

Jasna. Cholera.

– Poczuj je tu. – Jego dłonie powędrowały w górę i zatrzymały się tuż pod moimi piersiami. – I tu.

Mój oddech przyspieszył, podobnie jak muzyka.

– Zwolnij – nakazał z tą samą irytującą cierpliwością.
– Dokąd zabierze mnie ta historia? Dokąd zabierzesz swojego kochanka?

– Słucham? – spytałam półgłosem.

– Użyj rąk, żeby opowiedzieć mi historię, wykorzystaj swoje ciało, żeby pchnąć ją do przodu, żeby dojść do nieznanych wydarzeń. Opowiedz swoją historię, Saylor. Spraw, żebym ją poczuł bez dotykania cię.

– Ale... to niemożliwe.

– Możesz poczuć pocałunek, nie dotykając czyichś ust.

– Nie bardzo rozumiem.

– Skup się. – Głos miał stanowczy. – Chcę cię pocałować.

– Co? – Miał szczęście, że nie osunęłam się na pianino.

– W twojej opowieści – zachichotał. – Chcę cię pocałować w tej opowieści, więc zrób to, pocałuj mnie.

– Chcesz, żebym wstała i cię pocałowała?

Podczas całej tej rozmowy nie przestawałam grać naprawdę trudnego utworu, musiałam więc mieć talent – moje ciało dosłownie płonęło.

– Nie dotykając ustami moich ust.

– Poprzez muzykę – doprecyzowałam, choć w moim głosie pobrzmiwała nuta wątpliwości.

Gdy znów przemówił, wiedziałam, że się uśmiecha.

– Tak, poprzez muzykę. Pokaż mi, jak smakowałyby

taki pocałunek. Chcę go poczuć.

– Ale jak?

– Dotykam ich – roześmiał się.

– Czego?

– Swoich ust – odparł. – Są miękkie, rozchylone, wilgotne...

Wzdrygnęłam się i jeszcze mocniej zacisnęłam powieki.

– Co jeszcze? – spytałam.

– Kiedy rozchyłam usta, zastanawiam się, jak smakuje twój język, z jaką siłą twoje aksamitne wargi przywarłyby do moich. Wyobrażam sobie, jak cię całuję, nie tylko dlatego, że chcę się z tobą całować, ale dlatego, że nie mogę się powstrzymać. Zatracam się. Twój pocałunek jest moim zbawieniem... Ocalisz mnie więc?

Moje palce przemykały po klawiszach, kiedy wyobrażałam sobie jego usta – to, jak się uśmiechał, jak unosił górną wargę, kiedy był zamyślony. Mrok, który czaił się w jego oczach, gdy czegoś chciał. Nasz pocałunek byłby cudowny.

Muzyka nabierała tempa, podczas gdy ja pochylałam się nad pianinem, wygrywając kolejne nuty i wyobrażając sobie echo moich kroków, gdy się do niego zbliżam.

Jego ręce wyciągały się w moją stronę i przyciągały mnie do siebie. Moje palce zatrzymały się nad klawiaturą, wyrażając niezdecydowanie.

I nagle musnęłam kość słoniową i pochyliłam się do przodu, jakbym nachylała się w jego stronę i przywierała do niego całym swym ciałem. Moje piersi otarły się o klawisze. Pochyliłam się jeszcze bardziej i zaczęłam grać wolniej.

Przymknął powieki.

Rozchylił wargi.

Spotkaliśmy się w połowie drogi, bo oboje pragnęliśmy tego samego. Oboje chcieliśmy smakować, odkrywać, czuć.

Palce lewej ręki zwolniły, a prawej przemykały po klawiszach, wyrażając zniecierpliwienie.

Nasze usta spotkały się.

Moja lewa dłoń spadła na klawiaturę z wyjątkową mocą. Dźwięki zabrzmiały głośno.

Nasze języki się splotły.

Jeszcze gwałtowniej uderzyłam w klawisze.

Jego palce wczepiły się w moje ramiona i uniosły mnie w powietrze.

Odchyliłam się do tyłu i przestałam grać, by chwilę później na nowo obudzić dźwięki.

Nasz pocałunek był idealnym dopełnieniem muzyki.

On był lewą ręką, a ja byłam prawą.

Oddzielnie brzmieliśmy absurdalnie.

Razem tworzyliśmy coś pięknego.

Kiedy przestałam grać, byłam spocona.

– Otwórz oczy – wyszeptał.

Oddychał tak ciężko, jakby chwilę temu ukończył

maraton. Uśmiechając się, zatknął mi włosy za ucho, ujął mnie pod brodę i zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Oto... – pochylił się w moją stronę – jak powinnaś grać. Jak gdyby każdy pocałunek miał być tym pierwszym i ostatnim. Jakbyś witała się, a zarazem żegnała. Jakbyś właśnie się urodziła... i umarła.

Rozdział 27

W całym swoim życiu nie doświadczyłem tak potężnego pocałunku. Siła, z którą spotkały się nasze usta i z jaką przywarły do siebie nasze ciała, była elektryzująca, a przecież nawet się nie dotknęliśmy. Czy to nie jest szalone? – Gabe H.

Gabe

Zamierzałem ją pocałować.

Nie wiem, co sobie myślałem, dając jej takie wskazówki. Przecież tak bardzo mi się podobała, no i byliśmy zamknięci w tak małej przestrzeni. Co gorsza, muzyka zdawała się potęgować odurzającą woń jej perfum. A żeby żyć, musiałem oddychać.

Chciwie łapałem każdy haust powietrza, modląc się w duchu, żeby był przesiąknięty jej zapachem. Czułem przemożną chęć skosztowania jej.

Jednocześnie z każdym kolejnym wdechem coraz bardziej zasychało mi w gardle.

Zatrzymałem wzrok na jej ustach.

Ławeczka zaskrzypiała, gdy Saylor pochyliła się w moją stronę. Jeszcze chwila i nasze usta się spotkają.

Od czterech lat nie czułem tak wielkiej potrzeby, żeby pocałować dziewczynę.

Ciche westchnienie dobyło się spomiędzy jej warg, kiedy ująłem w dłonie jej twarz i pocałowałem ją w kącik ust.

Znowu westchnęła.

Kolejny pocałunek, tym razem w drugi kącik ust.

Ścisnęła mnie za nadgarstki.

Chwilę później nasze usta się spotkały.

Dźwięki zlały się ze sobą.

Nakryłem dłońmi jej ręce, spłotłem palce z jej palcami, delikatnym pociągnięciem poderwałem ją z ławki i zaprowadziłem w kierunku ściany.

Jej miękki, aksamitny język musnął moje wargi. Kiedy otworzyłem usta, wszystko, czym była, stało się mną, a jej ciepło i zapach pochłonęły mnie bez reszty.

Położyła mi ręce na ramionach, a potem szarpnęła mnie za włosy.

Oczywiście nie wiedziała, że miałem wyjątkową słabość do zabaw włosami, ale to jeszcze nie wszystko.

Wywołała we mnie niepowstrzymaną potrzebę odrzucenia chroniącej mnie tarczy.

Zapragnałem oddać jej wszystko, co mam.

Telefon zawibrował mi w kieszeni.

Nie teraz. O każdej porze, tylko nie teraz.

Jej ciało było zbyt blisko, a pocałunek wydawał się bardziej gwałtowny niż jeszcze chwilę temu. Telefon wibrował, jakby przypominał, że mój czas nie należy już do mnie.

Zastygłem na moment.

– Przepraszam. – Sięgnąłem po telefon i zerknąłem na jej nabrzmiałe usta. – Strasznie mi przykro – pokręciłem głową i przekląłem w myślach wszystkie telefony – ale muszę odebrać.

Bez dalszych wyjaśnień przyłożyłem komórkę do ucha.

– Och, Gabe, dobrze, że jesteś – głos Marty drżał. – Miałam nadzieję, że odbierzesz. Posłuchaj. Coś się wydarzyło. Przyjechał pewien mężczyzna...

– Jak wyglądał? – Rzeczywistość uderzyła we mnie z całą siłą. Nadal nie mogłem mieć normalnego życia. Taka niewinna dziewczyna jak Saylor? Nie mogła stać się częścią mojego świata. Bez względu na to, jak bardzo tego pragnąłem.

– Miał jasnobrązowe włosy i niebieskie oczy. – Marta odchrząknęła. – Pytając o ciebie, posłużył się twoim prawdziwym imieniem.

– Parker? – spytałem.

– Nie, tym drugim – odpowiedziała po chwili wahania.

– Cholera.

W słuchawce rozległy się jakieś trzaski.

– Nie martw się. Odpowiednio ukierunkowałam jego

myślenie, ale szukał nie tylko ciebie. Pytał też o nią.

– Z imienia? – Boże, miałem nadzieję... Modliłem się.

– Z imienia i nazwiska.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Podczas gdy ja odgrywałem rolę namiętnego melomana przed Saylor, ktoś mógł odebrać mi cały świat i obnażyć przed mediami najbardziej intymne szczegóły mojego życia.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Nie – Marta wydała przeciągłe westchnienie. – Przyjedź jak zawsze. Dam ci znać, gdyby się znów pojawił. Niewykluczone, że gdzieś się tu kręci, więc... bądź ostrożny. I... Gabe?

– Tak? – Głos miałem dziwnie pusty.

– Wiesz, kto to?

– Mój ojciec. – Oblizalem wargi. – W końcu połączył kropki.

Zakończyłem rozmowę i skierowałem się w stronę drzwi. Saylor na pewno słyszała, jak wspomniałem o ojcu, ale stała wystarczająco daleko, żeby nie dotarły do niej słowa Marty. Moje tajemnice były więc bezpieczne. Przynajmniej na razie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Nie podniosłem wzroku. Nie mogłem na nią spojrzeć. Nie chciałem widzieć rozczarowania i poczucia odrzucenia, które malowały się na jej twarzy.

– Jasne. Posłuchaj, muszę coś załatwić. Poćwicz jeszcze trochę. Zobaczymy się później, dobra?

– Gabe...

– Tak? – Zdążyłem uchylić drzwi. Niewiele brakowało.

– Dlaczego na mnie nie patrzysz?

Zebrałem się w sobie, przywołałem na twarz radosny uśmiech, odwróciłem się i puściłem do niej oko.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Myślę, że powinnaś poćwiczyć jeszcze przez jakąś godzinę. Bez obaw, wszystko w porządku.

Jej oczy zdawały się skanować moją twarz.

– Tak trudno powiedzieć prawdę, Gabe?

Mój uśmiech przygasł.

– Nawet nie wiesz jak.

Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem korytarzem. Najwyższy czas poprosić o pomoc Wesa, bo ktoś z mojej rodziny w końcu powiedział ojcu o Księżniczce.

A to znaczyło, że mam coraz mniej czasu.

Idąc niespiesznie, starałem się zapamiętać zapach tego wnętrza – będzie mi go brakowało. Budynki Uniwersytetu Waszyngtońskiego, choć wzniesione tak dawno, wciąż wydawały się nowoczesne i nie przestawały mnie fascynować.

Słony zapach oceanu.

Mgła wisząca w powietrzu.

Przeszłość deptała mi po piętach. Musiałem uciekać.

Dla dobra nas obojga.

Rozdział 28

*Zastanawiałam się, czy nadejdzie
taki dzień, kiedy Gabe w końcu
stanie się sobą – kimś, kim miał
być, odkąd przyszedł na świat, nie
maską numer jeden ani uśmiechem
numer dwa. Zastanawiałam się, czy
on sam wie, jak bardzo jest
zagubiony. A może tego właśnie
chciał – żeby jego dom był
labiryntem, maska jego
tożsamością, a życie kłamstwem. –
Saylor*

Saylor

– Jak tam w domu opieki? – spytała Lisa, odgryzając spory kawałek pizzy i głośno go przeżuując. Pracowałyśmy w ośrodku od przeszło trzech tygodni. – Angażuję ich w fajne projekty artystyczne, ale poza tym nic się nie dzieje – westchnęła ciężko i odgryzła kolejny kęs.

Wystarczyło, że wspomniała o ośrodku, a mnie od razu zrobiło się gorąco. Ośrodek kojarzył mi się

z Gabe'em, a kiedy myślałam o nim, myślałam o pocałunkach.

Od naszego pocałunku minęły dwa dni.

Tak, liczyłam wszystko skrupulatnie – przez ten czas nie miałam od niego żadnych wieści. Nie mogłam po prostu pojechać do domu opieki i sprawdzić, czy Gabe jest na miejscu. Coś takiego nazywa się *stalkingiem* i jest zakazane. Myślałam nawet o tym, żeby uciec się do kłamstwa i powiedzieć, że zostawiłam w ośrodku telefon, ale, znając moje szczęście, Gabe od razu domyśliłby się, że to bluff, i uznał, że jestem żałosna.

No i dowiedziałyby się w ten sposób, jak bardzo zależy mi na tym, żeby się z nim całować.

Nie wiedziałam, czy między nami zawsze już tak będzie. Że albo będziemy się kłócić, albo zatrać w pocałunkach. Jedno było pewne. Bycie z Gabe'em przypominało spacer po zoo i oglądanie lwów zamkniętych w klatce. Zwróć im wolność, a pożrą cię, ale tak długo, jak pozostają w niewoli, nic ci nie grozi.

Granice bezpieczeństwa Gabe wyznaczał sobie sam.

Było to niepokojące, a zarazem kuszące.

Jak wszystkie przerażające rzeczy. Zawsze byłam zdania, że piękno i strach idą ze sobą w parze. Może z powodu muzyki.

– Halo, ziemia do Saylor – zażartowała Lisa. –

Pytałam, jak tam w domu opieki. Aż tak nudno? Czy może mój czarujący sposób bycia sprawił, że odpłynęłaś?

– Przepraszam. – Czerwieniąc się, sięgnęłam po kawałek pizzy. Smakowała jak piasek, ale niespecjalnie się tym przejęłam. – Doskonale. To znaczy, na początku czułam się tam niezręcznie, ale teraz jest super.

Uśmiechnęła się radośnie. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego nie ma chłopaka. Może dlatego, że należała do dziewczyn, które przy pierwszym spotkaniu sprawiają wrażenie nadętych i opryskliwych. Jednak Lisa tak naprawdę była zupełnie inna.

– To dobrze, bo ja też świetnie się bawię. Wprawdzie czytam im różne historie, a nie uczę ich grać na instrumentach, ale przecież nie wszyscy jesteśmy aż tak utalentowani.

Roześmiałam się i odłożyłam pizzę.

– Ile jeszcze nam zostało? Mniej więcej sześć tygodni?

Jęknęła.

– Nie przypominaj mi. Pan Miller wciąż do mnie uderza. Doszło do tego, że zabrałam mu balkonik i powiedziałam, że pocałuję go tylko, jeśli przejdzie pół metra o własnych siłach.

– Nie! – Wybuchłam histerycznym śmiechem. – I co, spróbował?

– Tak – warknęła Lisa. – Wstrętny staruch podszedł do mnie, pocałował mnie w policzek i wziął swój balkonik.

Mało nie zakrztusiłam się ze śmiechu.

Lisa rzuciła we mnie kawałkiem pepperoni.

– Ale poza tym pacjenci są fajni. – Wzruszyła ramionami.

Postanowiłam wykorzystać okazję. Zapytać o Gabe’a i dowiedzieć się czegoś więcej na temat Księżniczki. Odchrząknęłam.

– A ta dziewczyna? – zaczęłam. – No wiesz... ta na wózku inwalidzkim?

– Która? – Nagle z wielkim zaangażowaniem zaczęła wyskubywać dodatki z pizzy.

– Ta, którą nazywają Księżniczką.

Jej dłoń zawisła nad talerzem.

– Tak?

– Ona i Gabe... wydają się sobie bardzo bliscy.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Gabe jest po prostu opiekuńczy. Zachowuje się tak samo w stosunku do wszystkich.

Zmarkotniałam. Czy to właśnie wydarzyło się między nami? Czy byłam dla niego jak Księżniczka? Pomagał mi, bo chciał, żebym poczuła się dobrze sama ze sobą? Ze swoją muzyką? Może dlatego nie dzwonił? Czy byłam, jak tamta dziewczyna, beznadziejnym przypadkiem, któremu postanowił pomóc?

– Nie! – Lisa odłożyła kawałek pizzy i wyciągnęła rękę. – To nie tak. To znaczy... Nie, nie, nie, z tobą to co innego.

Jasne, ostatnią rzeczą, której sobie życzyłam, było branie Lisy na litość, wyciąganie od niej informacji swoim żalosnym wyglądem.

- W porządku. Nie rozmawiajmy o nim.
- O kim? – Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzał Wes. – O kim nie będziemy rozmawiać?
- O Gabie – odparła szczerze Lisa, choć pacnęłam ją w ramię.
- Kiepski z niego kucharz. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co ludzie w nim widzą. – Mrugnął do nas i wszedł do pokoju. – Hej, Liso, Kiersten potrzebuje pomocy przy... gotowaniu.
- Gotowaniu? – Lisa ściągnęła brwi. – A konkretnie z czym ma problem?
- Wes spoglądał to na mnie, to na nią.
- Chyba coś z garnkiem.
- Przyszedłeś pożyczyć garnek?
- Możesz po prostu do niej zajrzeć? – Mówiąc to, złożył błagalnie dłonie. – Proszę?
- Mężczyźni. – Lisa poderwała się z podłogi i wyszła z pokoju.
- Wes usiadł na jej miejscu i wziął kawałek pizzy.
- Tak, jesteś najgorszym kłamcą na świecie.
- Rozwiniesz ten wątek specjalnie dla mnie? – Puścił do mnie oko. – Zresztą, mniejsza z tym. Jutro wieczorem organizujemy urodzinowe przyjęcie niespodziankę dla Lisy. Chciałbym, żebyś przyszła. – Podniósł rękę. – Małe sprostowanie. Chcemy, żebyś przyszła. Wszyscy.
- Ale...
- Żadnych „ale”, chyba że nagle dostaniesz wysokiej

gorączki, potrafi cię samochód albo zaczniesz wymiotować. Jednak nawet wtedy będę chciał zobaczyć termometr, wypis ze szpitala albo rzygowiny.

Wstrzymałam oddech, spoglądając na jego twarz i przeszywające niebieskie oczy.

– Jesteś dziwny.

Odłożył pizzę i pochylił się do przodu. Cholera. Jak to możliwe, że Kiersten patrzyła na niego i nie mdlała? Może mnie nie pociągał, ale musiałam przyznać, że jest naprawdę uroczy.

– No cóż... – Rozłożył ręce. – Powiedzmy, że nie chcę, żeby ominęła cię impreza.

– O której?

– O piątej.

– Mam się ubrać elegancko? Jutro znowu jadę do Pacific Northwest Group Home.

– Nie. – Machnął ręką. – Wystarczy, że będziesz ubrana.

– Dobra rada.

Roześmiał się.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem mistrzem porad.

– Zacieśniacie więzi, dzieciaki? – rzuciła Lisa, wracając do pokoju. – A tak przy okazji, Wes, Kiersten chciała, żebym pomogła jej znaleźć olej do smażenia.

– Faktycznie. – Wes strzelił palcami.

Lisa spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czasami mnie zadziwiasz.

Pociągnęłam łyk dietetycznej pepsi.

– To przez prochy.

Słyszając powagę w jego głosie, mało się nie zakrztusiłam.

– Mówi o tych dobrych – dodała Lisa.

Zdezorientowana patrzyłam to na nią, to na niego.

– Chodzi o te legalne – wyjaśnił Wes. – Żebym nie zachorował. Na wypadek gdyby rakowi zachciało się wracać.

– J-j-jasne. – Głos miałam schrypnięty.

Wes uśmiechnął się tym promiennym uśmiechem, który widniał na wszystkich billboardach w kraju, i poderwał się z podłogi.

– Drogie panie, miłego posiedzonka. Ja idę pomóc narzeczonej w kuchni.

– Obcałowywanie jej i namawianie, żeby założyła seksowny fartuszek, to żadna pomoc! – krzyknęła za nim Lisa.

– Zawsze warto spróbować! – odkrzyknął.

Chwilę po tym, jak drzwi zamknęły się za Wesem, Lisa spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Czego chciał Wes?

– Dać mi radę.

– Powinien studiować psychologię. – Pokręciła głową.

– Tak. Albo zostać modelem.

Lisa parsknęła i włożyła do ust plasterki kiełbasy.

– Bzdura. Dobra, skończmy przygotowywać te raporty z ostatnich czterech tygodni, żebyśmy mogły

w spokoju pooglądać telewizję.

– Okej. – Wyciągnęłam komputer i zabrałam się do pisania.

Trzy godziny później byliśmy w połowie pierwszego sezonu *Jess i chłopaków*. Za każdym razem, gdy drzwi do pokoju się otwierały, moje serce zaczynało bić mocniej – taką miałam nadzieję, że zobaczę Gabe’a. Lisa mówiła, że spędzali ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu.

Zaczynałyśmy oglądać sezon drugi, kiedy usłyszałam szcęk otwieranych drzwi i do pokoju wszedł Gabe. Moją uwagę przykuło trzymane przez niego opakowanie.

– Liso, chyba czas, żebyś znów mnie ufarbowała. Kolor spłóviał i ludzie zaczynają się na mnie dziwnie...

Lisa odchrząknęła znacząco.

Gabe podniósł wzrok.

– Cześć. – Pomachałam mu z kanapy. Kiepsko to wyszło. Powinnam była posłać mu promienny uśmiech, ale byłam zbyt przejęta jego nagłym pojawieniem się i zaskoczona tym, że farbuje włosy, jakby z jakiegoś powodu zależało mu na tym, żeby były ciemne.

– Hej. – Mięśnie jego szczęki drgnęły.

– Ma pierwsze siwe włosy – wyjaśniła Lisa.

– Co takiego? – ryknął.

– Starsze babki zaczynają się za nim oglądać. – Utkwiła wzrok w paznokciach. – To go wkurza, dlatego każe mi się farbować. Prawda, Gabe? – Uśmiechnęła się

do niego, podczas gdy on skrzywił się, jakby właśnie kopnęła go w krocze i powiedziała „nie ma za co”.

– Jasne. Jestem niebezpiecznie pociągający dla babeczek w średnim wieku.

– Super. – Stłumiłam uśmiech. – Tylko czemu farbujesz je na ciemno? Nie lepszy byłby na przykład jakiś blond?

Miałam wrażenie, że uśmiech zamarł na twarzy Lisy.

– Mają być czarne tak jak moja dusza – parsknął Gabe.

– Mogłam spodziewać się takiej odpowiedzi – odparłam i wszyscy troje wybuchliśmy śmiechem.

– Może ty to zrobisz? – Lisa włączyła pauzę.

– Niby co? – spyaliśmy jednocześnie ja i Gabe.

Lisa prychnęła i wstała z kanapy.

– Ufarbujesz Gabe’owi włosy. Poza tym właśnie pomalowałam paznokcie. – Wyrwała mu z ręki pudełko i cisnęła nim we mnie.

Złapałam je i patrzyłam, jak Gabe mierzy kuzynkę nienawistnym wzrokiem, a mięśnie jego żuchwy pracują, jakby próbował pogryźć coś twardego.

– Ale, Liso, ty masz doświadczenie w farbowaniu włosów – rzucił.

– No nie! – powiedziałam urażona. Nie miałam chyba pojęcia, co robię.

– Saylor to też dziewczyna. – Lisa pacnęła go w ramię. – Dla nas farbowanie włosów jest tak naturalne jak oddychanie.

– Wątpię.

W milczeniu mierzyli się wzrokiem, podczas gdy ja nie przestawałam się na nich gapić.

Gabe jako pierwszy odwrócił oczy i zaklął.

– Dobra, ale jeśli obudzę się z łysymi plackami na głowie i do końca semestru będą mówili na mnie Łatek, to będzie twoja wina.

– Byłby niezły ubaw... – Wstałam z kanapy i skierowałam się do łazienki. – Ale obiecuję, że zrobię co w mojej mocy, żeby włos nie spadł ci z głowy. Umowa stoi?

– Po namyśle... – Gabe z drapieżnym uśmiechem ominął kanapę. – Takie szarpanie za włosy może być całkiem przyjemne.

– Zapnij rozporek, zanim wejdiesz do łazienki i zamkniesz za sobą drzwi – poprosiła Lisa. – Nie chcę, żeby moja koleżanka została wykorzystana na terenie kampusu.

– Wyluzuj. – Gabe puścił do niej oko i oblizał wargi. – Gdybym chciał ją wykorzystać, na pewno nie zrobiłbym tego na podłodze w łazience.

– Och, już sobie wyobrażam całą scenę – zawyła Lisa. – Pamiętaj, Gabe. Saylor wchodzi tam jako dziewczina. Mam nadzieję, że opuszczając to pomieszczenie, będzie równie niewinna.

– Tak, proszę pani – rzucił Gabe. Zaraz potem wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Minął mnie i opuścił deskę sedesową. Kiedy się na niej rozsiadł,

łazienka nagle potwornie się skurczyła.

Drżącymi rękami wyjęłam z pudełka instrukcję i zaczęłam czytać.

Odkąd zostaliśmy sami, Gabe nie odezwał się ani słowem.

– Trzęsą ci się ręce – zauważył w końcu.

– Denerwuję się, bo cały czas stukasz nogą – warknęłam.

– Och. – Przestał. – Przepraszam.

Odetchnęłam i skupiłam się na instrukcji.

– W porządku.

Minęło kilka sekund.

– Jeśli dalej będziesz się tak intensywnie wpatrywała w tę kartkę, wypalisz w niej dziurę.

– Coś ci nie pasuje? – spytałam. – A może wolisz wyłysieć w wieku dwudziestu jeden lat?

– Dwudziestu dwóch – poprawił mnie. – Przepraszam.

Skończyłam czytać i zabrałam się do roboty z nadzieją, że nie zniszczę jego czarnych włosów. Choć musiałam przyznać, że nie miałabym nic przeciwko. Z jakiegoś powodu wcale do niego nie pasowały.

Rozdział 29

*Najbardziej zmysłowy dotyk,
jakiego może doświadczyć
mężczyzna, to ten, kiedy kobieta
zatapia palce w jego włosach
i szarpie je delikatnie. – Gabe H.,
Wes M. i wszyscy mężczyźni świata*

Gabe

Tak oto próba ignorowania Saylor i wyrzucenia jej z głowy zakończyła się porażką.

Śniłem o niej.

Śniłem o jej muzyce.

Jej pocałunku.

Jej niepojętym śmiechu.

Było to co najmniej irytujące, zwłaszcza że powinienem był skoncentrować się na tym, by mój ojciec nie pojawił się więcej w domu opieki.

Wszystko ucichło. Zapadła podejrzana cisza. Nawet Wes zaczął się niepokoić. Pomógł mi wynajść najlepszego prywatnego detektywa, ale nic to nie dało.

Nie mieliśmy tropów. Wydawało się, że ojciec po

prostu zapadł się pod ziemię. Zrobiłem się przez to chyba jeszcze bardziej nerwowy, niż gdybym wiedział, że facet węszy w okolicy.

Kiedy zadzwoniłem do mamy, powiedziała, że wyjechał, oznajmiwszy tylko, że musi coś załatwić. Była przyzwyczajona do jego wypadów. Zwykle zachowywał się, jakby był nie zrównoważony, ale ona i tak go kochała. Zrobiłaby dla niego wszystko. Nie wiedziałem, co napawa mnie większym obrzydzeniem – to, że mój ojciec chciał za wszelką cenę zmusić mnie do uległości, czy to, że matka nadal kochała kogoś, komu zależało, żeby zniszczyć jej dziecko.

Kiedy Saylor zaczęła rozczesywać moje włosy, musiałem przytrzymać się umywalki, żeby nie przyprzeć jej do ściany, nie wsadzić języka w jej usta i nie błagać o to, by odwzajemniła mój pocałunek.

Błagałbym.

Prosił.

Do diabła, minęła wieczność, odkąd oszalałem na punkcie dziewczyny – to nieokiełznane uczucie zaczęło działać mi na nerwy.

– Ćwiczę codziennie – odezwała się. Palcami odgarniała pasma włosów, rozprawdzając chłodną mieszankę po odrostach.

– Poważnie?

– Mmm. – Zaczęła wcierać farbę we włosy na środku głowy, chwilę później zrobiła to samo z kosmykiem na karku. – Myślę, że byłbyś ze mnie dumny.

– Na pewno.
– Chciałabym, żebyś popatrzył.
Cholera, mało się nie zakrztusiłem.
– Tak, chętnie. – Poważnie, nie marzyłem o niczym innym.

Może mógłbym.

Może ojciec naprawdę zniknął.

Może mogłem być z Saylor.

Tak. Zaczynałem wyskubywać okruchy, które spadały ze stołu, wierząc, że pewnego dnia sam przy nim zasiądę i zjem pełny posiłek. Wiedziałem jednak, że zanim to nastąpi, jedzenie zniknie, jakby od początku było tylko mirażem.

Saylor stanęła przede mną w delikatnym rozkroku, zawisła nad moimi kolanami i zaczęła farbować włosy z przodu głowy.

Patrzyłem prosto przed siebie, na jej biodra.

W pewnej chwili jęknąłem.

– Bolało? – Cofnęła ręce.

– Nie. – Zakasłałem. – Przepraszam.

Jej palce utonęły w moich włosach. Miałem ochotę zamknąć oczy.

Ręce Saylor znieruchomiały.

– Coś nie tak?

– Nie – powiedziała w zamyśleniu. – Chodzi o to, że masz naprawdę jasne odrosty.

Cholera. Postanowiłem udawać głupiego.

– Poważnie? Dziwne.

- Gabe...
- Tak?
- Jesteś w zasadzie blondynem.
- Może tak to wygląda, bo farba jest ciemna.
- Ale...
- Saylor.
- Słucham?
- Tęskniłem za tobą.

Czułem się jak dupek, odwracając w ten sposób jej uwagę, ale przynajmniej mówiłem prawdę. Nie kłamałem.

Znowu zaczęła wcierać farbę i westchnęła.

- Ja też za tobą tęskniłam.

Rozciągnąłem usta w uśmiechu.

– I jesteś dupkiem, bo mówisz to, żeby odwrócić moją uwagę od jasnego koloru swoich włosów, o którym z jakiegoś powodu nie chcesz rozmawiać.

– Moje włosy są rudozłote – mruknąłem. – A to, że za tobą tęskniłem, to najprawdziwsza prawda.

– Tęskniłeś wystarczająco, żeby teraz pomóc mi wyszlifować grę?

Zimna kropla farby skapnęła mi ze skroni prosto na rącznik, którym przykryłem ramiona.

- W końcu powiedziałaś „pięć łez”.

Odprężyłem się.

- Wynagrodziłem ci dopiero jedną.

– Wiem.

- Jutro. – Oblizalem usta i spróbowałem się

uśmiechnąć, ale było to niemożliwe. – Łza numer dwa.

– Cały dzień mam zajęcia, a potem jadę do ośrodka.

– Dziwne. Ja też.

Roześmiała się i chwyciła mnie za głowę.

– Przestań pochylać się do przodu albo skończy się na tym, że ufarbuję ci brwi.

– Dobrze już, dobrze.

Pracowała w milczeniu, a ja patrzyłem na jej nogi...

– Dobra. – Odłożyła pojemnik z farbą i usiadła na podłodze naprzeciw mnie. – Powiedz mi jedną prawdziwą rzecz.

Zaskoczony uniosłem brwi. Przełknąłem i odparłem:

– Nienawidzę farbować włosów.

Tym razem to ona wyglądała na zaskoczoną.

– Więc po co to robisz? I nie próbuj mi wmawiać, że siwiejesz. Nie masz ani jednego siwego włosa. Poza tym jesteś facetem, który nie przepuści żadnej kobiecie, zwłaszcza dojrzałej...

– Auć – roześmiałem się.

Zmrużyła oczy. Uwielbiałem je. Kiedy była zła, przybierały nieco inny odcień. To było seksowne. Cholernie seksowne.

– To zło konieczne.

– Bo?

– Powiedziałaś „jedną prawdziwą rzecz”.

– To ma z nią związek.

– Nie. Powiedziałem prawdę. Nienawidzę farbować włosów.

Westchnęła i splotła ramiona na piersi.

Odwróciłem wzrok, skupiając się na leżącej na wannie kostce mydła i wodzie, która kapiała z nieszczęelnego kranu.

– Jasne włosy należały do mojego dawnego ja. Były zbyt rozpoznawalne. To prawda, o której zwykle nie mówię.

Zacisnęła wargi, przez co skóra na jej policzkach napięła się, a mięśnie szyi naprężyły. Chryste, wszystko w niej było idealne. Chciałem dotykać każdego skrawka jej ciała. Nie znałem dziewczyny, która bez żadnych starań wyglądałaby tak seksownie. Miała na sobie obcisłe džinsy i czarną koszulkę. Patrząc na nią, nie wiedziałem, co zrobiłbym najpierw – rozebrał ją i pocałował czy pocałował, a dopiero później rozebrał.

– Dziękuję – odparła w końcu, wstała z podłogi i rozgarnęła mi włosy palcami.

– Nie tak szybko – mruknąłem, łapiąc ją za nadgarstek. – Teraz twoja kolej. Powiedz mi o sobie coś prawdziwego.

Wbiłem palce w jej skórę, aż wstrzymała oddech.

– Myślę, że lepiej wyglądałbyś w blond włosach.

Puściłem ją i wybuchłem śmiechem. Jego dźwięk odbijał się od ścian łazienki jak przeklęta piłeczka pingpongowa.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo masz rację. Nie. Masz. Pojęcia.

Pacnęła mnie ręcznikiem i tak po prostu...

Moja obsesja wróciła.

Zacząłem układać w głowie rozmaite scenariusze, które nie kończyły się tym, że pakuję się i wyjeżdżam.

Ale zostaję i mam ją tylko dla siebie.

Podejrzewałem jednak, że gdyby dowiedziała się, kim naprawdę jestem, normalność w naszym związku zniknęłaby, pochłonięta przez piekielne czeluście.

Rozdział 30

Najgorsze, czego doświadczyłem w życiu, to patrzeć, jak rodzina cierpi przez moją chorobę, ze świadomością, że nie mogę zrobić nic, żeby ich pocieszyć... Aż do chwili, gdy zobaczyłem minę, z jaką Gabe wszedł do pokoju. Miałem wrażenie, że oglądam najsmutniejszą scenę filmu. Dotarł do mnie sens ich historii. A zakończenie? Zamknąłem oczy. Nie mogłem na to patrzeć. Bo nienawidzę takich opowieści, historii, które nie dają nadziei i pozostawiają widza z uczuciem pustki. – Wes M.

Saylor

Wjechałam na parking i wysiadłam z samochodu. Wypadek na trasie zmienił jazdę w męczarnię. Ściskając w dłoni kluczyki, pobiegłam w stronę drzwi. Dwóch mężczyzn, wystarczająco potężnych, żeby spuścić łomot niejednemu bohaterowi kina akcji, stanęło mi na drodze.

Spojrzałam na imponujących rozmiarów broń. Czyżby w ośrodku doszło do jakiegoś włamania?

Jeden z nich zatrzymał mnie podniesieniem dłoni.

– Jest pani umówiona?

Rozejrzałam się dookoła.

– Jestem wolontariuszką z Uniwersytetu Waszyngtońskiego.

Mężczyzna zerknął na przyczepioną do podkładki listę.

– Imię – rzucił zwięźle.

– S-s-saylor.

– Nazwisko?

Zamarłam, dosłownie zapomniałam, jak się nazywam. W końcu jeden z nich wskazał coś na liście i pokiwał głową.

– Proszę wejść. – Rozstąpili się i wpuścili mnie do wnętrza budynku.

Wyciągnęłam telefon z tylnej kieszeni, odłożyłam go na blacie recepcji i podpisałam listę.

Miałam piętnaście minut spóźnienia.

Przebiegłam przez drzwi i omal nie zderzyłam się z Gabe'em.

– Spóźniłaś się. – Chwycił mnie za ramiona.

– Wiem – prychnęłam. – Były straszne korki, no i jacyś faceci zatrzymali mnie przed wejściem. Coś się stało? Dlaczego zwiększono liczbę ochroniarzy? – Jak przez mgłę pamiętałam rozmowę telefoniczną, którą Gabe odbył tuż po naszym pocałunku. To znaczy,

zauważyłam, że w ciągu ostatnich tygodni przybyło ochroniarzy, ale dwóch uzbrojonych facetów przed wejściem do budynku? Bez jaj. Prawdę mówiąc, byłam tak zaskoczona tym, co się wtedy między nami wydarzyło, że prawie w ogóle nie docierały do mnie słowa Gabe'a. Teraz żałowałam, że nie przysłuchiwałam się uważniej tamtej rozmowie.

Gabe puścił mnie i wzruszył ramionami.

– Kto wie? Może któryś z pacjentów próbował uciec?

– Nie żebyśmy nie próbowali – mruknął staruszek, pan Peterson, który mijał nas, powłócząc nogami.

Gabe przybił z nim piątkę i obejrzał się za wspartym na chodziku starszym panem.

– Właśnie o tym mówiłem.

Przewróciłam oczami i wyszłam z nim na środek sali.

– Przepraszam za spóźnienie!

Wszyscy zamilkli i zajęli swoje miejsca.

– Pomyślałam, że fajnie będzie, jeśli podzielicie się na grupy i napiszecie swoje własne utwory. Kiedy skończycie, będziecie mogli je zanucić albo zagrać na instrumentach. Popracujemy dziś nad skalą durową, tak więc możecie wykorzystać cztery dowolne nuty, ale tylko cztery. Nie chcemy przecież komplikować sobie życia. Mam tu parę przykładowych zestawień. Aha, proszę, pokolorujcie swoje nuty. Za każdym razem, kiedy użyjecie na przykład F i G, dopilnujcie, żeby miały ten sam kolor, co poprzednie F i G. Jakies pytania?

Nigdy nie mieli pytań.

Prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie postępowali według moich wskazówek, ale nie przeszkadzało mi to. Przynajmniej dobrze się bawili.

Przez kolejną godzinę chodziłam od stolika do stolika, służąc pomocą, ale trzymałam się z daleka od Księżniczki.

Był przy niej Gabe. Pochylał się nad kartką papieru, podczas gdy ona mówiła mu, co ma robić.

Ha, a on twierdził, że to ja lubię dyrygować innymi.

Nie miałam nic do tej dziewczyny. Wiedziała dokładnie, czego chce i dlaczego.

– Nie, Park! Chcę, żebyś użył jeszcze raz tej samej nuty! Ma być różowa!

Patrzyłam, jak ze sobą pracują, jak od czasu do czasu poklepuje ją po ręce, odgarnia jej włosy, a nawet ociera ślinę z kącika ust.

Już wtedy podejrzewałam, że łączy ich coś więcej.

Chciałam go o to zapytać. Zaczynałam się zastanawiać, czy Księżniczka nie jest przypadkiem jego siostrą albo kimś z rodziny. To by tłumaczyło, dlaczego jako wolontariusz spędzał z nią aż tyle czasu. Wiedziałam, że i Lisa musiała się jakoś wpisać w ten obrazek. Nie miałam tylko pojęcia jak. Czułam, że jeszcze chwila, a od domysłów pęknie mi głowa.

– Przepraszam. – Roześmiał się i pacnął ją w nos różową kredą. – Więc jakie chcesz nuty?

– Chcę... – Nie dokończyła, bo złapał ją gwałtowny

kaszel.

Gabe zerwał się na równe nogi.

– Wyrzuć to z siebie, Księżniczko. Właśnie tak, wykaszł to.

Wytarł jej usta papierową serwetką.

– Grzeczna dziewczynka.

– Parker... – Znowu się rozkasłała, a on znów zrobił to samo, ostrożnie dotykając rurek, które wystawały jej z nosa. – Nienawidzę kasłać.

– Wiem. To dlatego, że jesteś zakatarzona, ale wkrótce poczujesz się lepiej. Czy teraz, kiedy podają ci tlen, oddycha ci się łatwiej? – Mrugnął do niej i poklepał urządzenie przypięte do wózka.

– Trochę. – Wydawała się bledsza niż zwykle. – Ale i tak jestem bardzo zmęczona.

– Może...

– Parker! – wrzasnęła tak, że zadźwięczało mi w uszach. – Powiedziałam, że jestem zmęczona! Jestem zmęczona! Taka zmęczona! I cały czas śni mi się choinka. Tylko taka bez światełek. Dlaczego na choince nie ma światełek, Parker?

Gabe zamarł. Nigdy w życiu nie był tak blady.

– Choinka! – krzyknęła znowu, rozdziawiła usta i niemal spadła z wózka.

Podbiegłam do niej, kiedy zaczęła kasłać, wyszarpnęłam mu z dłoni serwetkę i przytknęłam jej do ust.

Odkaszlnęła kilka razy. Otarłam jej wargi

i uśmiechnęłam się.

– Lepiej? – spytałam.

– N-n-nie. – Dwie wielkie łzy potoczyły się po jej policzkach.

– Hmm, w takim razie może zaśpiewamy? Chciałabyś? – Chwytałam się wszelkich sposobów. Zawsze uspokajał ją śpiew Gabe’a.

Nie odpowiedziała, a ja doskonale wiedziałam, że igram z ogniem. Niewiele myśląc, wcisnęłam serwetkę z powrotem w dłoń Gabe’a, podeszłam do pianina i zaczęłam śpiewać piosenkę z *Małej Syrenki*.

– *Naprawdę chcę!* – wrzasnęła Księżniczka.

Gabe stał bez ruchu.

Księżniczka próbowała śpiewać i choć nie wychodziło jej to najlepiej, uśmiech powrócił na jej twarz. A co najważniejsze, przestała kasłać.

Wraz z ostatnimi słowami piosenki nadszedł koniec zajęć. Do pokoju weszła Marta i popchnęła wózek Księżniczki w kąt sali. Ja tymczasem podeszłam do Gabe’a, zastanawiając się, czy nie klasnąć mu przed oczami.

– O co chodzi? – Szarpnęłam go za rękę.

Zamrugał. Spojrzałam na serwetkę, którą trzymał w dłoni. Widniały na niej czerwone plamki. Plamki krwi.

Księżniczka kasłała krwią.

Rozdział 31

*Czerwień – zadziwiająco, jak jeden
kolor potrafi przenieść mnie
z powrotem do tamtej chwili. Było
tyle krwi, całe moje ręce były we
krwi. I nadal są. – Gabe H.*

Gabe

Sen powrócił.

Zwykle wracał, kiedy miała gorączkę. Księżniczka niewiele pamiętała z wypadku, tylko stojące wokół drzewa. W jej głowie wyglądały jak choinki, co zmieniało święta w prawdziwy koszmar, tak bardzo się ich bała.

Musiałem się z nią zgodzić.

Mnie również drzewa przypominały o wypadku.

Tak jak przekłeta bluza Oregon Ducks i szalik przywiązany do wózka inwalidzkiego.

– Gabe... – Saylor kilka razy powtórzyła moje imię.

Spojrzałem na swoją rękę, próbując coś powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle.

– Gabe... – Chwyciła mnie za ramię i wyprowadziła

tylnymi drzwiami na zewnątrz. – Czy ona jest chora?

– Zapalenie płuc. – Głos mi się załamał.

Dłoń Saylor przez cały czas spoczywała na moim ramieniu.

– Przykro mi, Gabe. To straszne, wiem...

– Nic nie wiesz – naskoczyłem na nią. Musiałem ją zranić. Chciałem, żeby cierpiała, bo sam cierpiałem, bo odchodziłem od zmysłów, bo traciłem dziewczynę, którą kiedyś kochałem, i wszystko to była moja wina.

– Nie krzycz na mnie. – Ścisnęła mnie za ramię i odepchnęła. – Próbuję pomóc. Wiem, że jest dla ciebie ważna. To ktoś z rodziny? Twoja siostra?

Wybuchłem chrapliwym śmiechem i wyrzuciłem ręce w górę.

– Moja siostra? Myślałaś, że to moja siostra?

Spojrzała na mnie zdumiona i pokiwała głową.

– Pudło – warknąłem, podszedłem do niej i spojrzałem na nią z góry. – Była moją narzeczoną.

Klnąc pod nosem, wróciłem do budynku i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Poczułem narastającą falę mdłości.

Wpadłem do łazienki i zwróciłem do toalety całą zawartość żołądka.

Wisiałem nad sedesem tak długo, aż nie miałem czym wymiotować. W końcu wypłukałem usta wodą i poszedłem do gabinetu Marty.

Siedziała przy biurku, popijając kawę i przeglądając dokumenty.

– Ona kaszle krwią, Marto.

Filiżanka zastygła w połowie drogi do ust.

– Tak, wiem. Nie chcieliśmy cię martwić.

– Martwić? – Podniosłem głos. – Martwić?

– Usiądź, Gabe.

– Nie. – Zakląłem i zamknąłem drzwi, żeby nikt nie słyszał naszej rozmowy. – Jeśli jest chora, musimy sprowadzić lepszego lekarza.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Dzięki tobie mamy najlepszego lekarza. Tu nie chodzi o specjalistów.

Słuchałem tykania zegara i czułem, że ogarnia mnie przerażenie. Byłem jak bomba, która czeka na odpowiednią chwilę, żeby wybuchnąć.

– Obawiam się, że infekcja jest poważniejsza, niż przypuszczaliśmy. Przestała reagować na antybiotyki.

– Ale mówiłaś...

– Gabe – westchnęła. – Wyglądasz na wykończonego. Idź do domu, odpocznij. Dam ci znać, jak tylko dowiem się czegoś więcej. Lekarz jest niemal pewien, że z tego wyjdzie.

– Ale jeśli przestała...

– Gabe. – Głos Marty przybrał surowy ton. – To silna dziewczyna. Idź do domu.

Skinąłem głową, otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Kiedy stukając butami, szedłem po wyłożonej kafelkami podłodze, czułem na sobie dziwne spojrzenia pracowników,

Saylor czekała na mnie na parkingu.

Cholera, tylko tego było mi trzeba. Kolejnych łez, za które będę musiał ją przeproszać.

Kiedy podszedłem, otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj – rzuciła.

– Przyjechałem motocyklem i...

– Pakuj się do tego cholernego samochodu, Gabe.

Żadnych łez, tylko wkurzona pierwszoroczniaczka. Świetnie. Cudownie. To dopiero zmiana. Od razu zrobiło mi się lepiej!

Mrucząc pod nosem, wsiadłem do samochodu i zapiąłem pas bezpieczeństwa. Jechaliśmy w milczeniu. Zaczęło padać.

Ten dzień powoli stawał się najgorszym dniem mojego życia.

Przez całą drogę, czyli dobre dwadzieścia minut, Saylor nie odezwała się ani słowem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, marzyłem tylko o tym, żeby wydostać się z samochodu i uwolnić od ciężkiej atmosfery panującej we wnętrzu.

Tymczasem Saylor minęła swój akademik, przejechała obok mojego i zaparkowała przed wydziałem muzyki.

– Chodź. – Wyłączyła silnik.

Westchnąłem i poszedłem za nią po schodach i dalej korytarzem aż do sali ćwiczeń. Wszedłem do środka i czekałem, aż usiądzie na ławeczce, ale ona stanęła za

moimi plecami i pchnęła mnie w stronę pianina, zmuszając, bym przy nim usiadł.

– Dziś będziemy handlować – szepnęła mi do ucha.

– Czyżby? – Gapiłem się na klawisze. – Niby jak?

– Powiedziałeś, że wynagrodzisz mi drugą łzę, ale zamiast tego ja wynagrodzę ci twoje.

– Ale ja nie płakałem.

– To, że nie płaczemy, nie oznacza, że nie jesteśmy wewnętrznie rozdarci. – Położyła mi dłonie na ramionach. – Domyślam się, że masz niejedną łzę, którą mogłabym ci wynagrodzić, i choć to nie ja jestem ich przyczyną, dokładnie wiem, czego potrzebujesz, żeby poczuć się lepiej.

– Tak? Czego? – Mój głos brzmiał jak zduszony szept.

– Zagraj. – Położyła moje ręce na klawiszach. – Wyrzuć to z siebie, Gabe.

Zrobiłem, co mi kazała.

Grałem przez dwie godziny.

Ona tymczasem siedziała w kącie pokoju i cierpliwie czekała.

Nie myliła się, tłumiliem w sobie łzy. Miałem rany i blizny tak głębokie, że czasami czułem się jak potwór, którego widzieli we mnie rodzice Księżniczki.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, moje ramiona, przygniecione dotychczas ogromnym ciężarem, nabrały niebywałej lekkości.

– Skąd wiedziałaś? – spytałem.

– Muzycy. – Wstała z podłogi, podeszła do mnie i dotknęła mojego ramienia. – Mamy takie same dusze.

Powoli podniosłem wzrok, żeby na nią spojrzeć.

– Kiedy patrzę, widzę ciebie. Za muzyką, za wygiętymi w uśmiechu ustami, za twoim dotykiem, za śmiechem... – głos uwiązał mi w gardle. – Widzę ciebie.

– Ja też widzę ciebie.

Rozdział 32

*Obnazanie przed kimś swojej duszy
jest jak dźganie się w serce
i czekanie, aż osoba, którą
kochamy, zatamuje krwotok – Wes
M.*

Saylor

Ręce mi drżały, kiedy go trzymałam. Jakby chciał odejść – to właśnie wyrażała jego twarz. Jak gdyby chciał uciec, jakby się do tego szykował.

Nie miałam pojęcia, jak mu pomóc. Wiedziałam tylko, że w głębi duszy muzyka była jego terapią, była dla niego wszystkim.

Dlatego zabrałam go do domu.

Do jego prawdziwego domu – przy pianinie.

– Byliśmy młodzi. – Gabe oblizał wargi i utkwiał wzrok w instrumencie. Głos miał niski i chropawy. –

Oświadczyłem się jej, kiedy miałem siedemnaście lat. Choć byłem dzieciakiem, czułem się naprawdę zakochany. Nie w taki sposób, jak ludzie w tym wieku. To było ogromne, totalne uczucie. Jakbym znalazł

w życiu swoją drugą połówkę. I nagle zniknęła.

– Wypadek... – zaczęłam, siadając obok niego na ławeczce. – Co się stało?

– Drzewo. – Zaklął i zaczął uderzać palcem w środkowe C. – Imprezowaliśmy... Nic wielkiego, ale wypiliśmy kilka drinków...

Picie w wieku siedemnastu lat? Sama nie byłam święta i w liceum nie raz brałam udział w szalonych imprezach. Ale to do niego nie pasowało, nie pasowało do jego obecnego opanowania.

Na moment stracił wątek i dopiero po chwili podjął przerwana opowieść.

– Chciałem jeszcze raz zjechać po stoku. Oboje jeździliśmy na nartach. Pomyślałem, że fajnie będzie pomknąć w dół, zanim spotkamy się z przyjaciółmi. Nie chciała. – Położył palce na klawiaturze i delikatnie uderzył w klawisze. – W końcu ją przekonałem. Marudziła jeszcze, żeby wziąć zapomniany z chatki kask, ale ja byłem trochę wstawiony i nie myślałem o tym, co może się stać, kiedy człowiek jadący na złamanie karku zderzy się z drzewem. Zignorowałem ją, powiedziałem, żeby się nie martwiła. Zlekceważyłem jej obawy, kiedy miała do nich pełne prawo.

Głos mu drżał.

– Zjeźdzaliśmy ze zbocza. W pewnej chwili usłyszałem jej krzyk – głos mu się załamał. Lewa ręka dołączyła do prawej i obie zatańczyły na klawiszach z kości słoniowej. – A potem zapadła cisza. – Zamknął

oczy. – Czasami zastanawiam się, co było gorsze...
Krzyk czy cisza, która po nim nastąpiła.

Westchnął i przygarbił się, jakby ktoś przycisnął go do ziemi ogromnym ciężarem.

Jego lewa ręka znieruchomiała.

Kiedy ją ujęłam, żeby dodać mu otuchy, zauważyłam, co dokładnie przedstawia tatuaż na palcu serdecznym jego dłoni.

Była to litera „K”, wygięta niczym łuk, z maleńką nutką u góry.

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że to, co nas połączyło, musi ograniczyć się wyłącznie do muzyki, bo dopóki tamta dziewczyna żyje, nie zastąpię mu tego, co stracił.

– Przykro mi – wyszeptałam.

– Mnie też – odparł. – Nienawidzisz mnie za to?

– Nie.

– A powinnaś. – Zgarbił się nad pianinem. – Ja nienawidzę siebie.

Ciszę przerwał mój wibrujący telefon. Nie zamierzałam odbierać, ale wibrowanie nie ustawało.

– Halo?

– Pospiesz się! – wrzasnęła mi do ucha Kiersten. –

Lisa zaraz tu będzie, a my mamy zrobić jej niespodziankę!

– Cholera. Dobra, już jedziemy.

– My? Jest z tobą Gabe?

– Tak.

– Dzięki Bogu! – westchnęła. – Dobra, po prostu się pospieszcie. Wszystko w porządku?

Zerknęłam na skuloną sylwetkę Gabe’a, rozważając w duchu, jak ma się pokazać na imprezie z tym wyglądem potencjalnego samobójcy.

– Tak, w porządku – rzuciłam do telefonu.

Jeśli w porządku było to, że właśnie dowiedziałam się, iż Gabe był zaręczony ze sparaliżowaną dziewczyną, która kasłała krwią, i ukrywał swoją tożsamość, bo nienawidził koleśia, którym był kiedyś, i chciał się zmienić.

Po. Prostu. Kapitalnie.

Skończywszy rozmowę, poczułam na sobie wzrok Gabe’a.

– Impreza? – spytał.

– Tak, kompletnie zapomniałam.

– Ja nigdy nie zapominam. – Wstał. W oczach miał mrok, a jego spojrzenie przenikało mnie na wskroś, jakbym była przezroczysta. – Może na tym polega mój cholerny problem. – Zgasił światło i uśmiechnął się do mnie. – Chodźmy.

Jak gdyby nigdy nic włożył kolejną maskę, udając, że świeci słońce, a on sam nie przejmuje się swoją sparaliżowaną narzeczoną i nie obwinia się o to, że przez niego dziewczyna resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim.

No cóż. A ja skarżyłam się, że mam tremę przed występem. Już wtedy powinien był posłać mnie do

diabła.

Moje problemy? Były niczym w porównaniu z jego brzemieniem.

Wyszłam za nim z budynku i otworzyłam drzwi samochodu. Czułam się dziwnie, znając jego drugie oblicze i mając świadomość, że decyduje się na pozostanie w masce.

Zupełnie jakbym wiedziała, kim naprawdę jest Superman, choć on nadal próbuje mydlić mi oczy.

A jeśli chodzi o moją pamięć? Działała bez zarzutu. I nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zapomnę wyraz twarzy Gabe'a podczas gry na pianinie, a właściwie podczas wlewania w nie swojej duszy. Równie dobrze mógł podciąć sobie żyły i pozwolić, by z każdym dźwiękiem krew skapywała na klawisze.

Patrzenie, jak wykonuje tak zwyczajną czynność jak zapinanie pasów bezpieczeństwa, było niemal irytujące. Nie miałam pojęcia, jak może funkcjonować, dźwigając na barkach tak ogromne brzemię.

– Co? – W jego oczach pojawił się błysk.

Przyłapał mnie, jak się na niego gapię.

Włożyłam kluczyk do stacyjki.

– Nic, przepraszam. Chyba po prostu jestem tym wszystkim trochę zmęczona.

– Nie musisz iść na imprezę.

Myślał o mnie. Nie o nas. Tylko o mnie. Jakby nie chciał, żebym tam szła, albo wolał, żebym została w domu i ucięła sobie drzemkę jak jakaś emerytka.

– Nie – odparłam, wyjeżdżając z parkingu. – Powinnam iść. W końcu Wes nie dał mi wyboru.

Gabe wiercił się na fotelu.

– Taki już jest. Zasadniczy.

– Jak się poznaliście?

Ręka Gabe'a zawisła na moment w powietrzu. Zaraz potem opuścił ją i skrzyżował ramiona.

– Kiersten była współlokatorką Lisy. Ja jestem jej... kuzynem. Pamiętasz? – Przewrócił oczami. – Poznałem go przez Kiersten. Resztę historii znasz.

– Przez Kiersten – powtórzyłam. Mój umysł pracował na pełnych obrotach.

– Przestań – warknął. – Z Kiersten to nie było tak... Z nikim tak nie było.

Poczułam ukłucie w sercu i przestraszyłam się, że zaraz zdradzą mnie drżące wargi.

– Aż do czasu, gdy spotkałem ciebie. – Powiedział to tak cicho, że z trudnością rozróżniałam poszczególne słowa.

Przez resztę drogi do restauracji wolałam się nie odzywać, nie ufając samej sobie. Na szczęście Gabe nie zadawał żadnych pytań.

Może to było coś, co nazywa się cichym porozumieniem... Zadano zbyt wiele pytań i udzielono zbyt wielu odpowiedzi. Każdy człowiek ma pewne granice wytrzymałości, a ja po prostu dotarłam już do swoich.

Rozdział 33

*Czasami zastanawiam się, czy
kiedykolwiek pozwalamy się komuś
do siebie zbliżyć, tak naprawdę.*

*Pragnienie, by druga osoba
wiedziała o nas wszystko – nawet
to, czego się wstydzimy – jest
ogromne. Jednak zbyt często,
zajrzawszy do swojego wnętrza,
wydobywamy zeń tylko to, co się
nam podoba, a kryjemy to, co
w nas szpetne. Nie mamy pojęcia,
że ukrywanie tego przed światem
jest jak zbrodnia, którą popełniamy
przeciwko własnej duszy. No bo jak
możemy być wolni w takiej
sytuacji? Kiedy celowo spychamy
w mrok to wszystko, z czym się
zmagamy? – Wes M.*

Gabe

Wiedziała.

Wiedziała.

Wiedziała.

Czy teraz, kiedy Saylor poznała maleńki wycinek

mojej przeszłości, nie powinienem czuć się lepiej? Zamiast tego miałem przemożną chęć wyjawienia jej całej prawdy, wyrwania sobie serca, położenia go przed nią na tacy i czekania, aż je uzdrowi i na powrót umieści w mojej piersi.

Mimo że z trudem łapałem oddech, dotarłem do restauracji, nie rozkleiwszy się w samochodzie. Jak mogła zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło? Zupełnie jakby to, co przed chwilą usłyszała, było dla niej chlebem powszednim. Każdy normalny człowiek byłby wkurzony jak cholera.

A więc albo nie była normalna...

Albo była świętą.

Czy to źle, że wolałem zdecydowanie tę drugą możliwość? Wystarczyło, że ja miałem nierówno pod sufitem.

– Daliście radę! – Kiersten rzuciła mi się na szyję.

Zakręciłem nią, postawiłem na ziemi i pocałowałem w czoło, kiedy nachyliła się w moją stronę i złapała mnie za ramiona.

– Martwiłam się.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? – Mrugnąłem do niej. Jednak w głębi duszy wiedziałem, że zawiodłem ją wielokrotnie. Zresztą nie ja jeden.

– Jeszcze nie.

Rude włosy miała upięte wokół głowy niczym koronę. W krótkiej białej sukience i brązowych sandałkach wyglądała jak księżniczka z bajki. Na myśl

o tym poczułem w sercu bolesne ukłucie. Księżniczka marzyłaby o takim stroju, o chodzeniu w nim.

– Gabe. – Wes zaszedł mnie od tyłu.

Odwróciłem się.

Miał na sobie dzinsy i koszulkę z logo kapeli grającej indie rocka. Patrzył na mnie jak pieprzony wampir, wysysający ukryte myśli.

– A więc... – Za plecami usłyszałem głos Saylor. – Kiedy pojawi się Lisa?

– Za piętnaście minut. Udało nam się zyskać na czasie. – Kiersten złapała ją za rękę. – I dzięki, że przyszłaś, zwłaszcza teraz, kiedy musisz ćwiczyć i masz tyle zajęć w domu opieki.

– Nie ma problemu – odparła Saylor łamiącym się głosem.

Cholera. Zafundowałem jej najbardziej stresujący wieczór w życiu. Niemożliwe, żeby po tym wszystkim, co ode mnie usłyszała, mogła zachowywać się jakby nigdy nic.

Ja miałem cztery lata.

A wciąż waliłem głową w mur.

Restauracja Marlin była małym grill-barem nad zatoką Puget Sound. Wiedziałem, że Kiersten wynajęła salę na tyłach, z wyjściem do doków. Podjąłem się, że za wszystko zapłacę. Kiedy się stanowczo sprzeciwiła, Wes oświadczył, że to żaden problem i że powinna mi na to pozwolić.

Ale Wes wiedział.

Wiedział, że nie był jedynym, który mógłby kupić nie tylko cholerną restaurację, lecz także połowę nieruchomości w Puget Sound, a i tak miałby kupę kasy.

– Muzyka! – krzyknęła Kiersten, napędzając mi niezłego stracha. – Prawie zapomniałam!

Pobiegła na drugi koniec sali, podłączyła iPoda i podkręciła głośność.

Zachichotałem. Sala była zdecydowanie za duża. Prawdę powiedziawszy, jak dla naszej piątki była ogromna, ale przynajmniej nie musieliśmy się przejmować tym, że ktoś rozpozna chodzący ideał i słynną parę, czyli Wesa i Kiersten, albo – co gorsza – mnie.

Wprawdzie w ciągu ostatnich czterech lat nic takiego się nie wydarzyło.

Ale musiałem mieć się na baczności.

Zmieszany przeczesałem palcami czarne jak smoła włosy i poczułem nienawiść do samego siebie, kiedy przypomniałem sobie słowa Saylor.

Powiedziała, że lepiej wyglądałbym jako blondyn.

Cholera, jakbym już wcześniej nie miał ochoty odciąć się od wizerunku kapitana Jacka Sparrowa i wrócić do naturalnego wyglądu.

Kiersten i Saylor pograżyły się w rozmowie, podczas gdy Wes nie przestawał się na mnie gapić.

– Potwór. – Pokręciłem głową.

Wzruszył ramionami.

I nagle muzyka się zmieniła.

Moje ciało napięło się niczym struna. Jakby ktoś powiedział mi, żebym wstrzymał oddech i przeobraził się w zombie.

– Boże! Uwielbiałam tę piosenkę! – pisnęła Kiersten i razem z Saylor zaczęły nucić.

– *Kiedy zabrałaś mi serce, oddałem ci duszę, ale schrzaniłaś wszystko i pozwoliłaś mi odejść!* – śpiewała Kiersten. – *Pozwoliłaś mi odejść, odejść, odejść, kochanie, nie, nie. Powinienem był wiedzieć, że to się źle skończy, kiedy zapragnąłem, żebyś była tylko moja i niczyja inna, ale nie, nie, nie.*

Wes uniósł brwi i zerknął na mnie porozumiewawczo.

Tak, tak, sukinsynu. Dzięki, zauważyłem to spojrzenie.

Saylor, śmiejąc się, patrzyła na Kiersten, która naśladowała choreografię z teledysku. Miałem ochotę przyłączyć się do niej, ale byłem prawie pewien, że to by mnie zdradziło.

Wątpiłem, żeby którykolwiek facet potrafił to zatańczyć.

Poza tym Wes posikałby się ze śmiechu. Nie tak powinno się mówić ludziom prawdę – włączając się do zabawy... Biały chłopak, który umie tańczyć, a do tego jeszcze śpiewa.

Kolor włosów nie miał żadnego znaczenia. Od razu zostałem rozpoznany. Zawsze zdumiewało mnie, że ludzie widzą tylko to, co chcą. Widzieli tatuaże i myśleli „zbir”. Widzieli mięśnie oraz długie ciemne włosy

i traktowali mnie jak totalnego popaprańca.

Nie mieli pojęcia, że całe życie byłem piątkowym uczniem.

Że obiecałem poślubić młodą gwiazdkę, która zawróciła mi w głowie.

Że płakałem w poduszkę, kiedy rodzice nie pozwalali mi siedzieć po nocach i pisać piosenek.

Piwo. Cholera, potrzebowałem piwa albo czegoś mocniejszego niż woda mineralna. Sęk w tym, że w takich miejscach jak to nie powinienem okazywać dowodu osobistego.

W ciemnych spelunach, w których barmani nie pamiętali własnego imienia? Tam nie miałem takich problemów.

W miłych lokalach, gdzie pracowali pełni zapału studenci jak nasza kelnerka? Nie. To byłoby nierozsądne.

– Idzie! – Kiersten uciszyła wszystkich i zgasła światła.

Chwilę później usłyszeliśmy szcęk otwieranych drzwi. Zastukały obcasy i w wejściu zamajaczyła czyjaś sylwetka.

– Niespodzianka! – krzyknęliśmy jednocześnie i wyskoczyliśmy z ukrycia.

Błysnęło światło.

I już wiedziałem, że moje dotychczasowe życie oficjalnie dobiegło kresu.

– Witaj, synu. – Ojciec otaczał ramieniem Lisę. Łzy

i rozmazany tusz zostawiły na jej policzkach czarne smugi. – Nie wiem, dlaczego wcześniej nie wpadłem na pomysł, żeby namierzyć cię przez twoją byłą dziewczynę. Och... – Odwrócił się do Lisy i pocałował ją w policzek. Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. – Wszystkiego najlepszego, Mel.

Rozdział 34

*Patrząc komuś w oczy, można wiele
wyczytać. Oczy
Gabe'a przywodziły na myśl
osaczone zwierzę. Jego ojciec był
myśliwym, a Gabe zwierzyną. Nie
wiedziała, czy powinnam mu
współczuć, czy zacząć się bać. Był
dla mnie obcym człowiekiem.
Zupełnie obcym człowiekiem. –
Saylor*

Gabe

– Puść ją. – Postąpiłem krok w kierunku mojego ojca, człowieka, którego najchętniej zepchnąłbym do mętnych wód zatoki Puget Sound i trzymał pod powierzchnią, dopóki nie przestanie się wyrywać. – Natychmiast.

– Słucham? – Jego twarz pozostawała niewzruszona. Jak zawsze. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo go nienawidziłem. To po nim odziedziczyłem talent aktorski. W jednej chwili zdawał się najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, a zaraz potem wyglądał jak mafioso lub totalny ćpun. – Nie przytulisz

taty?

– Ani mi się śni – warknąłem. – Puść ją.

Z okrutnym uśmiechem pchnął Lisę wprost w wyciągnięte ramiona Kiersten. Wes osłonił dziewczyny swoim ciałem. Wiedziałem przynajmniej, że jeśli wywiąże się bójka, zwycięstwo mamy w kieszeni. W konfrontacji z nami ojciec był bez szans.

Problem w tym, że gdyby przeżył, pozwałby nas, a ja nie mogłem pozwolić, żeby mój najlepszy przyjaciel trafił do więzienia za próbę zabójstwa. Więc tak, byliśmy w kropce.

– Nowy tatuaż? – Wskazał moją szyję.

Mięśnie miałem napięte jak postronki. Jakby całe moje ciało prosiło się o bijatykę.

– Mama tęskni za tobą.

Roześmiałem się i splotłem ramiona.

– Na pewno nic jej nie jest. Poza tym ma tyle kasy, że nie może być nieszczęśliwa, prawda?

Zmrużył swoje niebieskie oczy. Wyglądał niechlujnie, jakby nie spał od kilku dni, a cuchnął tak, jakby nie mył się od tygodni.

– Mieszkasz w samochodzie? – zakpiłem z niego. – Czy musiałeś go sprzedać, żeby spłacić swoje długi?

– Wydaje ci się – uśmiechnął się i wbił ręce w kieszenie – że możesz mnie obrażać, synu?

– Nie nazywaj mnie swoim synem – ryknąłem.

– Niby dlaczego mielibyśmy udawać, że jest inaczej? Zwłaszcza że w najbliższym czasie będziemy się często

widywać. Wszystko już obmyśliłem. Zagubiony syn po czterech latach wraca na łono rodziny! – Łzy napłynęły mu do oczu.

Sukinsyn!

– Ależ tak, panno Walters, cudownie było po tak długim czasie odzyskać naszego małego Ashtona.

Cofnąłem się i walnąłem go pięścią w twarz.

Upadł na podłogę, klnąc siarczyście.

Wes chwycił mnie za ramiona. Próbowałem go odepchnąć i rzucić się na ojca.

Patrzył na mnie załzawionymi oczami, krew kapłała mu z nosa.

– Jesteś silniejszy niż kiedyś.

– Zabiję cię.

– Zrób to – zakpił. – Będę śmiał się z ciebie nawet z piekielnych czeluści.

Szarpnąłem się do przodu, ale Wes trzymał mnie mocno.

– W końcu – ojciec dźwignął się z podłogi – chciałem jedynie poznać prawdę. Czyż nie tak właśnie mówią? Że prawda was wyzwoli? – prychnął. – Czy nie tego właśnie chcesz? Uwolnić się?

– Jesteś obłąkany – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, wkładając w te dwa słowa całą swoją nienawiść.

– Jutro – ojciec wręczył mi skrawek papieru z zapisanym numerem jego telefonu – porozmawiamy o twoim powrocie.

– Prędeż umrę.

Pokuśtykał w stronę drzwi, ale przed wyjściem zatrzymał się jeszcze i odwrócił.

– Tak, wiem. Nigdy byś tego dla mnie nie zrobił, synu. Ale dla Mel? – Mówiąc to, spojrzał na Lisę. – Albo Kimmy?

Z całych sił próbowałem wyrwać się z uchwytu Wesa, którego ramiona ścisnęły mnie jak imadło.

– Zabiję cię za to! – wrzasnąłem.

– Jutro – powtórzył i wyszedł.

Szamotałem się jeszcze przez chwilę, dopóki nie stanęła przede mną Lisa.

– Tylko ty i ja, okej? Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Pieprzyć go, niech się o mnie dowiedzą. Mam to gdzieś, tylko...

Uścisk Wesa zelżał i znalazłem się w ramionach Lisy.

– Tak mi przykro.

– Mnie też, Mel – westchnąłem. – Mnie też.

Staliśmy, tuląc się do siebie przez kilka minut, aż Wes odchrząknął znacząco.

– Gabe? – Głos Saylor był tak łagodny, że miałem ochotę się rozpłakać. – O co chodzi?

Nie patrząc na nią, odparłem:

– Nie mam na imię Gabe. Nazywam Ashton Parker Hyde.

W tej właśnie chwili zrozumiałem znaczenie powiedzenia „cicho jak makiem zasiał”. Równie dobrze mógłbym oświadczyć, że jestem Spidermanem.

Rozdział 35

*Prawda was wyzwoli, mówią,
i rzeczywiście tak jest – nikt nie
mówi jednak, że to wyzwolenie boli
jak cholera. – Wes M.*

Saylor

Patrzyłam jak oniemiała, gdy maska spadła z twarzy Gabe’a – albo raczej Ashtona. Jego oczy, te niebieskie oczy i czarne włosy. Byłam tak zażenowana, że miałam ochotę ukryć twarz w dłoniach. Powiedziałam mu, że lepiej wyglądałby w blond włosach. Może dlatego, że to jego naturalny kolor? Złocisty blond w kolorze miodu, którego – jak mówiono – nie dało się podrobić... Był dla mojego pokolenia idealną wersją Kena. Ludzie go uwielbiali, czcili go jak bóstwo. Nie mogli pogodzić się z tym, że porzucił show-biznes i słuch po nim zaginął.

Dziewczyny miesiącami opłakiwały jego zniknięcie.

Mówiono, że zmarł z przedawkowania narkotyków albo – co wydawało się jeszcze gorsze – że popełnił samobójstwo po tym, jak jego sławna dziewczyna zginęła tragicznie w wypadku na stoku.

Wszystko to były kłamstwa.

Każde, co do jednego.

Księżniczka.

Nogi ugięły się pode mną, kiedy kłamstwa zaczęły krążyć po pokoju, kradnąc powietrze, którego tak bardzo potrzebowałam.

– Hej. – Kiersten uklękła obok mnie i otoczyła mnie ramieniem.

Rozmawiałam z nią może trzy razy, a przylgnęłam do niej, jakby była moją matką. Jakby mogła mnie ochronić.

– Wy n-n-nie jesteście kuzynami? – Patrzyłam to na Gabe’a, to na Lisę i czułam, że żołądek podchodzi mi do gardła. Zabawne, myślałam, że łączy go coś z Kiersten. A od początku chodziło o Lisę.

Nie tylko był zaręczony z dziewczyną, która – niespodzianka! – wcale nie umarła. Ale dziewczyna, którą przedstawił mi jako swoją kuzynkę, była...

– Cholera! – wrzasnęła mi do ucha Kiersten. – Liso, mogłaś mi powiedzieć. Zrozumiałabym.

– Wiem. – Lisa wzruszyła ramionami. – Zrobiłam to dla Ashtona. Nie dla własnego kaprysu.

Kim ona była?

Próbowałam przypomnieć sobie siebie w wieku czternastu lat i mój stary pokój pełen magazynów dla nastolatek.

– Melanie Faye – wydusiłam.

W ciągu trzech sekund upiornie blada twarz Lisy

zrobiła się trupio szara. Pokiwała głową, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Ja... chciałam tylko pomóc Ashtonowi. Kochałam go. Na początku byłam potwornie zazdrosna, ale później, kiedy to się wydarzyło, nie mogłam tak po prostu go zostawić.

– Znalazła mnie – zaczął Gabe – kiedy przedawkowałam, próbując ze sobą skończyć.

– To był mój pomysł. – Lisa wbiła wzrok w podłogę.
– Żebyśmy uciekli. Żebyśmy porzucili dotychczasowe życie i zaczęli wszystko od początku, zwłaszcza po tym, jak stało się jasne, że Kimmy przeżyje. Świat, który jeszcze do niedawna był taki cudowny, zmienił się w piekło.

O Melanie Faye pisano w magazynach tylko dlatego, że była najlepszą przyjaciółką Ashtona. Ludzie plotkowali, że są parą, ale były to niepotwierdzone informacje. Dorastali w sąsiedztwie. Ona była modelką, on hollywoodzkim obiektem kobiecych westchnień. Idealna para.

Kiedyś chciałam być taka jak ona.

Bo w wieku czternastu lat miałam obsesję na punkcie Ashtona Hyde’a.

Cudownie.

– Ja... umm. – Zerwałam się z podłogi. – Muszę wyjść.

Nie oglądając się za siebie, wybiegłam z restauracji. Serce waliło mi jak młotem, a stopy dudniły na

chodniku.

– Zaczekaj! – krzyknął za moimi plecami Gabe.

Odepchnęłam go lewą ręką, prawą sięgając do drzwi samochodu. Oddech miałam chrapliwy. Nie mogłam na niego patrzeć. Po prostu... nie mogłam. Czułam się zdradzona. Oszukana. Prosiłam wyłącznie o prawdę, a dostałam stek kłamstw.

Po części rozumiałam jego pragnienie ukrycia się przed światem.

Ale nie należałam do tego rodzaju znajomych. Ludzi, którym rzuca się ochłapy, po to tylko, żeby ich wykorzystać.

To nie była przyjaźń.

– Co? – Głos mi się załamał. – Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

– Obiecałaś.

– Słucham? – Odwróciłam się, gotowa go spoliczkować.

Cofnęłam się instynktownie. Nie mogłam sobie ufać, kiedy był tuż obok mnie, zwłaszcza że patrząc na niego, czułam się, jak gdybym miała przed sobą trzy różne osoby. Nie wiedziałam, czy był Ashtonem – słynnym aktorem i gwiazdą muzyki pop – skrzywdzonym Gabe'em, który potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać, czy Parkerem, załamanym po stracie narzeczonej...

Spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

– Nie mogę cię stracić. Nie mogę.

– Zabawne. – Przełknęłam kulę, która utknęła mi w gardle. – Bo ja utraciłam ciebie. Utraciłam Gabe’a. Nigdy nie znałam Parkera. A teraz znowu tracę Ashtona. Zastanawiam się, ile jeszcze muszę stracić, żebym poczuła się pusta.

– Saylor...

– Prosiłam o prawdę. A ty karmiłeś mnie kłamstwami.

– Kiedy? – Przyciągnął mnie do siebie. – Kiedy cię okłamałem?

Szukałam w pamięci sytuacji, kiedy rzeczywiście mnie okłamał... i nic nie przychodziło mi do głowy. Nic poza jednym.

– Twoje imię.

– Mówiłem ci – bąknął, niemal ocierając się ustami o moje usta. – Mówiłem ci, że są rzeczy, o których wolałbym nie wspominać. Więc o to ci chodzi? Odrzucasz mnie?

– Ja? – Próbowałam się wyrwać. – Odrzucam ciebie? Nie, Gabe. To tak, jakby powiedzieć, że zwracam wolność ptakowi, który całe życie spędził w klatce, tyle że nigdy w życiu nie miałam żadnego ptaka. To, co nas połączyło, nie było prawdziwe. Nie możesz tego, co powstało między nami, opierać na prawdzie, skoro nic z tego nie było prawdziwe. Boże... – Zaczęłam się trząść. – Prawie się w tobie zakochałam. Prawie się zakochałam, Gabe! Jak myślisz, co teraz czuję? Czy ty w ogóle wiesz, kim jesteś?

– Nie – westchnął. – Myślę, że na tym polega problem, gdy cztery lata życia poświęcasz na zapominanie swojej przeszłości.

Staliśmy w ciszy. Tak wiele słów kłębiło się w mojej głowie, tak wiele spraw, które domagały się wypowiedzenia na głos, a których zdefiniowanie niczego by nie zmieniło, bo trzeba zacząć od tego, że w ogóle nie powinniśmy byli się spotkać.

– Saylor – zaczął błagalnie. – Pozwól, że ci to wynagrodzę. Powiem ci prawdę. Proszę, daj mi szansę, choćby jedną szansę, żeby się wytłumaczyć.

– Niby dlaczego miałabym się na to zgodzić? – Powoli wyswobodziłam się z jego uścisku. – Skoro nawet nie wynagrodziłeś mi łez, które przez ciebie wylałam? Po co, do cholery, miałabym dawać ci kolejną okazję, żebyś mógł znów doprowadzić mnie do płaczu?

Przygarbił się i patrzył na mnie przez kilka minut. W końcu powoli pokiwał głową.

I odszedł.

Po prostu odszedł.

Część mnie nienawidziła go za to. Bo pierwszy raz w życiu zrozumiałam, jak to jest, kiedy ktoś staje przed decyzją, czy wybrać cię, czy nie.

Nie wybrał mnie.

Zostałam sama.

Było tak, jak na początku.

Tyle że teraz miałam świadomość tego, jak bardzo jestem samotna.

Otarłam z twarzy kilka zabłąkanych łez i wsiadłam do samochodu. Deszcz walił w przednią szybę, kiedy wracałam na kampus.

Życie toczyło się dalej.

Tylko dlaczego czułam, jakby się skończyło?

Rozdział 36

Czasami trzymając się kurczowo tego, co kochamy najbardziej, zaczynamy dusić się własnym życiem. Czasami staramy się tak bardzo i próbujemy pokochać coś tak mocno, że zaczynamy się zatracać. Niebezpieczeństwo polega nie na tym, że kogoś kochamy, ale na tym, że kochając, zatracamy to, kim naprawdę jesteśmy. No bo co się dzieje, gdy dochodzi do tragedii? Jesteśmy jak pusta skorupa. Zostajemy z niczym.

Oto dlaczego próbowałem to zakończyć. Dlaczego nie chciałem żyć – bo żyłem poprzez nią, nie z nią, i zapomniałem, jak to jest być sobą. Co to znaczy być normalnym. Jedyne problem polegał na tym, że było mi z tym dobrze. – Gabe H.

Saylor

Wjechałam na drogę numer 15.

W końcu dotarłam na małe osiedle w Mill Creek.

Wyłączyłam silnik i spojrzałam w okna mieszkania mojej mamy.

Kiedyś żyliśmy w ładnej okolicy, ale ponieważ z roku na rok opłaty za czynsz rosły, przeprowadziliśmy się.

Na szczęście mama była pielęgniarką i miała dobrą pracę, ale mimo to... Nigdy nie opływaliśmy w dostatki, nie stać więc nas było na duży dom. Dlatego co kilka lat zmienialiśmy mieszkanie.

Chwyciłam torebkę i wysiadłam z samochodu. Pokonując po dwa stopnie naraz, wspięłam się na trzecie piętro i otworzyłam drzwi wejściowe. W środku panował idealny porządek. Wszystko było czyste. Piękne. Ostatni raz byłam tu na Boże Narodzenie, choć nawet wtedy tylko tu spałam. Większość czasu spędzałam na kampusie, ćwicząc.

– Say? – W korytarzu pojawił się Eryk, uśmiechnięty od ucha do ucha. – To ty?

– Tak. – Wargi mi drżały. – To ja.

Miał teraz piętnaście lat i był niemal tak wysoki jak ja. Jego szeroko rozstawione niebieskie oczy zmierzyły mnie od stóp do głów. Były delikatnie skośne, przez co jego uśmiech wydawał się jeszcze cieplejszy.

Kiedy wyciągnął do mnie rękę, przytuliłam się do niego i wybuchłam płaczem.

– Ćśśś, Say, wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Obiecuję, Say. – Stał tak, kołysząc się w przód i w tył, i głaskał mnie po plecach. – Przykro mi, że jesteś smutna.

Bałam się odezwać, więc jedynie pokiwałam głową i jeszcze mocniej przytuliłam się do brata. Miał na sobie bluzę Seahawks ¹ i pachniał, jakby chwilę temu wyszedł spod prysznic.

– Mama niedługo wróci. – Wypuścił mnie z objęć i uraczył jednym z tych swoich charakterystycznych uśmiechów. – Gotowałam.

– Poważnie? – Otarłam oczy.

Pokiwał głową.

– Jedzenie sprawia, że wszystko wydaje się lepsze.

– Rzeczywiście – wymamrotałam z uśmiechem.

– Siadaj – poinstruował mnie łagodnie. – Będziesz jadła.

– Eryk?

Odwrócił się. Oczy miał roześmiane, podobnie jak usta.

– Co? – spytał.

– Cieszę się, że tu jestem.

Wzruszył ramionami i zaczął wyciągać jedzenie z lodówki.

1. Seattle Seahawks – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w Seattle. [\[wróć\]](#)

Rozdział 37

Gdyby alkohol rzeczywiście przynosił zapomnienie. Ale on tylko przypominał mi o wszystkim, co chciałem wyrzucić z pamięci. – Gabe H.

Gabe

– Przepraszam – bąknąłem, kiedy wracaliśmy samochodem Wesa na kampus. – Za to, że wszystko schrzaniłem.

Kiersten odchrząknęła.

– Przynajmniej Lisa do końca życia nie zapomni tych urodzin.

– To ma być pocieszenie? – zachichotał Wes.

– Ona mnie nienawidzi. – Walnąłem głową w szybę. –

Niby jak mam rozwiązać tę sprawę z ojcem i mieć pewność, że Saylor wie, że...

Urwałem.

– Wie, że... – powtórzył Wes.

Lisa pocieszająco dotknęła mojego ramienia.

– Że... – Gardło miałem ściśnięte. – Cholera, nawet

nie potrafię powiedzieć tego na głos! Nic dziwnego, że mnie nienawidzi.

– Ty... – zaczęła powoli Lisa.

– ...ją... – dodał Wes.

– ...kochasz! – Kiersten spojrzała na mnie we wstecznym lusterku.

– Sam już nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. – Przycisnąłem dłonie do skroni. – Przychodzi wam coś do głowy? Wes? Co prawda zwykle nie chcę, żebyś dawał mi dobre rady.

– Pamiętam o tym.

– Masz zapamiętać, że kiedykolwiek cię o to prosiłem.

– Nie.

Jęknąłem.

Wes zaparkował tam, gdzie zawsze.

– Posłuchaj, Gabe, nie naprawię tego za ciebie. Nikt z nas tego nie robi. A im dłużej będziesz dziś o tym myślał, tym bardziej będziesz się stresował. Powiem tylko tyle... twój czas dobiegł końca.

– Bez jaj – warknąłem. Miałem ochotę coś rozwalić.

– Gabe. – Wes rozpiął pas i odwrócił się w moją stronę. – Czas pożegnać się z Gabe’em. Zaczniemy od tego, że nigdy nim nie byłeś. Byłeś Ashtonem – samo imię nie zmienia człowieka, nieważne, jak bardzo tego chcesz. Nasza tożsamość jest zapisana w naszych sercach. Nie w pracy, statusie, imieniu, kierunku studiów czy ilości posiadanych pieniędzy. W głębi serca przez cały czas byłeś tym samym człowiekiem. Bądź więc

tym, kim zawsze byłeś.

– Czyli mam wybrać jeden ze swoich wizerunków? –
Pokręciłem głową zdezorientowany.

– Nie. – Wes uśmiechnął się do mnie. – Połącz je
wszystkie w jedną całość.

Rozdział 38

Czasami trzeba uprościć pewne sprawy, żeby zrozumieć inne, bardziej skomplikowane. Jedzenie omleta i słuchanie, jak mój brat opowiada o futbolu? Darmowa terapia. – Saylor

Saylor

Eryk usmażył najlepszy omlet, jaki jadłam w życiu, poklepał mnie po ręce i zaczął paplać o futbolu i wspominać różne mecze. Zaraz potem rozmowa zeszła na Seahawks.

– Russell Wilson. – Eryk westchnął z rozmarzeniem i wymierzył we mnie widelcem. – Jest lepszy od Toma Brady’ego.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i pokazała się w nich mama. Była ubrana w różowy fartuch pielęgniarstwa i wyglądała, jakby miała za sobą wyjątkowo ciężki dzień.

– Eryku, jak możesz mówić źle o moich Patriotach! [1](#)
– Uśmiechnęła się i oparła dłonie na biodrach. –

I dlaczego o tej porze nie jesteś jeszcze w łóżku?

Eryk wskazał na mnie.

– Cześć, mammo.

– Saylor! – Przytuliła mnie i pocałowała w czoło.

Poczułam się, jakbym znowu była dzieckiem, które wie, że mama rozwiąże wszystkie jego problemy. Chciałam, żeby mnie przytuliła i dała mi ciastko czekoladowe z mlekiem.

– Wszystko w porządku?

– Ona płakała, mammo, ale dałem jej jeść! – krzyknął Eryk.

– Dziękuję, skarbie. – Rozpromieniła się. – A teraz szykuj się do snu. Zrobisz to dla mnie?

Eryk się nadąsał, wysunął dolną wargę i zmarszczył czoło.

– Najpierw umyj zęby. I pamiętaj, zanim położysz się spać, załóż aparat.

Nauczyłyśmy się, że najlepsze rezultaty przynosi mówienie mu po kolei, co ma zrobić. Gdy kazałam mu sprzątnąć pokój, wpadał w szał – to go przerastało. Musiałam więc wydawać mu polecenia typu: „Najpierw uprzątnij książki, potem schowaj je do plecaka i poszukaj kredek”.

– Dobrze, mammo. – Przytulił mnie ostatni raz i pomaszerował korytarzem w stronę łazienki.

Mama przyjrzała mi się uważnie, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na kanapę.

– Co się dzieje, kochanie? Prawie w ogóle cię nie

widuję i nagle pojawiaasz się w domu zapłakana.

– To długa historia – wychrypiałam.

– Cóż... – Zerknęła na zegarek. – Mamy całą noc.

Potrzebowałam trzech godzin, żeby wszystko jej wytłumaczyć. Wydawało mi się trochę nie w porządku, że zdradzam tajemnicę Gabe'a, ale czułam tak wielką potrzebę, żeby z kimś porozmawiać, że niespecjalnie się tym przejmowałam. Poza tym mama była moją najlepszą przyjaciółką.

Zanim skończyłam, byłam na skraju odwodnienia, ale zrobiło mi się lepiej. Mama niewiele mówiła, tylko kiwała głową i słuchała.

W końcu, kiedy niemal ochrypłam od opowiadania, wpatrzyłam się w nią, czekając na radę.

– No i? – spytałam. – Co mam zrobić?

Jej uśmiech trochę mnie uspokoił, ale wypowiedziane przez nią słowa sprawiły, że wszystko wróciło do mnie ze zdwojoną siłą.

– To chyba oczywiste, prawda?

– Gdyby to było takie oczywiste, nie czułabym się tak, jakby moje życie właśnie się skończyło, nie szlochałabym skulona na kanapie i nie miałabym wrażenia, że ktoś wyrwał mi serce.

– Miłość – westchnęła i przysunęła się do mnie. – To właśnie robi z nami miłość.

– Mamo, znam go ledwie od kilku tygodni...

– W miłości nie ma harmonogramów ani zasad. Taka już jest, Saylor. – Ujęła mnie za ręce. – Nie uważam, że

to, co zrobił Gabe, było w porządku, nie pochwalam tego. Chcę tylko powiedzieć, że każdy zasługuje na drugą szansę. Na tym polega życie.

– Ale...

– Problem z drugimi szansami sprowadza się do tego – przerwała mi, kładąc rękę na moim ramieniu – że godzimy się na nie, zakładając, że przyniosą natychmiastową poprawę sytuacji, podczas gdy w dziewięciu na dziesięć przypadków najpierw wszystko musi się popsuć, żeby mogło być lepiej. Jeśli dasz mu kolejną szansę, wcale nie będzie lżej. Będzie bolało. Nie będzie łatwo, ale w końcu, jeśli wszystko się poukłada – wzruszyła ramionami, a jej oczy się śmiały, podobnie jak usta – przekonasz się, że było warto. Czy nie lepiej pocierpieć przez kilka dni, żeby odnaleźć miłość życia? Ludzie mówią czasem, że chętnie pocierpieliby przez dwa dni, byleby tylko przez resztę życia byli szczęśliwi. A jak jest w rzeczywistości? Większość ludzi odpuszcza sobie po godzinie, bo cierpienie ich przerasta. – Jej oczy zaszkliły się od łez. – Nie odwracaj się od niego, Saylor. Wygląda na to, że całe życie Gabe’a zamknęło się w tym jednym słowie. Ludzie odwracali się od niego, aż w końcu on sam odwrócił się od siebie. Nie rób tego, czego od ciebie oczekuje.

– Ale to boli – odparłam drżącym głosem. – Tak bardzo.

Mama ujęła w dłonie moją twarz.

– Wykorzystaj więc ten ból.

Podczas naszego drugiego spotkania, a w zasadzie starcia, Gabe kazał mi wykorzystać przepełniającą mnie nienawiść. Co to w ogóle miało znaczyć? Jak mogłam wykorzystać ból?

– Nie rozumiem – mruknęłam.

– Nie pozwól, żeby ból sprawił, że staniesz w miejscu. Nie powinien cię zatrzymywać, powinien napędzać cię do działania.

Westchnęłam i zaczęłam skubać okrywający mnie koc.

– Od kiedy jesteś taka mądra?

Uśmiechnęła się czule.

– Miałam kiedyś pacjenta. – Oczy znów jej się zaszkliły. – Mogłoby się wydawać, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Byłam sama na sali po tym, jak robiono mu rezonans magnetyczny. Serce mi pękało na myśl, że nie ma nadziei dla tak młodego człowieka. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy miałam już wyjść, okazało się, że drzwi są zamknięte. Nacisnęłam klamkę i usłyszałam czyjeś kroki, a zaraz potem fragment rozmowy tego pacjenta z pewną osobą. To była kobieta. Miała piękny głos, jednak nie on mnie urzekł, ale to, co powiedziała. „Czasami wydaje nam się, że Bóg postawił na nas krzyżyk, gdy tak naprawdę daje nam drugą szansę”. – Ukradkiem otarła łzę. – Jej słowa nie dają mi spokoju. Zdarza mi się obudzić w środku nocy ze świadomością, że znów mi to mówiła. – Oblizwała wargi i ścisnęła mnie za rękę. – Jak często

twoim zdaniem mamy okazję napisać swoje własne zakończenie, zanim historia dobiegnie końca? Jak często dajemy za wygraną, kiedy nasze życie dopiero się rozpoczyna? Sytuacja się komplikuje, a my od razu wycofujemy się, przyjmując z góry, że wybraliśmy niewłaściwą drogę i dokonaliśmy złego wyboru. Tymczasem jest to znak, że powinniśmy iść dalej.

– Chcesz powiedzieć, że to nie koniec? – wyszeptałam.

– Rzadko tak bywa – odparła.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, aż w końcu zegar wybił pierwszą w nocy.

– Mamo?

– Hmm?

– Jak długo byłaś uwięziona w tamtym pokoju?

Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Przez chwilę wierciła się na kanapie, aż w końcu powiedziała:

– Wcale nie byłam. Kiedy usłyszałam ich rozmowę, nacisnęłam klamkę i drzwi się otworzyły. Gdy powiedziałam o tym woźnemu, stwierdził tylko, że coś musiało mi się przywidzieć, bo te drzwi nie mają zamka. I nigdy nie miały.

1. New England Patriots – drużyna futbolu amerykańskiego z siedzibą w Foxborough, w stanie Massachusetts. [\[wróć\]](#)

Rozdział 39

*Spojrzałem na swoje trzy maski
i coś zrozumiałem – wszystkie one
były potworami, które sam
stworzyłem. Ja je zrobiłem. Nikt
inny. To był mój wybór. I wybrałem
źle. – Gabe H.*

Gabe

– Gotowy? – spytał po raz dziesiąty Wes.

– Po prostu zrób to – mruknąłem, pochylając głowę pod prysznicem mającym splukać mi z włosów czarną farbę.

– To się nazywa męska przyjaźń! – roześmiał się Wes i zaczął pogwizdywać.

– Proszę, nie gwizdź – warknąłem. – Rób, co chcesz, tylko nie gwizdź.

Zaczął nucić jedną z piosenek z mojego pierwszego albumu.

– Bardzo śmieszne.

– Też tak myślę. – Nie przestawał podśpiewywać.

– Po prostu... – Oparłem dłonie na kolanach

i pochyliłem się jeszcze bardziej do przodu. Czerń, wirując, znikła w odpływie, jakbym zmywał z siebie grzechy. – Po prostu nic nie rób.

– Gabe... – Wes wepchnął moją głowę pod strumień ciepłej wody. – Postępujesz właściwie.

– Tak, ciągle mnie w tym utwierdzasz.

– Bo to prawda.

– Tylko skąd możemy wiedzieć, że to wszystko nie obróci się przeciwko mnie?

– Nie możemy.

– Wyobraź sobie, że kiedyś widziałem w tobie terapeutę. Chcesz, żebym się zabił?

Wes się roześmiał, co jeszcze bardziej mnie rozjuszyło.

– Przepraszam, stary, ale ja patrzę na to w ten sposób: najgorsze masz już za sobą i nadal żyjesz.

– Ja...

Do diabła, facet miał rację. Najgorsze już się wydarzyło. Ojciec znalazł mnie i Lisę. I zamierzał rzucić nas na pożarcie pismakom. Wiedział o Kimmy, a Saylor mnie nienawidziła. Moje życie się skończyło, ale ja wciąż żyłem.

– Słyszę twój mózg, jak pracuje na pełnych obrotach.

– Zamknij się.

Wes zakręcił wodę i narzucił mi ręcznik na głowę, wkładając w to więcej siły, niż było trzeba. Duppek.

Kiedy się odwróciłem, trzymał w dłoni nożyczki i uśmiechał się jak wariat.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Do diabła, nie.
– Daj spokój. – Podniósł nożyczki do góry i szczęknął nimi. – Nie pękaj.

– Nie.

– Boisz się? – Przekrzywił głowę.

– Cholera. – Otarłem twarz rękami. – Może trochę.

– To spróbuj mieć raka. – Zmrużył oczy. – A teraz przestań się mazgaić i siadaj.

Pokręciłem głową.

– Powrót do zdrowia całkiem cię odmienił.

– Nie. – Posłał mi smutny uśmiech. – Odmieniło mnie to, że prawie straciłem najlepszego przyjaciela.

– Wes...

– Tak, wiem, że ci przykro. – Odchrząknął. – Ale jeśli jeszcze raz zaszyjesz się w mroku, pójdę tam za tobą i będę upierdliwy jak diabli. Chyba obaj o tym wiemy. A teraz siadaj i daj mi się zająć twoimi włosami. Zrobimy to razem.

– Dzięki, Wes. – Pokiwałem głową. – Za... wszystko.

– Był przy mnie od dwunastu godzin, nie spał i nie jadł. Siedział ze mną i wspólnie zastanawialiśmy się, co dalej.

Powiedział, że jest mi to winien.

Ale tak naprawdę, to ja byłem jego dłużnikiem, za wszystko, co zrobił w przeszłości, i za to, co robił teraz. Za to, że był pieprzonym Wesem Michelsem.

Cholera. Nie będę płakał.

Wpatrując się w spadające na podłogę pasma włosów i słuchając szczęku nożyczek, czułem, jakby ktoś

uwalniał mnie od gigantycznego ciężaru. Przestałem się garbić. Zamiast pochylać się do przodu, wyprostowałem się. Zamiast pustki i przerażenia...

Czułem się... pobudzony.

Uśmiechnąłem się, bo kosmyki włosów, które leżały przede mną, nie były czarne. Były jasne, niemal złociste.

Po wszystkim Wes wręczył mi lusterko i poklepał mnie po plecach.

– Witamy wśród żywych, Ashtonie Hydzie. Miło pana poznać.

Rozdział 40

*Był zwykłym facetem. Tyle że
niezwykle przystojnym
i popularnym. A ja się z nim
całowałam. I to nie raz. Zabawne,
mając szesnaście lat, wyobrażałam
sobie, jak by to było całować się
z Ashtonem Hyde'em. Do głowy by
mi nie przyszło, że coś takiego
naprawdę się wydarzy i że będzie
tak cudownie. – Saylor*

Saylor

Z niespokojnego snu wyrwał mnie słodki zapach naleśników. Kiedy otworzyłam oczy, zegar na szafce nocnej potwierdził tylko moje obawy. Zasnęłam. Jęcząc, usiadłam na skraju łóżka. Wciągnęłam postrzępione dzinsy i białą koszulkę. Po solidnej porcji naleśników wyszłam z mieszkania, wsiadłam do samochodu i ruszyłam w stronę ośrodka. Jechałam tak wolno, jak tylko było to możliwe.

Było piątkowe popołudnie i choć nie miałam ochoty na spotkanie z Gabe'em, wiedziałam, że mama miała

rację. Poza tym nie mogłam odsunąć się od wszystkich.

Traf chciał, że ulice były prawie puste.

No jasne.

Nie wiem, czego się spodziewałam, parkując przed domem opieki, ale wszystko wydawało się takie zwyczajne. Jakby wczoraj wieczorem gwiazda kina i muzyki nie wyszła z ukrycia, jakbyśmy z Gabe'em wciąż byli przyjaciółmi.

Wysiadłam z samochodu i zadrżałam. W powietrzu wisiała mgła. Ochroniarze powitali mnie skinieniem głów i wpuścili do wnętrza budynku.

Przy biurku siedziała uśmiechnięta Marta.

– Ach, Saylor, jak się masz?

– Dobrze. – Skłamałabym, mówiąc, że rozbieganym wzrokiem nie wypatrywałam Gabe'a.

– Jest w środku – odparła Marta, biorąc ode mnie telefon. – Czeka na ciebie.

Odchrząknęłam i wbiłam spojrzenie w blat.

– Kto? – spytałam.

Roześmiała się.

Czy zachowanie aż tak mnie zdradzało?

Westchnęłam i noga za nogą powlokłam się do pokoju rekreacyjnego.

Głodnym wzrokiem szukałam Gabe'a.

Ale nie znalazłam go.

Ponieważ Gabe przestał istnieć.

Wstrzymałam oddech na widok Ashtona Hyde'a, który dźwignął się z krzesła i ruszył w moją stronę.

Jedno się nie zmieniło. Tatuaze. Poza tym żadnych kolczyków. Żadnych ciemnych włosów.

Miał na sobie niebieskie, obcisłe dżinsy, brązowe buty i rozpiętą pod szyją, jasnobrązową koszulkę.

Jego włosy miały barwę miodu. Kiedy człowiek widzi takie włosy w telewizji, myśli sobie, że nie mogą być prawdziwe, bo wyglądają jak złote nici.

– Przyszłaś. – Wyczułam ulgę w jego głosie.

– Tak. – Nie mogłam spojrzeć mu w oczy. Nie teraz. Nie po tym, co mi zrobił i jak to na mnie wpłynęło. Równie dobrze mogłabym wystawić swoje serce na widok publiczny. Byłam pewna, że nawet on je słyszał.

Gabe, Ashton, czy kimkolwiek był – myślę, że dla mnie pozostał Gabe'em – sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą, szklaną buteleczkę. Była wielkości breloka.

– Co to?

Uśmiechnął się. Jego uśmiech pasował do opalenizny i jasnych oczu. Zamrugałam. Mało brakowało, a rozdziawiłabym usta, ale w porę nad tym zapanowałam.

– Pięć łez. Masz rację. Jak mógłbym poważić się na to, żeby doprowadzić cię do kolejnych, skoro nie potrafię nawet zrekompensować ci tych pierwszych?

Gapiłam się na niego oniemiała.

– Łza za łzę – wyszeptał i potrząsnął buteleczką.

– Ty...

– To było jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. – Spojrzał na moje wargi. – Jeśli dobrze liczę, znaczy to,

że muszę wynagrodzić ci jeszcze trzy. Lepiej więc się przygotuj.

– Mam się przygotować? – powtórzyłam zaskoczona.

– Tak. – Uśmiechnął się i ruszył w stronę Księżniczki. Nagle odwrócił się, jakby o czymś zapomniał. – Ja też – oznajmił.

– Słucham?

– Ja też się w tobie zakochuję. Jeszcze się nie zakochałem. Dopiero się zakochuję. Czuję się, jakbym właśnie skoczył z klifu i leciał z nadzieją, że wpadając do wody, nie złamię sobie karku.

– A jeśli do tego dojdzie?

– Pozostanie mi satysfakcja, że jednak się odważyłem.

Oddech uwiązał mi w gardle. Moje ciało zareagowało na jego słowa, jakby chwycił mnie w ramiona i całując, wirował ze mną po pokoju.

– Dobrze, zajmijcie miejsca. – Czterokrotnie klasnęłam w dłonie.

Oni również zaczęli klaskać. Księżniczka krzyknęła. Normalna. Wszystko zdawało się takie normalne.

– Spotykamy się od czterech tygodni. – Rozejrzałam się po pokoju. – Ostatnio pracowaliście nad własną piosenką. Czy ktoś chciałby się z nami podzielić swoimi osiągnięciami?

Zgłosiło się kilka osób. Każdy próbował zaśpiewać narysowane przez siebie nuty. Nawet Księżniczka wykrzyczała te, które namalował dla niej Gabe.

– Ktoś jeszcze? – Powiodłam wzrokiem po twarzach

pacjentów, z których większość pochłonięta była własnymi pracami albo szepcząc, zerkąca na kartki sąsiadów.

– Ja chcę. – Głos Gabe’a przeszył powietrze.

– Tak, Park! – krzyknęła Księżniczka. – Zagraj piosenkę! Zagraj swoją piosenkę!

Gabe uśmiechnął się do niej i tylko do niej, pochylił się i pocałował ją w czoło. Nigdy bym jej nie poznała. Ale to była Kimmy. Kimmy Paige. Osiemnastoletnia gwiazdka. Naprawdę myślałam, że umarła. Była w śpiączce przez tak długi czas, że w końcu media przestały się nią interesować.

– Parker! – krzyknęła podekscytowana i odprowadziła go wzrokiem do pianina.

Piosenki, które śpiewał. To były jej piosenki. To z nich zasłynął Ashton. Nagrywał dla niej piosenki miłosne i wrzucał je na YouTube. Raz nawet sfilmował siebie, jak śpiewa jej do snu.

Nic dziwnego, że kobiety na całym świecie wpadły w histerię, kiedy nagle zniknął.

Gabe usiadł przy pianinie. Wyglądał, jakby się przy nim urodził. Jego ręce zawisły nad klawiaturą.

– Nowa piosenka. Na nowy początek. – Podniósł wzrok i napotkał moje spojrzenie. Chwilę później zaczął grać.

Nie spuszczał ze mnie oczu, a ja patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana.

– *Jak mógłbym pozwolić odejść miłości, która jest przy*

mnie od tak dawna i nadaje mojemu życiu sens? Niełatwo pozbyć się okruchów, choć to one zadają mi ból. Ścisnąłem je w dłoniach tak mocno, że krew skapywała jak deszcz. Ale nic, nic nie może przygotować mnie na nowe życie z tobą, na to życie, na które nie zasługuję i o które będę walczył. – Zamknął oczy i pochylił się nad pianinem.

Muzyka przycichła. Była to piękna, zapadająca w pamięć piosenka. Jego ciało i pianino tak jakby zespoliły się ze sobą, przez co sama czułam się jak pianino. Jakby to na mnie grał, jakby uderzając w klawisze, całował moją skórę.

– Jeśli piękno jest cierpieniem, pozwól, że się w nim zatracę. Jeśli jesteś moim wybawieniem, pragnę na nie zasłużyć. Jeśli miłość to wszystko, co mogę ci ofiarować, pozwól, że ci ją dam. Zrobię to wszystko dla ciebie.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Jak mam cię przekonać o prawdziwości moich uczuć? Prosisz o prawdę, ja karmię cię kłamstwami. Prosisz o radość, ja doprowadzam cię do łez. Ale nie chcę cię stracić. Nie w ten sposób. Nie po tym, jak wywołałem w twoim sercu taki zamęt. Daj mi jedną szansę: zostawiam za sobą przeszłość, ale potrzebuję cię tutaj, w pełni świadomej. Jeśli piękno jest cierpieniem, pozwól, że się w nim zatracę. Jeśli jesteś moim wybawieniem, pragnę na nie zasłużyć. Jeśli miłość to wszystko, co mogę ci ofiarować, przyjmij ją, proszę, ode mnie. To dla ciebie, wszystko dla ciebie. – Urwał, po raz

ostatni uderzył w klawisze i zakończył piosenkę.

Jego uśmiech rozświetlił pokój.

Stałam jak wryta.

Dla mnie. To dla mnie zaśpiewał tę piosenkę.

Kiedy spostrzegłam, że się do mnie zbliża, ukradkiem otarłam zabłąkaną w kąciku oka łzę. Czy on chce mnie zabić? Nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam znieść.

Ściągnął brwi, wysunął rękę i dotknął mojego mokrego policzka.

– To nic – szepnęłam. – Zasłużyłeś na nią.

– Chcę więcej piosenek! – krzyknęła Księżniczka.

Zupełnie zapomniałam, że wokół nas jest tyle osób. Czując, że się rumienię, wyszłam z westchnieniem na środek sali.

– Dobrze, dziś będziemy pracować dalej nad waszymi piosenkami. Wymyślcie refren, wykorzystując cztery inne nuty.

Przechodziłam od stolika do stolika, pomagając kolejnym pacjentom.

Gdy podeszłam do Księżniczki i Gabe’ a, dziewczyna spała. Zdziwiło mnie to, bo nie widziałam, żeby kiedykolwiek spała na zajęciach. Zaczynałam nawet podejrzewać, że w ogóle nie wie, co to zmęczenie. Chociaż ostatnio coraz częściej o tym wspominała.

– Wszystko z nią w porządku? – spytałam, z troską ściągając brwi.

Gabe podniósł na mnie wzrok i westchnął, a potem przygarbiwszy się, wyszeptał:

– Choroba postępuje.

Niewiele myśląc, przysunęłam krzesło i usiadłam obok niego. Ujęłam mocno jego dłoń.

– Jest silna – powiedziałam. – Wszystko będzie dobrze.

– Tak. – Z uśmiechem odwzajemnił uścisk. – Wszystko będzie dobrze.

Rozdział 41

*Widzieć, jak twój najlepszy
przyjaciel uśmiecha się, kiedy
patrzy w lustro? Bezcenne. Po.
Prostu. Bezcenne. – Wes M.*

Gabe

– Włóż ciemne dzinsy.

– O co ci chodzi? – warknąłem.

Wes podniósł ręce.

– Mówię tylko, że opinają ci tyłek, a jeśli dalej zamierzasz uganiać się za Saylor, lepiej, żeby widać było twoje atuty.

– Przypomnij mi, dlaczego tu jesteś.

– Najlepszy kumpel. – Wskazał na siebie. – A poza tym miałeś do wyboru mnie albo Lisę, a obaj wiemy, jak Lisa się zachowuje, kiedy ludzie idą na randkę.

– Fakt – mruknąłem.

Lisa i Kiersten spędzały ten wieczór razem. Kiersten chciała poznać odpowiedzi, a Lisa winna jej była prawdę. Ale to nie była moja historia. Nie z tych grzechów miałem się spowiadać, bynajmniej.

Wystarczyły mi własne demony, z którymi musiałem się zmierzyć, i za cholereę nie chciałem rozprawiać się z demonami Lisy.

Westchnąłem. Wyglądało na to, że powinniśmy urządzić sobie wieczór wyznań. Super! Trzymajcie mnie, bo zacznę tańczyć z radości.

Rankiem, zanim pojechałem do ośrodka, spotkałem się z ojcem. Postawił sprawę jasno.

Miałem pójść z nim do mediów.

W przeciwnym razie zdemaskuje zarówno mnie, jak i Lisę oraz Księżniczkę.

Powiedziałem mu, żeby szedł do diabła.

Gdybym przystał na jego warunki, straciłbym kontrolę nad sytuacją. Robiąc po swojemu, miałem możliwość wpłynięcia na to, jak moja historia zostanie odebrana. Problem polegał na tym, że Księżniczka niczego nie rozumiała i musiała mi zaufać. A Lisa? Cóż, bliscy od początku wiedzieli, gdzie jej szukać.

Bo, w przeciwieństwie do mnie, ona nie ukrywała się przed rodziną czy mediami.

Ukrywała się przed nim.

Przy wsparciu Wesa obdzwoiłem lokalne stacje informacyjne, proponując przedstawienie swojej historii. Niech powalczą o prawa do mojej opowieści. Ostateczną decyzję podejmę sam.

Na czym polegał haczyk? Nie chciałem udzielać wywiadów, jeszcze nie teraz, i nie chciałem mieszać w to Księżniczki. Miałem nadzieję, że w ten sposób

wytrączę ojcu oręż z dłoni – kiedy pokażę mu, że nie boję się rozmów z mediami, być może da mi spokój.

Wciąż nie oddzwonił.

A więc teraz bawiliśmy się w „kto pierwszy stchórzy”.

Tak czy siak, Wes miał rację – prawda wyjdzie na jaw. Myśląc o tykającej bombie, wiedziałem jednak, że tym razem to ja ustawiam zegar i podpinam kable. Nie byłem biernym obserwatorem, który czeka na wybuch. Zabawne, jak zmienia się perspektywa, gdy człowiek bierze się w garść w obliczu stresującej go sytuacji i przejmuje nad wszystkim panowanie.

Cudownie.

Zaczynałem gadać jak Wes.

Złote dziecko.

Zastrzelcie mnie.

– Stary, dzinsy nie wyglądają aż tak źle – zakpił Wes.
– Przestań dramatyzować. Cholerni aktorzy.

Udałem, że pociągam za spust i strzelam mu w głowę. Usunął się nieco, dotknął mojego czoła i poklepał mnie po policzku – zagranie w stylu *Ojca chrzestnego*.

– Od kiedy jesteś blondynem, wkurzanie cię jest jeszcze fajniejsze.

– Zabawne. – Włożyłem czarny podkoszulek i chwyciłem kluczyki.

– Gabe...

– Co?

Uznaliśmy, że dziwnie by było, gdyby zwracał się do mnie inaczej. Ulżyło mi, gdy powiedział, że nie chce

mówić do mnie „Ashton”, bo wiedziałem, że pojawienie się tego imienia na ustach całego cholernego wszechświata jest tylko kwestią czasu. I nie chodziło o ludzi, oni mnie kochali. Chodziło o dziennikarzy: im wystarczy rzucić kość, a będą żuli ją tak długo, aż prawie nic z niej nie zostanie, a gdy wyplują resztki, przemiela ją jeszcze raz.

– Dzięki, że mi ją powierzyłeś.

Nie mogłem się przemóc, żeby spojrzeć mu w oczy. Dlatego wbiłem wzrok w podłogę.

– Tylko jej nie przestrasz. Lubi grać w gry planszowe, ale musisz przesuwać za nią pionki. A powierzyłem ci ją tylko dlatego, że... to ty. Poza tym ona lubi facetów z jasnymi włosami i dołeczkami w policzkach.

Wes odchylił głowę i się roześmiał.

– Chciałeś powiedzieć, że ma dobry gust.

– Tak, stary. Najlepszy – odparłem ze śmiechem.

– Czyli widzimy się później w akademiku?

– Taa. – Podrapałem się w tył głowy. Dlaczego, do cholery, tak się denerwowałem? Czułem się jak rodzic, który pierwszy raz zostawia swoje dziecko samo. Czy tym właśnie stała się dla mnie Księżniczka? Wes był pierwszą osobą po Saylor, która ją pozna, a ja nie zobaczę nawet, jak na niego zareaguje. Ale jedynym sposobem, żeby spędzić ten wieczór w towarzystwie Saylor – i być tym, kogo oczekiwała – było znalezienie zaufanej osoby, która zaopiekowałaby się Księżniczką.

A Wes i jego dwaj ochroniarze mogli wywiązać się

z tego zadania jak nikt inny.

Dodając do tego ochroniarzy na stałe pilnujących ośrodka, mieliśmy sześciu kolesi, przed którymi nic się nie ukryje i którzy nie wpuszczą do wnętrza budynku żywej duszy.

– Idź. – Wes wskazał na drzwi. – Tylko żebyś zakończył tę randkę ze spodniami na tyłku!

– A nie wokół kostek?

– Czy gdziekolwiek indziej. – Wes przewrócił oczami.
– Muszę ci przypominać, ile razy nakryłem cię w kompromitujących okolicznościach?

– Aaa, o to ci chodzi. – Machnąłem ręką. – Było, minęło. Tamtej maski już nie ma.

– Że co?

– Kazałeś mi je połączyć. – Posłałem mu triumfalny uśmiech i pomachałem na do widzenia. – Oddzieliłem więc ziarno od plew. Wyłuskałem to, co lubiła we mnie Księżniczka, Saylor, ty i Lisa... A reszta? Zostawiłem to gówno za sobą. Zbędny balast.

– No, no, no. – Wes klasnął w dłonie. – Uczeń przerósł mistrza.

– Pa, Sensei. – Zza zamykanych drzwi usłyszałem jeszcze radosne parsknięcie. Zakładając czapkę, sam nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Towarzyszył mi nawet, gdy wędrowałem już korytarzem.

Dotychczas nikt nie zwracał na mnie specjalnej uwagi. Zresztą, kto by podejrzewał, że przez cztery lata mieszkał w sąsiedztwie dawno niewidzianej gwiazdy...

Niewiarygodne, ale kiedy człowiek prowadzi normalne życie, z dala od Kalifornii czy Nowego Jorku, nikt się nim nie interesuje. W Los Angeles trwa nieustanna obława na znane osoby, tropi się tam celebrytów, jakby byli chodzącym trofeum myśliwskim.

Ale wystarczy zamieszkać w Boise, Idaho, Seattle czy Waszyngtonie. Ludzie nie spodziewają się tu gwiazd, więc widzą w tobie jedynie zwykłego wytatuowanego gościa.

Jednak cztery lata to wcale nie tak długo, więc naciągnąłem czapkę głębiej na oczy. Nie chciałem, żeby cokolwiek zakłóciło wieczorne spotkanie z Saylor.

Nigdy dotąd nie zabiegałem o względy dziewczyny.

Z Księżniczką wszystko potoczyło się samo.

Co do reszty dziewczyn, z którymi sypiałem... Cóż, tylko w ten sposób mogłem przekonać samego siebie, że Ashton Hyde odszedł na dobre. On nigdy by się do tego nie posunął. W końcu Księżniczka była drugą dziewczyną, z którą poszedłem do łóżka, i wierzyłem święcie, że się z nią ożenię. Miała być tą jedyną.

Stworzenie się na nowo poprzez przemianę w potwora? Nie był to najlepszy z moich pomysłów, zwłaszcza że narażałem w ten sposób całe swoje ciało.

Cholera. Nawet nie potrafiłem popełnić samobójstwa.

Byłem na tyle nieświadomy, że nie wiedziałem, jak się do tego zabrać.

Nieumiejętnie podciąłem sobie żyły i się nie wykrwawiłem.

Pierwsze tatuaże zakryły ślady po ranach.

Kiedy drzwi windy zamknęły się za mną, instynktownie potarłem bliznę na prawym nadgarstku.

Pięć minut.

Mniej więcej siedemdziesiąt dwa kroki później... stanąłem pod drzwiami do pokoju Saylor.

To były zwykłe drzwi.

A za nimi?

Dziewczyna, która znajdowała się za nimi, nie była zwykłą dziewczyną.

W obawie, że zapomnę o oddychaniu i zemdleję, wciągnąłem do płuc powietrze, a zaraz potem dwukrotnie zapukałem.

Drzwi się otworzyły.

Saylor miała na sobie krótką czarną sukienkę i złote szpilki. Włosy upięła z tyłu głowy w niesforny kok, a usta pomalowała czerwoną pomadką.

Czerwony.

Czerwony.

Czerwony.

Z jakiegoś powodu to jedno słowo, tak uparcie powtarzane w mojej głowie, wzmocniło podniecenie, którego doświadczałem na myśl o tym, że te idealne, czerwone usta już niebawem połączą się z moimi.

Oczywiście pod warunkiem, że niczym we mnie nie rzuci – w końcu nasze relacje nie należały do najłatwiejszych.

– Wyglądasz... – oblizałem wargi i po raz kolejny

zmierzyłem ją wzrokiem od stóp do głów – naprawdę nieźle.

Rozciągnęła usta w uśmiechu.

Cholera.

Zakasłałem i odwróciłem głowę. Wypadało raczej powiedzieć, że wygląda wprost powalająco pięknie.

– Dziękuję.

Kiedy postąpiła do przodu, cofnąłem się i omal nie zderzyłem się z kimś, kto akurat szedł korytarzem. Dziewczynę zarzuciło na ścianę i zaraz potem wystawiła w moją stronę środkowy palec.

– Przepraszam – wychrypiałem.

Saylor uśmiechnęła się znacząco i zamknęła za sobą drzwi.

– A więc, dokąd idziemy?

– No proszę. – Chwyciłem ją za rękę. – Pani jest ciekawa.

– Pani jest zaintrygowana.

– Zaintrygowana? – Zatrzymałem się. – Nie podekscytowana?

Jej pokerowa twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Musnąłem palcem jej policzek, delikatnie przyciągnąłem ją do siebie i przesłałem jej w powietrzu pocałunek.

– A teraz? Jesteś podekscytowana?

– Robi się coraz cieplej – wyszeptała.

Przytknąłem usta do jej warg i odparłem:

– Chcę, żeby było ci gorąco, nie tylko ciepło. Nie

chcę, żebyś była zaintrygowana, chcę, żebyś była pod wrażeniem. Pragnę, żebyś była zauroczona, nie podeksytowana. A kiedy wieczór dobiegnie końca, chcę... – zamknąłem oczy, żeby znowu jej nie pocałować – żebyś na dobre zapomniała o tych wszystkich łzach.

– Dlaczego? – Nachyliła się w moją stronę.

– Chcę pozbyć się starych, złych wspomnień. I stworzyć zupełnie nowe. Tak potężne, że tamte nie będą miały z nimi żadnych szans.

– Na co więc czekamy?

Uśmiechając się, zrobiłem krok w tył i wziąłem ją za rękę.

– Słuszna uwaga – rzuciłem.

Rozdział 42

Zachowywał się jak zwyczajny chłopak, ale we mnie kłębiło się tak wiele pytań, a nie wiedziałam, skąd wziąć odpowiedzi. Czułam się rozdarta, bo z jednej strony marzyłam o zwyczajnej randce, a z drugiej miałam ochotę potrząsać nim tak długo, aż w końcu zacznie mówić. Nawet jeśli to, co powie, sprawi mi ból. Musiałam wiedzieć. – Saylor

Saylor

Pozwoliłam się pocałować.

Kogo zresztą próbowałam oszukać? Gdybym nie odwzajemniła jego pocałunku, popełniłabym zbrodnię przeciwko własnemu ciału. Podobał mi się. Nawet bardzo. I w tej sytuacji miałbym go nie pocałować z chowanej w sercu urazy i poczucia krzywdy? To takie dziewczynskie. Nienawidziłam tego rodzaju dziewczyn. Marudnych panienek, które udawały niedotykalskie do czasu, aż dopięły swego. Cóż, musiałam się liczyć

z tym, że pod koniec dnia będę potrzebowała kubekka lodów czekoladowych, żeby osłodzić sobie gorycz spotkania, ale przynajmniej pozostanie mi ten pocałunek.

Nie byłam pewna, kiedy spojrzałam na to w taki sposób.

Może kiedy wczoraj po południu zaśpiewał tamtą piosenkę.

A może kiedy moja mama opowiadała mi o zakończeniach i początkach.

Za koniec tej historii i jej początek byłam odpowiedzialna wyłącznie ja sama. Mogłam tu i teraz uciąć to, co powstało między mną a nim, i przez resztę życia pluć sobie w brodę. Mogłam też zdecydować się na desperacki krok i razem z nim skoczyć z klifu.

Wybrałam klif.

Już podczas skoku miałam pewność, że podjęłam odpowiednią decyzję.

Tak to działa. Człowiek nie wie, czy dokonał właściwego wyboru, do momentu, gdy już spada, i choć nadal odczuwa wewnętrzny niepokój, ma świadomość, że przynajmniej odważył się skoczyć.

Nikt mnie nie spychał. Byłam z siebie dumna, bo świadomie opowiedziałam się po jednej ze stron. I z całą pewnością jestem za to winna wdzięczność mamie.

Oto ja. Szłam z nim na randkę.

Wyobrażałam sobie, że siedzę przy pianinie i piszę

własną historię, historię, do której zagrania zachęcał mnie Gabe. A muzyka? Była naprawdę piękna.

– Jesteś jakaś zamyślona – zauważył, kiedy jechaliśmy już samochodem.

Robiłam, co mogłam, żeby na niego nie patrzeć. Wiedziałam, że to wciąż ten sam Gabe, ale mimo wszystko byłam zdenerwowana. Chłopak, który siedział obok mnie, był inny od tego, którego poznałam. Miał w sobie naturalną wrażliwość. Pozbył się masek. Zerwał je z twarzy i zniszczył.

– To niebezpieczne. Wiem.

– Bardzo mnie cieszy twoja zgoda. – Odchrząknął i wyjechał na autostradę. – I zamierzam zacząć już teraz.

– Zacząć? Co masz na myśli?

– W wieku pięciu lat miałem szczura. Tomka. Marzyłem o kolejce, ale rodzice kupili mi szczura. Ponieważ kolejka, którą chciałem, nazywała się Tomek, postanowiłem, że tak właśnie dam na imię zwierzęciu. – Wzruszył ramionami. – Zachorował na nowotwór, kiedy miałem sześć lat. Zabraliśmy go do weterynarza. Umarł na moich rękach.

– Gabe, ja...

– Thomasem numer dwa był chihuahua, pies, który musiał chyba narodzić się w piekielnych czeluściach i którego stamtąd wysłano na ziemię z misją zniszczenia każdego mebla i każdego buta w moim pokoju.

Zakryłam twarz rękami, żeby się nie roześmiać.

– On też zdechł?

– Oczywiście, że nie – odparł Gabe z irytacją w głosie. – To zwierzę jest jak kot, ma dziewięć żyć albo nawet więcej. Miał złamaną chyba każdą kość w swoim małym, opętanym ciałku i jest zupełnie ślepy na jedno oko. Utyka i śpi w moim dawnym pokoju. I nie ma zamiaru się stamtąd ruszać.

Dlaczego nagle naszła mnie ochota, żeby kupić mu ślicznego, dużego psa, golden retrievera albo collie?

– Po raz pierwszy pojawiłem się na wizji, występując w reklamach produktów do włosów. Mój ojciec zawsze chciał być aktorem, ale mu się nie udało, więc od najmłodszych lat pchał mnie do show-biznesu. Kiedy jako trzynastolatek pracowałem nad swoim pierwszym filmem, zamknął mnie w przyczepie kempingowej z jedną z aktorek, która zaoferowała mi swoje usługi w zamian za seks oralny.

– Uff.

– Miałem cholerne trzynaście lat – wycedził przez zaciśnięte zęby. – A ona była dwukrotnie ode mnie starsza. Znienawidziłem go za to. Powtarzał, że jeśli będę niewiniątkiem, nie przetrwam w branży rozrywkowej.

– Gabe...

– On wprowadził mnie w świat narkotyków. W wieku szesnastu lat miałem na koncie aż siedem filmów. Kiedy poznałem Księżniczkę, powoli się już wypalałem. Kończyłem pracę nad drugim albumem i zaczynałem serdecznie nienawidzić swojego życia. Na szczęście

miałem Mel – Lisę. Kochała się we mnie, kiedy byliśmy dziećmi. Mieszkaliśmy obok siebie i takie tam, ale nigdy jej nie pocałowałem. Wiedziałem, kogo kocham. Z wzajemnością.

Odchrząknął.

Krople deszczu dudniły o przednią szybę.

– Wierzyłem w prawdziwą miłość, nadal w nią wierzę. Zachody słońca wciąż zapierają mi dech w piersi. Pochłaniam pizzę, choć zawsze po niej kiepsko się czuję. Kocham taniec prawie tak bardzo jak muzykę. Gdyby cię to interesowało, potrafię zagrać na prawie każdym instrumencie. Właśnie na grze spędzałem czas, kiedy ojciec zamykał mnie w pokoju za to, że sprzeciwiałem się jego woli.

– A twoja mama? – spytałam, wyglądając przez szybę. Dokąd mnie zabierał? Minęliśmy tabliczkę z napisem Seattle.

– Uwielbia kasę. – Wzruszył ramionami. – Kocha wszystko, co ma związek z pieniędzmi. Pozwalała mu robić, co tylko chciał, bo dostawała w zamian szczęśliwego męża i kolejne domy.

Przejechał przez most pontonowy prowadzący do Bellevue.

– Miałem siostrę bliźniaczkę – szepnął. – Zmarła z powodu nagłej śmierci łóżeczkowej. Mama mówi, że byłem z nią w łóżeczku, kiedy to się stało. Kiedy mama przyszła zobaczyć, czy czegoś nam nie potrzeba, siostra nie żyła już najprawdopodobniej od trzech godzin.

Oddech uwiązał mi w gardle.

– Piła. – Gabe zaklął i walnął ręką w kierownicę. – Nienawidzę Oregon Ducks – wyrzucił z siebie.

– Aha...

– Poważnie. Nienawidzę. Ich. – Napiął mięśnie. – To jedyna przeklęta bluza, którą chce nosić Księżniczka.

Ujęłam w dłoń jego wolną rękę i ścisnęłam ją.

– Dlaczego tylko ją chce nosić?

– Bo – zamrugał kilka razy. Wzrok miał szklisty – kiedyś była moja. Miałem ją na sobie w dniu wypadku.

– Och.

– Tak samo jest z różowym szalikiem. Z jakiegoś powodu Księżniczka pamięta tylko, że nie wzięła swojego różowego szalika – ani słowem nie wspomina o kasku. Nie mam pojęcia, dlaczego fiksuje na punkcie pewnych rzeczy. Wiem tylko, że musi mieć różowy szalik przywiązany do wózka, inaczej wpada w histerię.

– A śpiewanie? Tak samo jest ze śpiewaniem?

W Bellevue Gabe skręcił na drugim zjeździe, który prowadził na zachód. Zaintrygowana wyglądałam przez szybę i próbowałam opanować szaleńcze bicie serca. Otworzył się przede mną i czekał, aż go zaakceptuję albo odrzucę.

Był odważny.

Odważniejszy niż ja.

– Dźwięk mojego głosu przenosi ją w jakieś bezpieczne miejsce. Głupie, co?

Odwróciłam się i spojrzałam na niego, skupiona na

pełnych ustach i wyraźnie zarysowanej szczęce.

– Nie. – Ścisnęłam go za rękę. – To wcale nie jest głupie. Gdybym była na jej miejscu, twój głos działałby na mnie wyjątkowo kojąco. Byłby jak cisza po burzy, spokój, którego tak nam potrzeba w codziennym gwarze życia. Jesteś jej spokojem.

Gabe pokiwał głową.

– To dopiero coś. Potrafię niszczyć, a zarazem przynoszę spokój.

– Nie ty jesteś winny zniszczenia, Gabe. Byłeś uczestnikiem nieszczęśliwego wypadku, a ta rola bywa gorsza od roli sprawcy.

Przytaknął, ale nic nie powiedział. Wjechał na krętą drogę i zatrzymał się przed uroczym domem.

– Gdzie jesteśmy?

Wyłączył silnik i spojrzął przed siebie.

– Seattle znajdowało się wystarczająco daleko, żeby to miejsce mogło być dobrą kryjówką, ale... – Płatki jego nosa rozszerzyły się. – Zobaczyła je na kanale HGTV, w programie o domach w Bellevue, i zakochała się w nim.

Spojrzałam na dom. Serce waliło mi jak młotem.

– Gabe...

– Kupiłem go. – Ścisnął w dłoni kluczyki. – Dla niej. Kupiłem go dla niej.

Nie chciałam znać odpowiedzi, ale czułam, że muszę o to zapytać.

– Czy ona... zdążyła go zobaczyć?

– Nie. – Jego głos pełen był bólu. – Nigdy go nie widziała. Zamierzałem ją tu przywieźć, kiedy wszystko będzie gotowe. To miała być niespodzianka.

Siedzieliśmy w ciszy. On patrzył na dom. Ja wpatrywałam się w niego.

– No i proszę. – Wskazał głową budynek. – Oto on. Mówi się o bagażu doświadczeń. Ja mam ich cały dom. Nie mam szafy pełnej trupów. Mam siedem pokoi pełnych trupów. Mogę wejść po schodach, otworzyć drzwi i pokazać ci całe wnętrze, ale wówczas nie będę miał już nic. To ostatnia tajemnica, której strzegłem. Nie mam więcej masek, fasad, żartów, osobowości. Nie mam niczego. Ten dom? To jedyne, co mi zostało.

Puściłam jego rękę i dotknęłam klamki.

– W takim razie, na co jeszcze czekasz?

Przechylił głowę i zmrużył oczy z niedowierzaniem.

– Słucham?

– Chyba nie jechaliśmy taki szmat drogi, żeby gapić się na zewnętrzne ściany. – Wyszłam na wysypaną żwirem ścieżkę. – Wchodzimy do środka.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytał. Każde jego słowo było podszyte powątpiewaniem. – To poważna sprawa, Saylor. Nie będę miał ci za złe, jeśli uciekniesz z powrotem do samochodu i stwierdzisz, że gra była niewarta świeczki.

– Wciąż spadam. – Wzruszyłam ramionami. – Jeszcze nie wylądowałam, cały czas lecę w dół. Towarzyszę ci, nie lecę za tobą. Nie sądzisz, że najwyższy czas, żebyś

pozwoił komuś dźwigać ten ciężar razem z tobą? – Uśmiechnęłam się do niego. – Poza tym, kto by chciał w pojedynkę wyskakiwać z samolotu? We dwójkę jest zawsze różniej.

– Pewnego dnia – szepnął – kiedy moje serce znowu będzie należeć do mnie, kiedy nie będę go dzielił z umierającą dziewczyną... Dam ci wszystko.

– Gabe – westchnęłam. – Na razie wystarczają mi kawałki. Nieważne, jak bardzo są połamane.

– Cholera, naprawdę tak myślisz?

– Tak. – Mówiąc to, wyciągnęłam do niego rękę.

Wziął ją bez wahania i razem weszliśmy po schodach do domu, który z każdą chwilą wydawał się coraz większy.

Z zewnątrz wyglądał jak piętrowe dzieło sztuki. Gabe przekręcił klucz i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Zapalił światła.

Na widok wnętrza wydałam z siebie stłumiony okrzyk zachwyty.

Dom nie był po prostu piękny, był nieziemsko zachwycający. Jak wnętrza, które widuje się w telewizji. Belki stropowe ciągnęły się od salonu do przestronnej, otwartej kuchni. Dominowały biel i drewno. Centralnym punktem pokoju był kominek z kamienia i miedzi, przed którym ustawiono miękką białą kanapę. Całości dopełniały czerwone dodatki – poduszki i koce. Weszłam głębiej i zobaczyłam kolejny pokój, tym razem ze sklepionym sufitem.

Na środku stał fortepian gabinetowy.

– Boisz się? – szepnął i stanąwszy za mną, otoczył mnie ramionami.

– Ha – westchnęłam. Poczułam ukłucie zazdrości na widok tej prywatnej sali ćwiczeń, radosnego pokoju, w którym mogłabym siedzieć godzinami, grając i słuchając trzasku płomieni.

Dopiero kiedy oderwałam wzrok od fortepianu, zauważyłam, co wisiało na ścianach. Czułam się, jakbym oglądała niemy film. Od lewej do prawej ciągnęły się rzędy czarno-białych zdjęć.

Powoli podeszłam do pierwszego z nich. Gabe i Kimmy całowali się objęci.

Dotknęłam jej twarzy – tej samej, z której codziennie ścierał strużki śliny – i zupełnie się rozkleiłam.

Nie mogłam powstrzymać łez. Płakałam i płakałam, aż moim ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Aż nic we mnie nie zostało.

A Gabe trzymał mnie w ramionach.

Najgorsze jest to, że kiedy ludzie opowiadają ci o swoim bólu, ten ból zwykle staje się twoim własnym.

Ja byłam zdruzgotana.

Rozdział 43

*Muzyka, w której brakuje pasji, jest
niczym więcej jak tylko hałasem.
Życie, w którym zabrakło pasji?
Cóż, równie dobrze moglibyśmy nie
żyć. – Gabe H.*

Gabe

– Ćśśś. – Wziąłem ją w ramiona, posadziłem na kanapie i rozpałiłem w kominku. Jak to dobrze, że zatrudniłem ekipę sprzątającą, która dbała o dom. Dzięki temu nie musieliśmy siedzieć pośród kurzu. – Wpędzisz mnie w poczucie winy. Przecież miałem dołożyć wszelkich starań, żebyś nie płakała.

Z głową na mojej piersi pociągnęła nosem i bąknęła:

– Przepraszam. Po prostu...

– Co?

– Zalazłeś tę jedyną. We właściwym czasie. Dziewczynę, którą kochałeś. Z którą chciałeś dzielić życie. Byłeś taki odważny, taki... czysty. Dałeś jej wszystko i... – Oddech uwiązł jej w gardle. – Patrząc na wasze zdjęcia... To straszne, Gabe. To nie w porządku.

– Wiem. – Zamknąłem oczy i przytuliłem ją jeszcze mocniej.

– To nie w porządku – powtórzyła – że ja tu jestem, a ona nie. To nie fair, że pokazujesz mi ten dom, a ona nie może upiec ci bożonarodzeniowych ciasteczek. Że nigdy nie przejdzie przez te drzwi i nie padnie ci w ramiona. To się nigdy nie stanie.

– Wiem – potwierdziłem. Łzy ścisnęły mnie za gardło.

– Czuję, że na to nie zasługuję – szepnęła. – Że nie zasługuję na to, żeby oglądać ten dom. Być z tobą. To wszystko należy się jej.

– Nie mów tak. – Głaskałem ją po ramieniu. – Dzielę się tym z tobą. Z tobą, Saylor. – Odsunąłem ją od siebie, tak bym mógł spojrzeć w jej niebieskie oczy. – Problem z życiem polega na tym, że nigdy nie układa się tak, jak byśmy sobie życzyli. Ale teraz, w tej chwili, kiedy trzymam cię w ramionach, niczego bym nie zmienił. Proszę, uwierz mi. Ten moment to prezent. Samą swoją obecnością łagodzis mój wewnętrzny ból.

Łza spłynęła jej po policzku.

– Numer cztery – wyszeptała Saylor.

– Słucham? – Patrzyłem na jej poruszające się usta.

– Łza numer cztery. Właśnie mi ją wynagrodziłeś.

– Bo doprowadziłem cię do płaczu? – Dotknąłem czołem jej czoła.

– Nie. – Położyła mi rękę z tyłu głowy. – Bo zrozumiałeś, dlaczego płaczę.

– Nie przeze mnie – odparłem drżącym głosem.
– Nie.
– Płaczesz nade mną.
– Tak. Łza za łzę – odpowiedziała cicho. – Czy nie to właśnie mówiłeś?

Nie ufałem własnemu głosowi, dlatego skinąłem tylko głową i zapatrzyłem się na płomienie.

Po kilku minutach ciszy spojrzałem na Saylor. Wciąż miała na sobie tę seksowną sukienkę i szpilki.

Byliśmy sami w uroczym domu, którego nie odwiedzałem od czterech lat.

I siedzieliśmy na kanapie.

Przybici.

– Randki ze mną to prawdziwa tragedia... – wypaliłem.

Wzdrygnęła się, podniosła głowę i posłała mi blady uśmiech.

– Cóż...

– Dość już łez. – Wstałem i poszedłem do kuchni. – Widziałaś dom. Znasz historię. Czas na coś cudownego.

– Czyżby? – Uniosła brwi i odprowadziła mnie wzrokiem.

Nie do końca orientowałem się, co jest gdzie, ale wiedziałem, że ludzie, którzy zajmowali się domem, zadbali o to, żeby spiżarnia była pełna jedzenia, a na blatach leżało kilka kart dań z restauracji serwujących jedzenie na wynos, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli.

– Następna osoba, która się rozpłacze, będzie biegała

nago wokół domu – oświadczyłem, podnosząc w górę menu.

Saylor przechyliła głowę.

– Aż mnie korci, żeby doprowadzić cię do łez. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Uśmiechnąłem się znacząco.

– Są lepsze sposoby, żeby zmusić mnie do zrzucenia ubrań.

Zarumieniła się i spojrzała na swoje dłonie.

– No proszę, mamy powrót różowego kucyka – droczyłem się z nią.

Skrzyżowała ramiona i zadarła głowę.

– Był fioletowy – rzuciła oburzona.

– Kucyk to kucyk... jest po to, żeby go ujeżdżać.

Jej twarz zapłonęła czerwienią.

– Mam cię. – Puściłem do niej oko.

– Jesteś zbyt pewny siebie. – Ściągnęła brwi.

– Czy fakt, że mój szczur aż do śmierci spał przy moim łóżku, zmieni twój stosunek do mnie?

– Nie.

– A to, że nienawidzę pajaków? – dorzuciłem. – I trochę się ich boję?

Zrobiła kilka kroków w moją stronę.

– Jak bardzo się ich boisz? Gdyby po podłodze przebiegł malutki pajaczek, co by się stało?

– Zacząłbym wrzeszczeć i wgniótłbym w ziemię jego włochaty zadek.

– Hmm. – Postukała palcem w brodę i postąpiła

jeszcze o kilka kroków. – A gdybym włożyła ci pająka do łóżka?

– Rozpłakałbym się – odparłem szczerze. – Autentycznie. A później, wrzeszcząc w niebogłosość, rozgniółbym jego włochoaty zadek.

Uśmiechnięta oparła się o blat. Emanujący z kominka blask zdawał się otulać jej ciało. Przełknąłem, chcąc przezwyciężyć suchość w gardle.

– A gdybym przebrała się za pająka?

Odpowiedziałem, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od jej oczu:

– Przyszpiliłbym cię do podłogi, zdarłbym z ciebie ten głupi kostium i próbowałbym nie rozgnieść twojego cudownego, doprowadzającego mnie do szaleństwa zadka.

Nie pamiętam, kto pierwszy znalazł się przy kim.

Ale nagle nasze ciała zderzyły się ze sobą, a usta przywarły do siebie gorączkowo. Kiedy posadziłem ją na blacie, natychmiast opłótła mnie nogami. Jęknęła, jej ciało zadrżało pod moim dotykiem. Ująłem w dłoń jej twarz, drugą ręką przytrzymując plecy. Chciałem całować ją tak długo, aż rozbolą mnie usta, wargi spuchną, a ciało odmówi posłuszeństwa. Jednym słowem chciałem całować ją bez końca.

Ten pocałunek był inny.

Wieczność pełna pocałunków. Nic nie mogło się równać z jej ustami, dotykiem, smakiem.

Kiedy uświadomiłem sobie, jak bardzo możemy

oddziaływać na innych ludzi wyłącznie poprzez dotyk, byłem wstrząśnięty.

Jednak Saylor mnie nie dotykała, ona otulała mnie swoim ciałem. Nie całowała mnie, lecz dzieliła się ze mną swoją duszą. Pokazywała mi to wszystko, czego nie można wyrazić słowami.

Jej język wił się w moich ustach, doprowadzając mnie do szaleństwa. Zatopiłem palce w jej włosach, chwyciłem je i próbowałem jeszcze bliżej przyciągnąć ją do siebie.

Ręce, którymi obejmowała moją szyję, naprężyły się. Poczucie zderzenia się naszych ciał i ocierania się o siebie doprowadzało mnie na skraj ekstazy.

Jej dotyk odciskał piętno na moim ciele.

Odchyliła się w tył. Wzrok miała szklisty.

Spojrzałem na nią.

A ona patrzyła na mnie.

Dziwne, jak ludzie potrafią porozumiewać się bez słów. Saylor powoli odsunęła mnie od siebie, zeskoczyła z blatu i powiodła mnie na kanapę.

Szedłem za nią. Nie miałem wyboru.

Już na kanapie wziąłem ją w ramiona i opadłem do tyłu, z Saylor siedzącą na mnie okrakiem.

Znowu zaczęliśmy się całować.

Tym razem wolniej. Nie spieszyłem się. Smakowałem ją, odkrywałem każdy zakamarek jej ust, aż poczułem, że jestem bliski szaleństwa. Reagowała na mój dotyk cichymi westchnieniami.

To wszystko działało na mnie zabójczo.

– Say... – Skubnąłem zębami jej wargę.

– Nie przestawaj – szepnęła. – Nowe wspomnienia, Gabe. W tym domu, tylko ty i ja.

Odepchnąłem od siebie ducha Kimmy i skupiłem się na terażniejszości. Skupiłem się na Saylor i tylko na niej. Wsunąłem dłonie pod jej ubranie i musnąłem palcami skórę na żebrach. Wydała z siebie stłumiony okrzyk. Oderwałem usta od jej ust i na chwilę spojrzeliśmy sobie w oczy. Zaraz jednak zanurzyła palce w moich włosach i z powrotem przyciągnęła mnie do siebie. Kolejny pocałunek. Tym razem bardziej zachłanny, głębszy. Kiedy jej wargi oderwały się od moich, poczułem na szyi gorący oddech, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Pochłaniała mnie. Każdy dotyk, każdy kolejny pocałunek odbierał mi kontrolę nad własnym ciałem i coraz głębiej przepełniał myślą, żeby uczynić ją moją.

Moje ręce napały na jej nagą skórę i powoli pięły się coraz wyżej. Spomiędzy moich warg dobył się cichy jęk. Moje ciało krzyczało. Stopniowo nasze pocałunki przestały być tak gwałtowne, bo każdy kolejny przypominał mi, że nie mogę dać Saylor wszystkiego, co mam – bo to, co miałem, nie należało wyłącznie do mnie.

Jak mogłem chcieć, by cokolwiek mi ofiarowała? Jak mogłem oddać jej siebie? Skoro część mojego serca wciąż pozostawała przy kimś innym.

Na tym polegał problem.

Nie angażowałem się uczuciowo w związki z dziewczynami czy przygody na jedną noc. Ale Saylor? Byłem prawie pewien, że gdybym miał serce na dłoni, dałbym je jej, a sam położyłbym się plackiem na ziemi i błagał ją, żeby je przyjęła, chociaż nie wygląda jak inne serca. Chociaż zostało uszkodzone.

Palce Saylor wbijały się w moje ciało, kiedy siedząc na mnie, poruszała się. Jasna ch-o-o-lera. To nie skończy się dobrze.

– Say...

Zamknęła mi usta kolejnym pocałunkiem.

– Saylor, nie możemy. Nie mogę z tobą spać.

Cofnęła się, a jej obrzmiałe wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– A kto tu mówi o spaniu?

– Fakt. – Czułem, że się rumienię. – Chodziło mi o to, że nie możemy się kochać.

Znowu się uśmiechnęła.

– Czy powiedziałam, że chcę się z tobą kochać?

– No... nie. – Niech to szlag.

– Więc? – Pochyliła się tak nisko, że jej piersi otarły się o mój tors.

Do diabła. Włącz klimatyzację. Miałeś świetny pomysł z tym kominkiem, Gabe. Co ja sobie myślałem?

– Pogubiłem się. – Oblizałem usta.

– Lubisz się obściskować z dziewczynami? – Pocałowała mnie. – Tylko się całować dla samego

całowania?

– Nie.

– A powinieneś. – Ustami pieściła moją szyję. Jęknąłem i przyciągnąłem ją do siebie. – Przystawka bywa lepsza od dania głównego.

Roześmiałem się.

– Poważnie? Udowodnij. – Założyłem ręce za głowę i mrugnąłem do niej.

– Zasada numer jeden. – Wodziła palcem po mojej twarzy. – Nigdy nie opuszczaj gardy.

– Dlaczego?

– Bo mogę skorzystać z twojej propozycji. – Uśmiechnęła się z wyższością, podciągnęła mi koszulkę i zaczęła mnie lizać.

Lizać.

Lizała mnie.

A mnie się to podobało.

Aż. Za. Bardzo.

– Say...

Nagle ugryzła mnie, dokładnie tam, gdzie przed chwilą mnie pieściła. Usłyszałem odgłos ssania i coś, co mogę opisać jedynie jako wirowanie, choć wiem, jak idiotycznie to brzmi. I kolejny pocałunek.

Robiłem, co mogłem, żeby trzymać swoje biodra na wodzy i żeby wszystko nie wyszło poza pocałunki.

Skubała zębami mój brzuch, w miejscu, gdzie skóra łączyła się z materiałem spodni, nie przestając poruszać językiem.

Wzrok miałem zamglony i nie mogłem się na niczym skupić, dlatego zamknąłem oczy.

Wsunęła ręce pode mnie, chwyciła mnie za pośladki i zaczęła je wolno masować.

Było to zmysłowe, relaksujące doznanie.

Zanim się obejrzałem, ogarnęła mnie senność. Nie dlatego, że nie byłem napalony, ale dlatego, że Saylor była dosłownie wszędzie. Czułem ją na całym ciele. Byłem jak tłusta krowa na chwilę przed tym, zanim zostanie złożona w ofierze. Nie miałem wątpliwości, że za moment eksploduję z rozkoszy.

Ale w tamtej chwili... rozkoszowałem się każdym jej dotykiem.

I poddałem się jej całkowicie.

Rozdział 44

*Zabawne – nie miałam pojęcia, jak
bardzo jest zestresowany, dopóki
nie zobaczyłam go
odpoczywającego. Twarz miał
odprężoną, rozluźnił szczękę. Był
uosobieniem męskiego piękna i był
tylko mój. Przynajmniej na razie.
Na razie był mój. – Saylor*

Saylor

Drań zasnął.

Zaśmiałam się i przytuliłam się do niego na kanapie. W brzuchu mi burczało, ale postanowiłam zamówić jedzenie dopiero po krótkiej drzemce. Kiedy położyłam głowę na jego piersi, otulił mnie ramionami.

Jego usta odnalazły moje.

Objęci, całowaliśmy się leniwie, skubiąc nawzajem swoje wargi.

Było pięknie.

Jeśli nasz pierwszy pocałunek był chaotyczną symfonią, pełną fałszywych nut... kolejne przywodziły

na myśl najprawdziwszą pieśń. Piękny, harmonijny utwór.

– Tęsknię za nią – szepnął, chowając twarz w moich włosach. – Bardzo za nią tęsknię. Jak to możliwe, że jestem taki szczęśliwy, będąc z tobą i trzymając cię w ramionach? Jak to możliwe, że tak bardzo cię pragnę, a mimo to nadal za nią tęsknię? – Nie otworzył oczu. Wręcz przeciwnie, zacisnął powieki i przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Bo – bawiłam się jego złocistymi włosami, które w blasku ognia przypominały aureolę – była twoją pierwszą miłością i za każdym razem, gdy widzisz jej twarz, przypominasz sobie, że chociaż jest tuż obok, to tak, jakby jej nie było.

Gabe westchnął.

– Czuję się, jakby coś rozdzierało mi serce na dwoje. Boję się, że pewnego dnia obudzisz się i uznasz, że cały ten dramat nie jest tego wart. Że ja nie jestem tego wart. Powiedz mi, Saylor, że jutro nic się nie zmieni.

– Ależ zmieni się. – Westchnęłam i zatknęłam mu włosy za ucho. – Bo w szafie nie ma już trupów. Wkrótce ludziom spadną z oczu łuski i będziesz musiał dokonać wyboru.

Zadrżał.

– Nigdy nie wybrałbym jej zamiast ciebie.

– Ale, Gabe... – czułam, że łzy napływają mi do oczu – ty już wybrałeś. Nawet jeśli nie zrobiłeś tego z rozmysłem, podjąłeś już decyzję.

Otworzył oczy. Wiedziałam, że chce zaprzeczyć, bo spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, jakby chciał, żebym cofnęła to, co powiedziałam. Ale tak to już jest z prawdą. Kiedy wypowie się ją na głos...

Nie da się jej cofnąć.

Pocałował mnie w czoło.

– Mógłbym cię pokochać.

– Ciągle to powtarzasz. – Uśmiechnęłam się ze smutkiem. – Jeśli chcesz wiedzieć: ja też mogłabym cię pokochać.

Nie jedliśmy.

Przez resztę wieczoru całowaliśmy się, zasypialiśmy i budziliśmy się tylko po to, żeby znów się całować. Kompletnie zatraciłam poczucie czasu. Dom był jak z bajki. Wyobraziłam sobie, że gdybyśmy zostali tam na zawsze, trwalibyśmy w szczęściu, bezustannie się całując, ale nie na tym polega życie.

Gdzieś we wszechświecie najwyraźniej usłyszano moje myśli, bo komórka Gabe'a zaczęła wibrować.

Klnąc pod nosem, wyciągnął ją z kieszeni.

– Hej, Wes, przepraszam, ale... przysnąłem.

Zamknął oczy i westchnął przeciągle.

– Który kanał?

Ogarnęło mnie przerażenie, gdy Gabe powoli dźwignął się z kanapy, podszedł do ogromnego telewizora i sięgnął po pilota.

Pokój wypełnił się kolorami.

Na widok pokazywanego w telewizji zdjęcia zaparko

mi dech w piersi. Fotografia przedstawiała Kimmy sprzed wypadku, tak pełną życia i piękną, że samo oglądanie jej sprawiało ból. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Ashtona Hyde'a.

A zaraz potem ukazało się zdjęcie rodziny Gabe'a, opatrzone komentarzem: „Zrozpaczony ojciec w końcu odnajduje dawno utraconego syna”.

– W końcu wrócił do domu! – oświadczył ojciec Gabe'a. – Po naszych usilnych staraniach wrócił syn marnotrawny i pozwolił nam znowu stać się częścią swojego życia. Jest nam przykro, że zadał sobie tak wiele trudu, żeby odsunąć od siebie nas, swoich przyjaciół i fanów. Ale chcę, żebyś wiedział, Ashtonie Hydzie – mówiąc to, spojrzął przed siebie – że od dziś nic już nie będzie takie samo. Nie pozwolimy ci już odejść.

Gabe osunął się na kolana.

Podbiegłam do niego, objęłam go i tuląc, kołysałam w przód i w tył.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęłam, choć wiedziałam, że to nieprawda. A przecież kłamstwa działają tylko wtedy, gdy osoba, którą chcemy okłamać, nie zna prawdy. My oboje ją znaleźliśmy.

Nic. Już nie będzie. Takie samo.

Rozdział 45

*Życie przechodziło mi koło nosa.
Żyłem, ale we śnie. Nie budziłem
się od długiego czasu. Zabawne,
myślałem, że to księżę ma obudzić
Śpiącą Królową. Do głowy by mi
nie przyszło, że nie jestem smokiem
ani księciem. I że to ja będę
potrzebować pomocy po tym, jak
mój świat rozpadł się na kawałki.
Najgorsze w przebudzeniu jest to,
że człowiek przypomina sobie,
jakim koszmarem jest jego życie,
i zaczyna rozumieć, dlaczego
zasnął. – Gabe H.*

Gabe

Nigdy specjalnie nie przejmowałem się światłami. Błyskały mi w twarz, przyprawiały mnie o drżenie, ale były złem koniecznym. Ludzi fascynowały zdjęcia, bo dzięki nim mogli fantazjować, jak by to było znaleźć się u mego boku i zobaczyć na własne oczy moją twarz.

Przysiągłem, że zniszczę wszystkie swoje zdjęcia. A kiedy to nie pomogło, zniszczyłem swój

wyidealizowany wizerunek. Nie miałem innego wyjścia.

Teraz zaczynałem tego żałować.

Ponieważ Ashton Hyde, któremu chcieli robić zdjęcia, dawno już przestał istnieć.

Ale po raz pierwszy od czterech lat czułem się z tym pogodzony. Pogodziłem się z tym, kim byłem.

Jechałem do domu opieki, trzymając Saylor za rękę. Po obejrzeniu porannych wiadomości wiedziałem, że media oszaleją. Musiałem mieć pewność, że Księżniczka jest chroniona przed dziennikarzami.

Wes, jak to Wes, powiedział, że nad wszystkim panuje, domyślałem się więc, że zadzwonił do ojca i zaangażował w całą sprawę amerykańską armię albo jakąś równie znaczącą organizację. Nigdy nie robił nic na pół gwizdka. Do diabła, wcale bym się nie zdziwił, gdyby przed ośrodkiem pojawili się ludzie z brygady antyterrorystycznej.

Saylor mówiła niewiele, ale i tak trzymałem ją za rękę. Nie wiedziałem, czy robiłem to, bo sam potrzebowałem pocieszenia, czy po to, żeby dodać jej otuchy. Uśmiechała się, ale wiedziałem, że to maska, którą założyła dla mnie.

Czułem się z tym fatalnie. Ileż to razy sam robiłem to samo? Udawałem, że się uśmiecham, żeby sprawić komuś radość. Koszmarne uczucie.

– Jesteśmy na miejscu. – Wjechałem na parking.

Oboje mieliśmy na sobie ubrania z poprzedniego dnia. Wes zadzwonił przecież o piątej rano, a ja

chciałem znaleźć się w ośrodku natychmiast po jego telefonie.

– Tak. – Saylor rozejrzała się dookoła.

Nad zatoką wschodziło już słońce. Przed domem opieki kręciło się na razie ledwie dwóch czy trzech reporterów. Nie miałem wątpliwości, że później będą ich setki.

– Chciałbym zostać w samochodzie – przyznałem. – Chciałbym zawrócić, pojechać z powrotem do domu i zamknąć się w nim z tobą.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Sztuczny uśmiech zniknął, zastąpiony prawdziwym, szczerym, dodatkowo podkreślającym idealną różowość jej ust.

– W takim razie wyobraźmy sobie wszystko.

– Dobrze. – Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli.

– Spotkaliśmy się w college’u – zaczęła, oblizując wargi. – Wpadliśmy na siebie na korytarzu i z miejsca się znienawidziliśmy.

– Bo byłaś złośliwa. – Uśmiechnąłem się znacząco.

Zachichotała.

– Tylko dlatego, że ty byłeś pewny siebie i bawiłeś się moim kosztem.

– To prawda. – Słońce zawisło nad górami. – I nie mogłem przestać o tobie myśleć.

– Tak więc kilka dni później, kiedy znowu się spotkaliśmy, sytuacja była dość dziwna, bo z jednej strony nie cierpieliśmy się, a z drugiej byliśmy sobą zaintrygowani – ciągnęła.

– Zawróciłaś mi w głowie.

– Czyżby? – Uniosła brwi.

– Tak. – Kiwnąłem. – Zawróciłaś mi w głowie...

Pragnąłem cię i potrzebowałem. Źle się do tego zabrałem, zresztą jak większość facetów, bo myślałem, że jeśli wzbudzę w tobie nienawiść, zostawisz mnie w spokoju, żebym mógł dalej uzalać się nad sobą.

– Ach ci głupi chłopcy, to nigdy nie działa – szepnęła Saylor. Oczy miała szkliste od łez.

– Nigdy. – Pokręciłem głową i ścisnąłem ją za rękę. –

Bo zapominamy, że czasem trudno odróżnić miłość od nienawiści. – Głos miałem schrypnięty. – No i zakochałem się.

– Ja też.

– Byliśmy na... dziesięciu randkach?

– Nieźle! – roześmiała się.

Mógłbym słuchać tego śmiechu całą wieczność. Był głęboki i wydawał się szczery.

– Ktoś tu jest optymistą – dodała.

– Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni.

– Razem tworzymy muzykę. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Godzinami.

– I całujemy się. – Westchnąłem. – Godzinami...

A z początkowej nienawiści zrodziła się wielka miłość. Do tego stopnia, że nie wyobrażamy sobie życia bez siebie.

– Tak więc zostaliśmy razem. – Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy patrzyła na słońce, które, wznosząc się

coraz wyżej, rozświetlało wnętrze samochodu. – Na zawsze.

– W naszym domu. – Utkwiłem wzrok w wodach zatoki i z całej siły ścisnąłem ją za rękę.

– I żyliśmy... – wyszeptała – długo i szczęśliwie.

– Tak – zgodziłem się z nią. – Długo i szczęśliwie.

– To byłaby piękna historia. – Pociągnęła nosem. Po jej policzkach potoczyły się łzy.

– Z zachwycającym zakończeniem. – Ująłem w dłonie jej twarz.

– Szkoda, że to tylko bajka. – Zagryzła wargę. Nawet nie próbowała powstrzymać łez, które spływały jej do ust.

– Tak. – Poczułem w sercu bolesne ukłucie. Wydawało mi się, że zaraz umrę.

– Gabe. – Saylor pocałowała mnie w usta. – Musisz wiedzieć, że nadal chcę być częścią tej opowieści, nawet jeśli oznacza to, że odejdę z pustymi rękami. Nawet jeśli gdzieś po drodze utracę własne serce. Ty dokonałeś wyboru. Ja również.

– Nawet jeśli odejdiesz z niczym? – spytałem.

– To, że dziewczyna i chłopak nie są w końcu razem, nie znaczy, że ona odchodzi z niczym. Życie to prezent. Chcę być częścią twojego życia, nieważne jak małą.

– Boże... – Miałem zamiar zakłąć, ale zamknęła mi usta pocałunkiem.

– Bóg – postukała palcem w moją brodę – już na samym początku zdecydował, jakie będzie zakończenie.

– Machnęła ręką. – Napiszmy naszą historię w ten sam sposób.

Pokiwałem głową i chwyciłem za klamkę. Co jeszcze mogłem powiedzieć, żeby poprawić sytuację?

Wiedziała, równie dobrze jak ja, że gdy tylko wyjdziemy z samochodu, Gabe stanie się zaledwie mglistym wspomnieniem. Życie studenckie? Przyjazdy do domu opieki i pomaganie innym?

Wszystko się zmieni.

A największa zmiana będzie związana z tym, że ludzie w końcu dowiedzą się o Kimmy. Dowiedzą się, że żyje i że byliśmy zaręczeni.

Na tym zdjęciu nie będzie miejsca dla Saylor.

Czułem się rozdarty. Bo choć moje serce należało do innej, w głębi duszy pragnąłem, by należało do niej.

To, co łączyło mnie z Saylor, żyło i oddychało. A mój związek z Kimmy? To była próba wskrzeszenia czegoś, co już od dawna pozostawało martwe.

Kochałem ją, ale nie byłem w niej zakochany. Serce nie pozwalało mi jednak odejść. Myśl o tym była zbyt bolesna. Bez względu na to, ku czemu się skłaniałem, towarzyszył mi ból.

– Ashton! – Jedna z dziennikarek rzuciła się w moją stronę. Saylor trzymała mnie za rękę, kiedy niespiesznie szedłem w stronę budynku. – Powiedz nam, Ashtonie, czy to prawda? Rzeczywiście ukrywałeś się w Seattle? Chodziłeś do szkoły i podawałeś się za studenta? A twoja narzeczona? Mówiło się, że zginęła w wypadku.

Co naprawdę wydarzyło się wiele lat temu?

Westchnąłem, czując na barkach ciężar całego świata.

– Odpowiem na wszystkie pani pytania. – Mówiąc to, skinąłem uprzejmie głową. – Ale teraz muszę zobaczyć, jak czuje się moja narzeczona. Jest chora i spotkanie z nią jest w tej chwili ważniejsze od udzielania wywiadów. Proszę, bądźcie tak mili i jeszcze przez chwilę uszanujcie moją prywatność.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Kto to? – spytała, wskazując Saylor.

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć... Właściwie sam nie wiedziałem co. Moja dziewczyna? Zabrzmiałoby to strasznie, zwłaszcza że kilkadziesiąt metrów dalej, w ośrodku, leżała moja narzeczona.

– Jego najlepsza przyjaciółka. – Saylor uśmiechnęła się ciepło.

– Podobno Wes Michels jest twoim najlepszym przyjacielem – rzuciła tamta z przekąsem.

– A co to, zabawy w piaskownicy? – wtrącił kolejny reporter. – Człowiek nie może mieć kilkorga serdecznych przyjaciół?

– Mike. – Odetchnąłem z ulgą. Znałem go od początku kariery. – Swego czasu pracował dla „Hollywood Today”, potem jednak przeszedł na emeryturę. – Myślałem...

– Mieszkam tu od lat, Ashtonie. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co słychać u mojego ulubionego dzieciaka.

Inni dziennikarze zamilkli, przysłuchując się naszej rozmowie.

– Z tobą. – Poklepałem go po ramieniu. Uczucie ulgi przytłumiło adrenalinę, która buzowała mi w żyłach. – Z tobą porozmawiam.

– Dobrze. – Zmrużył oczy. – Kimmy nie miałyby nic przeciwko temu.

– Tak. – Zagryzłem wargi, żeby się nie rozkleić.

– No dalej, synu, wejdź do środka. – Mike skinął głową. – Ja się nimi zajmę. – Wcisnął mi w dłoń wizytówkę. – Pogadamy, kiedy będziesz gotowy. I to na twoich warunkach. Nie pozwól, żeby zrobili z ciebie kogoś, kim nie jesteś.

Chwyciłem się tej wizytówki jak ostatniej deski ratunku i spojrzałem na zapisane na kartoniku nazwisko Mike'a i jego numer telefonu. Chwilę później schowałem wizytówkę do kieszeni.

Saylor szła obok mnie w milczeniu. Ośrodek wyglądał tak samo, jednak twarze ludzi wydawały się zmienione.

– Tak mi przykro – westchnęła Marta. – Nawet gdybym roztrzaskała telewizory i ukradła im komputery, i tak by się dowiedzieli.

– Cóż – tym razem to ja westchnąłem – wszystko kiedyś się kończy, prawda?

– Prawda. – Marta przeniosła spojrzenie na stojącą obok Saylor i uśmiechnęła się. – Miło znów cię widzieć, młoda damo.

– Gabe! – Wes maszerował korytarzem, jakby szykował się na wojnę. – Pytała o ciebie. Nie wiem, czy Marta ci mówiła, ale ta infekcja... Jest z nią coraz gorzej.

Bez słowa poszliśmy za Martą i Wesem. Księżniczka leżała na łóżku z maską tlenową, która zakrywała jej nos i usta.

Saylor wstrzymała oddech.

– To ułatwia jej oddychanie – wytłumaczył Wes. – Ale kaszel je utrudnia. Przysięgam, że w nocy nie zmrużyłem oka. Za każdym razem, gdy zaczynała kasłać, miałem wrażenie, że... – Urwał i rozłożył ręce.

– ...umiera – westchnąłem.

– Tak. – Wes potarł twarz rękami. – Jej ciało nie reaguje. Zupełnie jakby była...

– Księżniczko? – Puściłem rękę Saylor i podszedłem do łóżka.

Otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, a gdy wypowiedziała moje imię, maska zaparowała.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze. – Ja również się uśmiechnąłem i usiadłem na skraju łóżka.

Pokiwała głową.

– Lepiej się czujesz?

Nic. Żadnego ruchu głowy. Po prostu nic. Nagle światło w jej oczach przygasło i złapał ją atak kaszlu. Przytrzymałem maskę, starając się przynieść jej ulgę. Kiedy się uspokoiła, oddech miała świszczący, jakby się krztusiła.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Wes i Saylor wyszli z pokoju.

W oczach Marty czaił się smutek.

– Myślę... – Dotknęła dłonią piersi. – Gabe, myślę, że czas skontaktować się z hospicjum.

– Co? – Wstałem. – Uważasz, że jest aż tak źle?

– Jej stan się pogarsza – odparła z westchnieniem. –

Widziałam zdrowych ludzi, których wykańczała taka infekcja, a przecież ona jest osłabiona. Myślę, że powinniśmy do nich zadzwonić. Zresztą sam zdecydujesz. Hospicjum nie oznacza najgorszego. Ludzie bez przerwy stamtąd wychodzą.

Więc dlaczego czułem się tak, jakbym skazywał ją na śmierć?

– Muszę to przemyśleć – odparłem szczerze.

– Tak przypuszczałam. – Uśmiechnęła się. – Daj mi znać, kiedy podejmiesz decyzję.

Wyszła, zostawiając nas samych.

Księżniczka wydawała się taka krucha. Zabawne, ale nawet w myślach nie mówiłem o niej „Kimmy”. Była Księżniczką. Kimmy – dziewczyna, którą znałem – odeszła. Ale zostawiła mi podarunek w postaci Księżniczki.

Księżniczki, która była darem niebios.

Wziąłem ją za rękę i pocałowałem.

– Jesteś piękna, wiesz?

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Dla mnie – szepnąłem, muskając ustami jej dłoń –

zawsze będziesz najpiękniejszą istotą na świecie.

Po jej policzku potoczyła się samotna łza.

– Naprawdę jesteś księżniczką. Jak te z baśni, które ci czytałem. Chciałbym cię o coś zapytać, moja mała Księżniczko. Czy pozwolisz, żeby książe cię uratował? Żeby zawiózł cię na białym rumaku do swojego zamku? Chcesz, żebym walczył o ciebie, gdy ty sama się poddasz? Pozwolisz, że będę cię kochał, nawet kiedy będziesz chora i załamana? Pozwolisz, że dotrzymam przysięgi, którą złożyłem lata temu?

Zamknęła oczy.

– Gabe – zawołał z korytarza Wes. – Przyjechali kolejni dziennikarze. Wiem, że za dużo tego wszystkiego jak na jeden dzień, ale im szybciej przerwiesz milczenie, tym lepiej. Zaufaj mi.

– W porządku. – Przełknąłem dławiące mnie łzy i sięgnąłem do kieszeni. – Zrobisz coś dla mnie?

– Co tylko chcesz. – Wes wszedł do pokoju.

Wręczyłem mu wizytówkę.

– Zadzwoń do niego i umów mnie na wywiad. Możemy przeprowadzić go tu, w ośrodku. Po prostu... muszę mieć to za sobą.

– Jasne. – Wyjął wizytówkę z mojej dłoni.

– Gdzie jest Saylor?

Wes spojrział na mnie ze smutkiem.

– Chciała dać wam trochę prywatności. Wyszła po tym, jak Marta powiedziała, że kawa jest najlepszym sposobem, żeby zacząć nowy dzień. Ale wróci.

– Tego właśnie się boję – przyznałem, patrząc mu prosto w oczy.

– Pozwól jej – powiedział stanowczo. – Pozwól, żeby była dla ciebie tym, kim chce. Dobrze wie, w co się pakuje, a mimo wszystko dalej w tym trwa. To coś znaczy.

– Nie mam nic, co mógłbym jej podarować. – Słyszając rozpacz we własnym głosie, zacisnąłem pięści.

– Kto powiedział, że masz jej cokolwiek dawać? – odparł Wes i wyszedł z pokoju.

Rozdział 46

*Człowiek wie, że kogoś kocha,
kiedy sama myśl o tym, że osoba ta
może kochać kogoś innego, nie tyle
dobija go, co przenika do
najgłębszych zakamarków jego
duszy. Jak jednak mogłam być zła,
że Gabe kochał tę dziewczynę?
Skoro jego miłość do niej była
jednym z powodów, dla których
sama go pokochałam... – Saylor*

Saylor

Kawa była gorzka.

I wcale mi nie pomogła.

Usiadłam na zimnym, metalowym krześle i bębniłam paznokciami w kubek. Po godzinie w końcu ktoś wszedł do pokoju dla gości.

– Znalazłam cię. – Lisa mrugnęła do mnie i klapnęła na krzesło obok. – Umartwiamy się czy tak tylko... sobie dumamy?

Uśmiechnęłam się.

– I to, i to.

– On cię kocha. – Nie patrzyła na mnie. – Znam go całe swoje życie i wiem, że cię kocha. Bardzo. – Nakryła dłonią moją rękę. – Teraz musisz się nim dzielić, ale zważywszy na okoliczności, nie wyobrażam sobie lepszej osoby, z którą mogłabyś to robić. Taka jest prawda. Kimmy... Ona by cię pokochała.

Kiedy tak słuchałam Lisy, łązy same cisnęły mi się do oczu.

– Jaka ona była? – spytałam.

– Utalentowana. – Lisa odsunęła rękę. – Głośna. – Roześmiała się, wstała i nalała sobie kawy. – Podziwiałam ją. Zabawne, nawet gdy byli już razem, nigdy mnie nie odepchnęli, chociaż byłam dwa lata młodsza i cholernie naiwna.

– Pierwszoroczniczka? – Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca. – Przecież dopiero zaczęłaś szkołę.

Nachmurzyła się.

– Tak, cóż, nie od razu poszłam do szkoły. To ja wpadłam na pomysł, jak Ashton mógłby uciec od tego wszystkiego, ale nie od razu za nim pojechałam. Ja... na jakiś czas zostałam w Los Angeles.

– I rzuciłaś pracę modelki? – spytałam. – Co się stało?

– Myślę – odparła, wracając na krzesło – że dość już na dziś smutnych opowieści. – Uśmiechnęła się. – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że on cię potrzebuje.

– Dziękuję.

W pokoju zapadła cisza.

– Słyszałam, jak rozmawiali o hospicjum – bąknęła Lisa. – Mam nadzieję, że to nie oznacza tego, co myślę.

– A jednak. – Odezwał się kolejny głos. Do pokoju weszła Kiersten. Wyglądała równie kiepsko, jak ja się czułam. Usiadła przy stoliku. – Właśnie rozmawiałam z Wesem. Jej stan się pogarsza. Ja... po prostu nie wiem. Żałuję, że nie możemy nic zrobić. – Spojrzała mi w oczy. – Kiedy Wes chorował, przynajmniej wiedział, że z nim jesteśmy. Mógł z nami płakać i rozmawiać. –

Głos jej drżał. – Ale Kimmy? Księżniczka? Cierpi i sama nie wie dlaczego. Widzi tylko, że Gabe jest smutny, ale nie rozumie, z jakiego powodu. Wiecie co? Szkoda, że nie możemy jej uszczęśliwić.

Wysłuchiwałam się w jej słowa, a mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Co moglibyśmy zrobić? Jak moglibyśmy jej pomóc? Jeśli w ogóle mogliśmy jej jakoś pomóc.

– Myślę... – wychrypiałam. Odchrząknęłam i zaczęłam jeszcze raz. – Chyba mam pomysł.

Kiersten i Lisa podniosły głowy.

– Ale będę potrzebowała waszej pomocy. No i będziemy potrzebowały Wesa.

Kiersten się uśmiechnęła.

– Zawsze potrzebujemy Wesa. Jest jak superbohater.

Musiałam się z nią zgodzić. Koles w poprzednim życiu był Batmanem albo kimś podobnym.

– Dobra. – Pochyliłam się do przodu. – Zrobimy

tak...

* * *

Po naradzie postanowiłyśmy, że najpierw zjemy lunch w bufecie, a potem poszukamy Gabe'a.

Zastałyśmy go w pokoju rekreacyjnym, z mężczyzną, z którym spotkał się wcześniej, Mikiem. Był z nimi Wes. Wszyscy trzej wydawali się spięci.

W pokoju instalowała się ekipa telewizyjna, a jeden z jej członków przyczepiał Gabe'owi mikrofon.

– Piętnaście minut – powiedział powoli Gabe. – Tyle wytrzymam. Potem się rozkleję. Moja siła... Więcej nie zniosę.

– W porządku. – Mike odchrząknął. – Po prostu mów, Ashtonie, i upewnij się, że opowiadasz tę historię po swojemu.

– Kontaktował się z ojcem? – szepnęła mi do ucha Lisa.

– Nie – westchnęłam. – Przynajmniej nic o tym nie wiem. Po dzisiejszym poranku mam pewność, że ojciec jest ostatnią osobą, z którą Gabe chciałby się zobaczyć.

– Wcale mu się nie dziwię – prychnęła Lisa. – Sama chętnie bym go rozjechała, więc może lepiej, że siedzi w ukryciu.

– Gotowy? – spytał Mike.

Kiedy Gabe zerknął na mnie, jego twarz wyraźnie się odprężyła.

Obliziałam usta i powiedziałam bezgłośnie:

– Widzę cię.

– Ja ciebie też – odparł w ten sam sposób i rozluźnił ramiona.

– A więc, Ashtonie Hydzie – zaczął Mike. – Minęło trochę czasu. Może na początek opowiesz nam, gdzie się podziewałeś?

– Myślę, że najważniejsze – zaczął Gabe, kiwając głową i pochylając się do przodu – jest nie to, dokąd pojechałem, ale dlaczego to zrobiłem. – Spuścił wzrok, ale zaraz spojrzał prosto w kamerę. – Chłopak zdobywa sławę, spotyka dziewczynę. Jego świat wywraca się do góry nogami, chłopak dokonuje złego wyboru, dziewczyna ulega wypadkowi. Serce chłopaka zostaje złamane, ale nie przestaje bić. Roztrzaskane pracuje dalej, choć każde uderzenie boli jak diabli – westchnął. –

Zniknąłem, bo nagle moje życie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyła się tylko ona. To, żeby zapewnić jej najlepszą opiekę i żeby ją ukryć przed ciekawskimi oczami mediów.

– A jej rodzice?

Gabe spochmurniał.

– Z chwilą, gdy stała się tym, kim jest, jej rodzice się wycofali. Nie mogli tego znieść. Nie potrafili sobie z tym poradzić i opiekę nad nią powierzyli mnie. Mam pełnomocnictwo. Jesteśmy sobie pisani. Właściwie jest tak, jakbyśmy byli małżeństwem.

Mike pokiwał głową.

– Nie macie jednak ślubu?

– Nie. – Gabe zwilżył usta językiem. – Ale opiekowałem się nią, i nadal się nią opiekuję, jakby była moją żoną, jednocześnie cały czas udając kogoś, kim nie jestem.

– To znaczy?

– Uciekając, stworzyłem dla siebie nową tożsamość. Myślałem, że dzięki temu będzie mi łatwiej. Kiedy przyjechałem do ośrodka, byłem Ashtonem. Do college'u poszedłem jako Gabe, zupełnie inna wersja samego siebie. Myślałem... Wydawało mi się, że jeśli oddzielę ich od siebie, będę mniej cierpieć.

– I rzeczywiście tak było? – Mike nachylił się w jego stronę. – Naprawdę mniej cierpiełeś?

– Nie. – Gabe odetchnął. – Było jeszcze gorzej, bo Gabe również zakochał się w dziewczynie. – Spojrzał na mnie. – Ale jego serce to także serce Ashtona, a serce Ashtona znajduje się w stanie zawieszenia, czeka, aż jego księżniczka obudzi się albo zaśnie.

W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Lisa złapała mnie za rękę, a Kiersten otoczyła ramieniem. Miałam wrażenie, że Gabe zapadł się głębiej w fotel. Był emocjonalnie wykończony.

– Porozmawiajmy o twoim ojcu – zaczął Mike. – O co chodzi z twoim powrotem do domu? Jak wygląda prawda?

– Mój ojciec chce odzyskać maszynkę do robienia pieniędzy... – Gabe wzruszył ramionami. – Gdyby

dawno temu ofiarował mi miłość, akceptację i zrozumienie, nigdy nie znalazłbym się w obecnej sytuacji. Błagałem go, żeby dał mi spokój. Zamiast tego zaczął zagrażać dobru ludzi, którzy są mi najbliżsi. Dlatego postanowiłem udzielić tego wywiadu. Mój ojciec może sobie mówić, co mu się żywnie podoba, ale chcę, żeby moi fani, rodzina i przyjaciele znali prawdę. Nie odszedłem, dlatego że ich nienawidziłem, i nie kłamałem z własnej woli, dla kaprysu. Zrobiłem to, bo w tamtym czasie nie miałem wyboru. Każda decyzja była podjęta z myślą o niej.

– Prawdziwa miłość. – Mike pokiwał głową i się uśmiechnął. – Brzmi jak prawdziwa miłość.

– Tak.

– Ashtonie, czy jest coś jeszcze, co chciałbyś powiedzieć swoim fanom?

– Dziękuję – wyszeptał – za zrozumienie.

– Dobra, to wszystko. – Mike machnął ręką do ekipy. Ktoś odpiął Gabe’owi mikrofon.

Kiedy ludzie z telewizji zbierali swój sprzęt, Wes podszedł do Gabe’a, uściskał go, a potem podał mu telefon.

Gabe wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha. Twarz miał ściągniętą. Wyglądał, jakby szykował się do ataku.

– Chciałeś, żebym pokazał się w mediach? Proszę cię bardzo. Proponuję, żebyś dziś wieczorem, około osiemnastej, obejrzał program Mike’a – wycodził przez

zaciśnięte zęby. – I wiedz, że zrobiłem to tylko dla ciebie, ty chory sukinsynu. – Przeciął ręką powietrze i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. – Zamknij się i posłuchaj, bo nie będę powtarzał. To koniec. Więcej nas nie skrzywdzisz. Albo znikniesz na zawsze z mojego życia, albo znajdę cię i... zabiję.

Słuchał, ale nie potrafiłam odgadnąć, co mówił jego ojciec, bo twarz Gabe'a nie zdradzała żadnych emocji. Nagle się uśmiechnął.

– Skończyłeś? – Odczekał chwilę i pokiwał głową. – To dobrze. Bo to ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedziałeś, ty łasy na pieniądze, cholerny skurwielu. – Rozłączył się. Wyglądał, jakby miał ochotę cisnąć telefonem, ale Wes w porę wyrwał mu go z ręki.

Zapadła cisza, którą przerwał chichot Wesa.

– Jeśli są takie chwile, kiedy człowiek musi się napić, to z pewnością jest to jedna z nich.

– Spoko, spoko. – Uśmiech Gabe'a nie sięgnął jego oczu, ale gdy na mnie spojrział, zobaczyłam, że wyraźnie mu ulżyło.

Miałam tylko nadzieję, że ucieszy się z niespodzianki, którą obmyśliłam, i nie będzie zły, że przekroczyłam pewne granice.

– Whiskey. – Wes machnął ręką w kierunku drzwi. – Czas na whiskey.

Rozdział 47

Gdyby Bóg chciał, żebyśmy nosili ze sobą swój bagaż, zaopatrzyłby nas w kieszenie, takie jak mają kangury. Albo wyposażyłby nas w ogromne ramiona, na których unieślibyśmy całe nasze brzemię. Skoro jednak nie musimy uginać się pod ciężarem świata, dlaczego wciąż to robimy? – Wes M.

Gabe

Napiłem się pierwszy raz, odkąd Wes mi przywalił. Nie piłem jednak dużo w obawie, że moje ciało – nie mówiąc już o umyśle – nie poradzi sobie z traumą tego dnia.

Byliśmy już w drodze do akademików, kiedy poprosiłem Wesa, żeby zawiózł mnie potem do domu.

Saylor zaproponowała, że zostanie ze mną.

Odmówiłem.

Nie dlatego, że nie potrzebowałem towarzystwa. Wiedziałem, że jestem w rozsypce. Byłem trochę wstawiony, rozwalony emocjonalnie, a ona wyglądała

tak ślicznie, że jak nic zrobiłbym z siebie kretyna i albo próbowałbym ją uwieść, żeby poprawić sobie nastrój, albo skończyłbym, szlochając na jej ramieniu. A może wydarzyłyby się jedno i drugie.

W tamtej chwili przypominało to loterię.

Nadal byłem wkurzony. Byłem wściekły, ale tak to już jest z uczuciami. Nie powinny cię zmuszać, żebyś dokonywał wyborów, które wieczorem wydają się rozsądne, a wraz z nadejściem dnia rujnują ci życie.

Tak więc poszedłem do łóżka. Sam.

Kilka razy walnąłem poduszkę, zamknąłem oczy i pozwoliłem, żeby alkohol ukoił zszarpane nerwy. Sen. Sen wszystko uleczy. Westchnąwszy, pograżyłem się w głębokim śnie.

Poszedłbym za nią wszędzie.

Zabawne, prawda? Ludzie utrzymują, że wiedzą, czym jest miłość, a jednak kiedy mają szansę to udowodnić, wycofują się i tchórzą.

Szkoda, że nie mogłem się wycofać. Szkoda, że nie mogłem odejść cztery lata temu. Może dzięki temu miałbym siłę, żeby odejść teraz. Spojrzeć jej w oczy i powiedzieć: „Przepraszam, ale kolejny raz tego nie zrobię”.

Ludzie rzadko myślą to, co mówią. Dla mnie „przepraszam” to tylko kolejne słowo, którego nadużywają – podobnie jak „kocham”.

„Kocham lody”, „kocham naleśniki”, „kocham kolor niebieski” – gówno prawda. Bo kiedy ja mówiłem

„kocham”, to znaczyło, że wykrwawiałem się dla ciebie. Kiedy wypowiadam słowo „miłość”, powołuję je do życia. Uskrzydlałam swoją duszę – łączę się z twoją.

Odkąd pamiętam, słyszałem o rozdrożach, o tym, jak ludzie dostają w życiu szanse i dokonują wyborów, które przesądzają o ich przyszłości. Do głowy by mi nie przyszło, że dostanę drugą szansę, a jeśli już, to że jej nie wykorzystam.

Jej oczy patrzyły na mnie błagalnie. Serce waliło mi jak młotem. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć – cokolwiek, byleby tylko zrozumiała głębię tego, co czuję, ale wiedziałem, że z chwilą, gdy opowiem jej o swoich uczuciach, wszystko się skończy.

Moje serce, moja dusza – nie przeżyłbym, gdyby coś jej się stało. Gdyby nie była częścią mojego świata, moje serce przestałoby bić. Wiedziałem, że to ją zabija, bo mnie również to dobijało.

Ale powrót do tamtego życia.

Nawet dla niej.

Był wykluczony.

Zakochiwanie się i wyskakiwanie, ze świadomością, że mnie złapie. To było niemożliwe. Ponieważ wszyscy wiedzą, że gdy w grę wchodzi miłość, nie spadanie boli najbardziej... ale lądowanie. A ja wiedziałem, że prędzej czy później machnie na mnie ręką i pozwoli mi się potłuc.

Bo tak naprawdę tym właśnie byłem – potłuczoną skorupką. Wydmuszką człowieka.

– Nie rozumiem! – Okładała pięściami moją klatkę

piersiową. – Obiecałeś! Obiecałeś, że nigdy mnie nie zostawisz! – Łzy spływały jej po twarzy, twarzy, którą kiedyś tak bardzo kochałem.

Zamknąłem oczy i obejrzałem się na Saylor, która ścisnęła w dłoni kluczyki, czekając na moją decyzję.

Tak, byłem na rozdrożu. Jedna droga prowadziła do mojej przyszłości, druga do przeszłości i całkowitej samozagłady.

Nie mogłem na nią patrzeć. Wyciągnąłem rękę, ignorując własne uczucia i rozkoszując się bólem serca, które rozpadało się na milion małych kawałków.

– Masz rację – przyznałem. – Obiecałem.

– Gabe! – krzyknęła stojąca z tyłu Saylor. – Nie musi tak być.

– Nie rozumiesz – odparłem ze spokojem, nie odwracając się za siebie. – Zawsze tak było i zawsze będzie. Ostrzegałem cię.

– Ale...

– Dość tego! – ryknąłem, w obawie, że lada chwila sam się rozpłaczę. – Powiedziałem, dość. Powinnaś już iść.

Gdzieś z tyłu trzasnęły drzwi.

– To nic! – zapewniła, ujmując w dłonie moją twarz. – W końcu wszystko się ułoży!

– Będzie dobrze, Księżniczko. – Słowa więzły mi w gardle. – Będzie dobrze. – Opatuliłem jej szyję różowym szalikiem i otoczyłem ją ramieniem.

– Dzięki – powiedziała radośnie. – Obiecowałeś, że się

mną zaopiekujesz. Nie możesz odejść, nie możesz tak po prostu...

– Nie odejdę – przyrzekłem, bo przecież to ja ponosiłem odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Tak jak za całą resztę.

– Możemy teraz w coś pograć, Gabe?

– Tak, skarbie, możemy. – Poprawiłem koc, którym okryte były jej nogi, i wyjechałem wózkiem z pokoju, z pełną świadomością, że z każdym kolejnym krokiem podążam coraz dalej niewłaściwą ścieżką.

Obudziłem się zlany zimnym potem. To nie działa się naprawdę. Tylko dlaczego ten sen wydawał się taki prawdziwy? Uwierzyłem, że to wszystko rzeczywiście się wydarzyło.

Ogarnięty falą mdłości ledwie zdążyłem dotrzeć do łazienki, gdzie zwróciłem obiad i cztery szklaneczki whiskey, które wlał we mnie Wes.

Przyglądając się, jak woda zabiera ze sobą resztki świetnego pomysłu mojego najlepszego przyjaciela, otarłem twarz ręcznikiem i osunąłem się na chłodne kafelki.

Tęskniłem za Saylor.

I za Księżniczką.

Nie chciałem, żeby Saylor odeszła, bo wybrałem Księżniczkę. Czy byłem aż takim egoistą? Chciałem zatrzymać je obie? Czy w ogóle na nie zasługiwałem? Wiedziałem, że nie, ale ta świadomość wcale nie sprawiała, że pragnąłem jej mniej. Nadal łaknąłem jej

pocałunków i dotyku.

– Niech to szlag. – Jeszcze raz wytarłem twarz, zdjąłem wilgotne ubrania i wszedłem pod prysznic. Spałem zaledwie sześć godzin, ale to i tak nieźle.

Dzisiaj musiałem zdecydować, czy zadzwonić do hospicjum, a wciąż nie miałem pojęcia, co robić.

Z łazienki po zimnych, łupkowych płytkach poszedłem wprost do kuchni.

Słońce zaczynało swoją wędrówkę ponad dachami miasta.

Był piękny wschód słońca – żałowałem, że nie ma ze mną Saylor. Żałowałem, że nie mogę należeć wyłącznie do niej.

Już miałem włączyć ekspres do kawy, gdy usłyszałem dzwonek. Zaintrygowany podszedłem do drzwi, spodziewając się najścia jakiegoś reporterzyny, który odkrył mój sekretny dom.

Otworzyłem drzwi.

Nie był to reporter.

Przede mną stała uśmiechnięta Saylor. Była z nią Księżniczka, przykryta kocami, z maską tlenową na twarzy.

Za Księżniczką, nieco z boku, stała atrakcyjna kobieta i promiennie się uśmiechała.

– Co wy tu robicie? – spytałem, kiedy w końcu odzyskałem głos.

– Przywiozłam Księżniczkę do domu. – Saylor się uśmiechnęła.

– Dom! – krzyknęła Księżniczka i się rozkaślała. –
Ashtonie, to mój dom. Ze zdjęcia! – Znowu zaczęła
kasać, oddech miała świszczący.

Przyklęknąłem, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Podoba ci się? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo to zamek – szepnęła.

– Idealny dla księżniczki – dokończyła Saylor.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem dobrać
głosu. Bez słowa otworzyłem szerzej drzwi
i pomogłem wtoczyć wózek do pokoju.

– Lekarz nie miał nic przeciwko? – spytałem.

– Cóż... – Saylor przygryzła wargę. – Powiedzmy, że
Wes, ze swoją siłą przebicia, miał w tym wszystkim
pewien udział, ale i tak nie chcieli jej wypuścić bez
twojego podpisu na dokumentach.

– Więc? – Splotłem ramiona. – Jak to załatwiliście?

– Autografem zajęła się Marta. – Saylor rozciągnęła
usta w uśmiechu. – Trzeba przyznać, że całkiem nieźle
jej to wychodzi. A, zapowiedziała, że jeśli ją zwolnisz,
nie da ci spokoju.

– To niemożliwe. – Otarłem twarz rękami. – Jest
najlepszą siostrą przełożoną, na jaką mogliśmy trafić.
W życiu jej nie zwolnię.

– To dobrze. – Saylor uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteście.

Dało się słyszeć wymowne chrząknięcie. Zerknąłem w prawo. Kobieta, sądząc po stroju pielęgniarka, spłótła ręce na piersi i przyglądała się nam z zainteresowaniem.

– Och, prawie zapomniałam! To siostra, która będzie opiekowała się Księżniczką i pozostanie przy niej, nawet jeśli zdecydujesz się skorzystać z pomocy hospicjum.

Pielęgniarka przechyliła głowę i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Jestem Tara.

Saylor podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

– Gabe, poznaj moją mamę.

W oszołomieniu dopiero po chwili sam wyciągnąłem rękę.

– Bardzo mi miło.

Skinęła głową i uściśnęła moją dłoń.

– Dokąd mam zabrać Księżniczkę?

– Ach... – westchnąłem i rozejrzałem się po domu, nie wiedząc, dokąd je pokierować. – Pokoje gościnne są tam. Chodźmy.

Dopiero w połowie korytarza uświadomiłem sobie, że Księżniczka nie powiedziała do mnie Parker. Ashton. Nazwała mnie Ashton.

Czy serce może być jednocześnie pełne lęku i radosnego podniecenia?

Zatrzymałem się.

– Gabe? – Saylor się odwróciła. – Idziesz?

– Tak – wychrypiałem. – Przepraszam.

Rozdział 48

Patrzeć, jak ktoś, kogo kochamy... umiera? Żadne słowa nie oddadzą bólu, który temu towarzyszy. To jak obudzić się z koszmaru i odkryć, że to wcale nie był sen, patrzeć na dogasające promienie słońca, przyglądać się bezradnie, jak śmierć wysysa życie ze wszystkiego, co kochamy. Równie dobrze można próbować powstrzymać fale przed wdzieraniem się na ląd albo zatrzymać wschód słońca. Koniec końców fale i tak zaleją piasek, słońce zajdzie, a śmierć nadejdzie. Jedyne, na co mamy wpływ, to jak sobie z tym poradzimy. – Wes M.

Saylor

Dwa dni później siedziałam obok Gabe'a, który czytał coś Księżniczce. Musiał jednak zadzwonić do hospicjum, bo jej stan wciąż się pogarszał. Pielęgniarki przychodziły teraz kilka razy na dzień, ale ponieważ mama była przy niej praktycznie przez cały czas, żadna

z nich nie zostawała dłużej. Zwykle hospicja nie pochwalały tego typu praktyk, ale koniec końców chodziło przecież o dobro pacjenta. Poza tym Gabe był sławny, więc nikt się nie sprzeciwiał. No i moja mama nie była zwyczajną pielęgniarką. Była niesamowita, najlepsza w swoim fachu.

Eryk dzwonił co najmniej trzydzieści razy dziennie – pomieszkiwał u swojego najlepszego przyjaciela i sypianie poza domem w tygodniu uważał za najfajniejszą rzecz na świecie.

Tymczasem ja byłam zestresowana.

Nie z powodu sytuacji.

Ale dlatego, że nie mogłam się na niczym skupić, nawet na muzyce. Zupełnie jakby pasja, która kiedyś we mnie była, którą obudził we mnie Gabe, wyschła niczym studnia. Nie miałam nic do zaoferowania. Dosłownie.

Tego wieczoru weszłam do obwieszonego zdjęciami pokoju i usiadłam przy pianinie.

Wystukałam kilka dźwięków. To wszystko, na co było mnie stać. Nic nie czułam.

– Czasami – usłyszałam za plecami głos Gabe’a – nie pasja napędza muzykę, ale rozpacz.

– Czuję się zrozpaczona – jęknęłam. – I odrobinę zagubiona.

– Hmm. – Położył mi ręce na ramionach. – Zagraj to.

– Nie potrafię nawet znaleźć początku, a co dopiero końca, Gabe.

– Więc? – Jego dłonie naparły na moje ramiona. –

Gdzieś tam musi być środek. Znajdź go.

Uderzyłam w klawisze.

– Dobrze – zachęcał mnie.

Kolejny raz dobyłam dźwięki z instrumentu.

– Lepiej.

Uniosłam dłonie, by po raz trzeci uderzyć w klawisze, a wówczas palce z gracją opadły na klawiaturę i zaczęłam grać utwór, którego nigdy dotąd nie ćwiczyłam.

Palce tańczyły na kości słoniowej.

Było mi gorąco, krople potu wystąpiły mi na czoło i bałam się, że lada chwila zaczną spływać po twarzy.

Kiedy skończyłam, oddech miałam ciężki i świszczący, jakbym biegła przez kilka godzin.

– To było piękne. – Gabe usiadł przy mnie i spojrzał mi w oczy. – Dziękuję za to, co zrobiłaś i co nadal robisz.

Odwróciłam wzrok.

– Czuję się bezsilna – przyznałam.

– Jak my wszyscy. – Westchnął. – Czasami jedyne, co możemy zrobić, to usiąść i gapić się w ścianę... i czekać na to, co nieuniknione.

– Głupia ściana – mruknęłam.

– Tęsknię za tobą. – Uśmiechnął się.

– Jestem tu.

– Wiesz, o czym mówię.

Wiedziałam. Nie unikałam go, ale dawałam mu swobodę. Pozwalałam, by przeżywał swój smutek i by

spędzał z nią jak najwięcej czasu.

– Potrzebuję cię – szepnął. – Nawet kiedy jestem z nią, moje myśli są przy tobie. Wciąż nie rozporządzam całym swoim sercem, ale wiem jedno. Te jego kawałki, które należą do mnie, zostały skradzione w chwili, kiedy cię pocałowałem. Kiedy nasze usta się spotkały. Więc nawet przez sekundę nie myśl, że cię nie potrzebuję. Że cię nie pragnę. Bo to nieprawda. Potrzebuję. Cię. – Jego usta dotknęły moich, z początku delikatnie, a zaraz potem bardziej zachłannie, gdy zanurzył palce w moich włosach i delikatnie je pociągnął. – Jesteś taka piękna.

– Chyba cię kocham – wypaliłam. – Przepraszam. – Przytuliłam się do jego piersi. – Przepraszam, że cię kocham. Przepraszam. – Zadrżałam. – Nic na to nie poradzę.

– To romantyczne. – Zachichotał z twarzą w moich włosach.

Pacnęłam go, czując, że oczy mam wilgotne od łez.

– Próbuję przeprosić.

– Za to, że mnie kochasz? – spytał, całując mnie w policzek. Jego oczy błędziły po moim ciele, aż w końcu zatrzymały się na twarzy. – Dlaczego przepraszasz za to, że przekazałaś mi jeden ze swoich najcenniejszych darów?

– Bo... – Wargi mi drżały. – Bo przez to jest ci jeszcze trudniej.

– Czy to nie ja powinienem o tym decydować? – Przechyliłem głowę. – I tak wiesz, Saylor, że jesteś

moja. To, co do mnie czujesz... Dodaje mi sił. Kiedy zamykam oczy, widzę twoją twarz. Nie mów, że jest ci przykro... bo mnie nie jest...

Westchnęłam i przytuliłam go.

Delikatnie odsunął mnie od siebie i położył ręce na klawiaturze.

– Rozdarty – zaśpiewał. – Kochany przez jedną, a potem przez drugą. Przeciągany niczym lina to w jedną, to w drugą stronę. Nawet gdybym tobą oddychał każdego dnia, wciąż byłoby mi mało. Moje serce zostało zniewolone dawno temu, lecz ty je wykradłaś i pomogłaś mi rozwinąć skrzydła. Teraz stoję przed ważnym wyborem, zastanawiając się, jak to możliwe, że do tej pory widziałem tylko jedno rozwiązanie.

Jego palce przemykały po klawiaturze, a mięśnie na przedramionach napięły się, gdy nie przestając śpiewać, pochylił się do przodu.

– Nie boję się śmierci, lecz tego, że mógłbym podążać przez życie bez ciebie. – Powtórzył refren i zamknął oczy.

Jego zapamiętały śpiew mnie zahipnotyzował.

– Muszę pozwolić jej odejść, choć to dla mnie wyjątkowo trudne, ale żegnaj się z nią i witaj z nią. Powiedz, że na drugą szansę nie jest jeszcze za późno. –

Uśmiechnął się znacząco i śpiewał dalej. – *Trzecia, czwarta, dziesiąta randka.* – Jego ręce zwolniły. –

Miłość do ciebie przychodzi sama, tak naturalnie, bo kiedy patrzę w twoje oczy, wiem, że widzisz mnie takiego,

jakim jestem naprawdę, więc, kochana moja, bądź moim deszczem, chmurą i bólem. Nie boję się śmierci, lecz tego, że mógłbym podążyć przez życie bez ciebie. – Przestał grać.

W pokoju zapadła cisza.

– To było piękne.

Odwrócił się.

– To twoja piosenka.

– Moja?

– Piosenka Saylor. – Uśmiechnął się. – Wiem, że to nie arcydzieło, ale przynajmniej jest twoja własna.

– Nie. – Nakryłam dłonią jego rękę. – Jest nasza.

Jego uśmiech rozjaśnił mroki świata, kiedy pochylił się i pocałował mnie w usta.

– Została jeszcze jedna – szepnęłam, muskając ustami jego wargi.

– Jedna? – Odsunął się.

– Łza. – Westchnęłam głęboko. – Została ci do zrekompensowania już tylko jedna łza.

– Myślałem, że wystarczą te wszystkie pocałunki – droczył się ze mną.

Ze śmiechem wpiłam się ustami w jego usta, a on przytulił mnie do siebie, a potem podniósł, przyparł do ściany i zaczął całować z taką siłą, że wydałam z siebie żalostny jęk. Jego język splótł się z moim, wycofał się, lecz chwilę później powrócił. Nie ma co, facet wiedział, jak całować. Naprawdę. Wiedział. Jak. Całować.

Nogi miałam jak z waty, kiedy objął mnie w pasie,

jakby bał się, że zaraz upadnę.

– Gabe? Saylor? – Z korytarza dobiegł głos mamy.

Westchnęłam poirytowana, on jednak odsunął się ode mnie i ostatni raz pocałował mnie w usta.

– Tu jesteśmy! – krzyknął.

Mama weszła do pokoju, spojrzała na mnie i lekko się zachwiała. Kiedy odzyskała równowagę, odchrząknęła.

– Maski tlenowa ułatwia jej oddychanie w dzień, a respirator w nocy, ale... Gabe, mam złe przeczucia. Jest przeraźliwie blada, a jej twarz... – Westchnęła. – Ona odchodzi. Czuję to. Ona umiera.

– Umiera? – wychrypiał Gabe.

– Gabe. – Mama chwyciła go za rękę. – Kimmy umiera, ale musisz pozwolić jej odejść. Rozumiesz? Ludzie, nawet w takim stanie, w jakim jest Kimmy, próbują walczyć. Kurczowo trzymają się życia i jest to straszny widok. Jedyne, co możesz zrobić, to pozwolić jej odejść w spokoju. Pokaż jej, że nie musi być silna.

Gabe zachwiał się.

– Żegnam się z nią od lat.

– Może tym razem... – w głosie mamy słychać było mądrość i doświadczenie – powinieneś pożegnać się z nią na dobre.

Rozdział 49

*Zupełnie jakbym od nowa
przeżywał tamten wypadek. Czulem
się całkiem słaby, aż do momentu
gdy Saylor wzięła mnie za rękę.
Przejąłem od niej całą siłę. Po raz
pierwszy świadomość, że kogoś
potrzebuję, nie budziła we mnie
poczucia winy. Była moim
zbawieniem. – Gabe H.*

Gabe

Kiedy szliśmy do pokoju, Saylor trzymała mnie za rękę. Dochodziła północ i pokój pogrążony był w ciemności.

Jedynym dźwiękiem był szum maszyny, która ułatwiała Księżniczce oddychanie, i świst, który dobywał się z jej płuc.

Respirator podłączono za pomocą rurki tracheotomijnej, żeby Księżniczka wciąż mogła mówić, ale ona zamilkła dwa dni temu.

Leżała, wpatrzona w sufit, jakby czekała, aż ktoś zawoła ją do domu.

– Księżniczko? – szepnąłem, klękając przy jej łóżku.

Wziąłem ją za rękę. – Kimmy, kochanie?

Poruszyła głową na tyle, bym zdołał zobaczyć białka jej oczu.

– Jestem zmęczona, Ashtonie.

– Wiem, skarbie – wychrypiałem. – Wiem.

– Kaszel – westchnęła. W płucach jej rzeziło. – Nienawidzę go.

– Wiem. – To wszystko, co potrafiłem powiedzieć. Ścisnąłem jej rękę, choć miałem świadomość, że nie mogła tego poczuć.

Jej ciało było tak pokiereszowane, że nie mogła poczuć tego wszystkiego, co robiłem, by utrzymać ją przy życiu. A teraz jej dusza wyrывała się za nim wprost do nieba.

– Kocham cię, skarbie. – Głos miałem chrapliwy, łzy spływały mi po policzkach. – Ale czasem dobrze jest dać za wygraną.

– Jestem taka zmęczona – powtórzyła.

– W takim razie zdrzemnij się. – Gardło miałem ściśnięte. – Nie miałabyś ochoty na długą, przyjemną drzemkę? – Głos odmówił mi posłuszeństwa, kiedy Saylor stanęła za moimi plecami i położyła mi ręce na ramionach.

– Tak... – odparła powoli Księżniczka. – Ashtonie, zaśpiewasz mi do snu... – Łzy napłynęły jej do oczu. – Ostatni raz?

– Tak – wychrypiałem. – Zaśpiewam ci.

– Jeszcze jedno, Ashtonie. – Głos miała tak słaby, że

na jego dźwięk wszystko wywróciło mi się w żołądku.

– Tak, kochanie?

– Dziękuję, że byłeś moim najlepszym przyjacielem.

– Mówiła niezwykle cicho, tak że trudno było rozróżnić poszczególne słowa.

Pokiwałem tylko głową. Nie mogłem niczego z siebie wydusić. Cokolwiek przychodziło mi do głowy, było bez sensu. Zresztą i tak zabrzmiałoby to jak żałosne szlochanie.

Nie puszczając jej ręki, pochyliłem się i zacząłem śpiewać, podczas gdy Tara powoli odłączała aparaturę.

– *Kocham moją Księżniczkę, moją ulubienicę. Kiedy słyszę jej śmiech, mam ochotę przenosić góry, bo jest moją małą, małą dziewczynką.* – Mój głos łamał się i drżał, kiedy przypominałem sobie wspólnie spędzone chwile. Nasz pierwszy film, jej śmiech, radość odmalowaną na twarzy, to, jak mnie całowała, miłość, którą mi ofiarowała. Podarunek jej życia, na który nie zasługiwałem. Nie przestawałem śpiewać. – *Moją dziewczynką, moją dziewczynką, zawsze będzie moją małą dziewczynką. A kiedy z jej oczu płyną łzy, przysięgam, że już nigdy nie będzie płakać, nie będzie sama, beze mnie, bez nas. Moja dziewczynka, ona i ja będziemy rządzić całą wieczność. Moja dziewczynka. Już zawsze będzie moją małą dziewczynką.*

Księżniczka uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Jej pierś przestała się poruszać.

Wiedziałem, że odeszła, ale miałem wewnętrzne

przekonanie, że Bóg otwierał dla niej właśnie swe ramiona, otwierał je dla kolejnej księżniczki. Wszystko stało się tak szybko i pięknie, że gdybym nie patrzył na jej twarz, nie domyśliłbym się, że nie żyje.

Wyobraziłem sobie Kimmy biegnącą po niebie i uśmiechnąłem się ze smutkiem. Odeszła. Ale w końcu była sobą.

Rozdział 50

Gdybym tylko mogła uwolnić go od bólu... Gdyby dało się przenieść ten ból z jego duszy do mojej.

Zgodziłabym się. Zgodziłabym się bez wahania. Może po tym człowiek poznaje, że kogoś kocha. Kiedy każda łza wydaje się jego własną.

Kiedy czuje każde skaleczenie, każdego siniaka i każdy cios, jakby to on cierpiał. Współczułam mu. A on za to współczuł jej. Zabawne, jak życie zatacza krąg. – Saylor

Saylor

– Odeszła. – Głos mamy był delikatny, ale siła, z jaką rozdarł ciszę, upodabniała go do krzyku. – Zadzwonię do hospicjum.

Gabe powoli puścił dłoń Kimmy i wstał.

– Muszę skontaktować się z jej rodziną, wydać oświadczenie, zająć się pogrzebem... – Zachwiał się i omal nie upadł na podłogę.

Złapałam go za rękę i zaprowadziłam do pokoju,

w którym stało pianino.

Zamknęłam drzwi.

Na klucz.

Posadziłam go na ławeczce.

– Zostaniemy tu – ścisnęłam go za rękę – tak długo, jak będzie to konieczne.

– Co? – Oczy miał szkliste od łez.

– Tak długo, aż smutek i ból zamienią się w akceptację. Zostanę tu. Z tobą. Przy tobie. Nie odejdę.

– Obiecujesz?

– Tak. – Ułożyłam jego dłonie na klawiaturze. – Obiecuję.

– Nie mogę. – Wydawało się, że te palce są bez życia.

Z siłą, o którą się nawet nie podejrzewałam, położyłam dłonie na jego rękach i zaczęłam grać.

– Więc pozwól, żebym zagrała poprzez ciebie. Pozwól, że przeprowadzę cię przez ten ból, aż nic z niego nie zostanie.

Zrezygnowany zwiesił głowę i pozwolił, bym mu pomogła.

Niedługo potem jego ręce tańczyły na klawiaturze z taką precyzją, że odsunęłam swoje.

Łzy, które kapały mu na rękę, sprawiały, że palce Gabe'a ślizgały się na klawiszach, on jednak nie przestawał grać.

Spędziliśmy w pokoju trzy godziny.

Jedynym dźwiękiem była muzyka Gabe'a. Piosenki smutne i radosne, ale czasami trudno wyrazić słowami

to, co tkwi w naszej duszy. Rozmowa z Gabe'em o tym, przez co właśnie przeszedł? Wydawała się pozbawiona sensu, skoro mógł wyrazić to, co czuje, poprzez muzykę.

Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, Gabe wstał.

Siedziałam na podłodze pod ścianą.

Podszedł do mnie, opadł na kolana i przez chwilę, która wydawała się wiecznością, patrzył mi w oczy. W końcu wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Kocham cię. Choćbyś do końca życia nie pamiętała niczego więcej, choćbyś upadła, uderzyła się w głowę i zapomniała, jak mam na imię, choćbyś zachorowała i zmieniła się nie do poznania, choćbyś mnie znienawidziła, choćbyś znalazła się na łożu śmierci i nie mogła ruszyć palcem – pamiętaj o tym. Kocham. Cię. Zawsze. Na. Wieczność. Czy jesteś w stanie udźwignąć taki ogrom miłości?

– Tak – wykrztusiłam, walcząc z łzami, które cisnęły mi się do oczu. – Ja też cię kocham.

W ciszy, która nastąpiła, tylko nasze nierówne oddechy przypominały mi o upływającym czasie. I o tym, że wszystko to działo się naprawdę.

– Chodź. – Gabe wstał i wyciągnął do mnie rękę. – Jest nowy dzień.

– Nowy początek. – Uśmiechnęłam się i wzięłam go za rękę.

– To – pocałował mnie w głowę – prawda.

Rozdział 51

*Tylko miłość i śmierć, jako jedyne
na świecie, potrafią zmienić nasze
życie i przeznaczenie. Napędzają
nas albo paraliżują. Jednak
ostatecznie wybór zawsze należy do
nas. – Wes M.*

Gabe

Zanim się zorientowałem, uroczystości pogrzebowe dobiegły końca. Kiedy wstałem, żeby powiedzieć kilka słów, dosłownie ścięło mnie z nóg. Wtedy Saylor się uśmiechnęła.

Dzięki temu udało mi się dokończyć mowę pogrzebową.

Zaśpiewałem jej piosenkę.

Była zaprawiona kroplą goryczy. Napisałem ją dla niej w czasie, gdy wszystko w moim życiu wydawało się takie niewinne. Kiedy była moją Kimmy i gdy myślałem, że resztę życia spędzę wtulony w jej ramiona.

Jeśli ze wszystkiego, co się wydarzyło, wyciągnąłem jakąś naukę, to taką, że życie nie składa nam

jakichkolwiek obietnic. Dostajemy jedynie kilka powiązanych ze sobą chwil, z których każda kończy się w mgnieniu oka. W pewnym sensie zrozumiałem to, kiedy Wes był w szpitalu. Czułem się sfrustrowany. Przepęłniała mnie wściekłość, bo nieszczęście dotknęło kogoś, kto był mi bliski. Bo wiedziałem, że odwałam głównianą robotę, próbując odegnać swoje własne demony.

Ale teraz? Teraz chciałem zrobić wszystko, jak należy.

I zacząłem od Saylor.

– Hej. – Podeszła i mnie objęła.

Wyszliśmy z kościoła, trzymając się za ręce. Dziwne, ale dziennikarze uszanowali moją prośbę i trochę spasowali. Oczywiście przybyli z całym sprzętem na miejsce, ale nie robili zamieszania, jakby oni również byli pogrążeni w żałobie.

– Pojedziesz dokądś ze mną? – spytałem.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – Wzruszyła ramionami.

– Tak. – Pokiwałem głową, czując, że się uśmiecham.

– Naprawdę.

– W takim razie zgoda. – Ścisnęła mnie za rękę.

Pożegnaliśmy się z Lisą, Wesem i Kiersten i w milczeniu wyjechaliśmy na drogę numer 15.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– To niespodzianka – roześmiałem się. Naprawdę się roześmiałem. Cholera, cudownie było znowu się śmiać.

Spoconymi rękami ścisnąłem kierownicę, podążając do centrum miasta.

Ruch był duży jak na środowe popołudnie.

Saylor nic nie powiedziała, kiedy zaparkowałem tuż obok targu rybnego.

– Chodź. – Znowu się roześmiałem i zatrzasnąłem za sobą drzwi samochodu.

Chichocząc, wzięła mnie za rękę.

Ruszyliśmy ulicami. Serce dudniło mi jak szalone. Nie wiedzieć kiedy porzuciliśmy dziarski krok i zaczęliśmy biec. Nie miałem pojęcia, dlaczego to robimy. To przyszło samo.

Kiedy stanęliśmy u stóp wzgórza, przed targowiskiem, podniosłem rękę i podszedłem do jednego ze straganów.

– Ryby. – Wskazałem szyld. – Na pierwszej randce jedliśmy ryby.

Saylor parsknęła śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że od tej chwili na każdej randce będziesz mnie karmił rybami?

– Nie, tylko na tych najważniejszych. – Mrugnąłem do niej i zbliżyłem się do facetów, którzy uwijali się przy owocach morza. – Potrzebuję łososia, takiego naprawdę wielkiego.

Jeden z mężczyzn pokiwał głową.

– Dobra. Gotowy na przechwycenie ryby?

– Och... – Podniosłem ręce. – Nie ja ją będę łapał. Tylko ona. – Wskazałem na Saylor.

Słyszając to, otworzyła usta ze zdumienia.

– A jeśli upuszczę obiad? – Rozłożyła ręce.

– Spokojnie, Nemo nie żyje. – Puściłem do niej oko. –
Lepiej się przygotuj, Saylor, bo to nie będzie lekki rzut.
Tamci zaczęli liczyć.

– Raz...

– Aaa! – Saylor klasnęła i rzuciła mi przerażone
spojrzenie.

– Dwa! – dołączyłem do chóru głosów.

– Boże!

– Trzy! – Koleś wyrzucił rybę w powietrze.

Saylor pisnęła i zamknęła oczy, ale i tak zdołała
złapać ogromnego łososia.

Mężczyźni nagrodzili ją wiwatami, kiedy triumfalnie
podniosła rybę do góry.

– Zrobiłam to!

– Wiedziałem, że dasz radę. – Pocałowałem ją
w skroń.

– Naprawdę zjemy tę rybę?

– Może nie całą. – Wzruszyłem ramionami
i mrugnąłem. – Chyba że nagle okaże się, że masz apetyt
godny gracza pierwszej linii NFL.

– Hej! – Szturchnęła mnie. – Zapewniałeś, że będziesz
mnie kochał bez względu na...

– Bo to prawda. – Skinąłem głową. – Najprawdziwsza
prawda.

– A ryba? – Mówiąc to, podniosła łososia wyżej.

– Ależ możesz ją zatrzymać. – Drocząc się z Saylor,

poklepałem ją po głowie. – Upieczemy ją wieczorem, a przy okazji ja spełnię swoją obietnicę wynagrodzenia ci ostatniej z twoich łez.

– Niby jak? – Wyprostowała się. – Karmiąc mnie rybą?

– Zobaczysz. – Roztarłem dłonie. – A teraz pozwól, że zapłacę za Nemo i wrócimy do domu.

– Samochód ci prześmierdnie! – zawołała za mną.

– Twoje ręce też! – rzuciłem, oglądając się przez ramię.

Zmrużyła oczy.

Zanim zapłaciłem za łososia i pomogłem Saylor zanieść go do samochodu, w moim brzuchu nieźle już burczało.

– Hej, wiesz, jak upiec łososia, prawda? – spytała, kiedy wróciliśmy do domu, co do którego miałem wielkie nadzieje, że stanie się naszym wspólnym miejscem.

– Słucham? – Rzuciłem kluczyki na blat. – Chcesz powiedzieć, że nie umiesz gotować? – Załamane ręce. – Co z ciebie za kobieta? W co ja się wpakowałem? Teraz jak nic umrę z głodu!

– Skończyłeś? – Splotła ręce na piersi.

– Zrób mi coś do jedzenia, kobieto.

– Oto granica. – Narysowała w powietrzu kreskę. – Właśnie ją przekroczyłeś i spaliłeś wioskę, która znajdowała się po drugiej stronie.

– Ups... – Mrugnąłem. – Potrafię gotować, ale żałuję,

że nie zobaczę, jak spocona, w jakimś seksownym fartuszk, krzątasz się przy piekarniku.

– Bo gotowanie jest takie kobiece. – Pokiwała głową.

– Podobnie jak bitwy na poduszki w samych stringach i robienie prania.

Parsknąłem śmiechem.

Kuksnęła mnie.

– Przestań mnie bić. – Odsunąłem się. – I na coś się przydad.

– Przydać się na coś? – powtórzyła, mrużąc oczy.

– Cóż, zazwyczaj gotuję w bokserkach. Lepiej więc przynieś mi fartuszek, na wypadek gdyby Nemo wrócił do świata żywych i próbował odgryźć Gabe’a Juniora.

Zamrugęła.

– Masz tak bardzo, bardzo – otworzyła pięć szuflad, zanim znalazła fartuszek – nierówno pod sufitem.

Patrząc jej w oczy, bez skrzepowania rozpiąłem guzik i zdjąłem spodnie.

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Mówiłaś coś?

– Przestań się prężyć.

– Nie pręzę się.

– Do licha! – Tupnęła nogą.

– Fartuszek? – Wyciągnąłem rękę i czekałem.

Zmierzyła mnie od stóp do głów głodnym wzrokiem.

– Nie. – Ukryła fartuszek za plecami. – Myślę, że powinieneś podjąć ryzyko związane z atakiem Nemo. Udowodnić, że jesteś mężczyzną i takie tam.

– No proszę – drażniłem się z nią. – Nie sądziłem, że wątpisz w moją męskość.

– Że co? – Poderwała głowę.

– Moja męskość. – Uśmiechnąłem się, wywołując rumieniec na twarzy Saylor. – Wiesz, zawsze mogę gotować całkiem nago.

– Czyżby? – Powoli przełknęła ślinę.

– Ty lepiej zostań w spodniach. – Mrugnąłem. – Chcę rozkoszować się naszym pierwszym razem. Wolałbym, żebyś nie była wtedy upačkana rybą.

Odetchnęła i jeszcze raz spojrzała na mnie wygłodniałym wzrokiem.

– Ale miód... Mógłbym oblać cię miodem. – Podszedłem do niej. – Albo czekoladą. – Pochyliłem się i skubnąłem zębami jej wargę. – Tu. – Wodziłem palcem po jej twarzy, szyi i dekolcie. – Albo bitą śmietaną. O tu. – Polizałem zagłębienie między jej piersiami i westchnąłem.

– Zapomniałam. – Jej pierś unosiła się i opadała.

– O czym?

– Jak bardzo jesteś niebezpieczny.

– No i? – Chwyciłem wargami skórę na jej szyi i szarpnąłem płatek ucha. – Co teraz?

– Co? – Wygięła się w moją stronę. – Zapomniałam, o co chciałam zapytać.

– Ryba – szepnąłem jej do ucha. – Musimy upiec rybę, a potem może, ale tylko może, pokażę ci, co miałem na myśli. – Kiedy odsunąłem się od niej, od razu poczułem

chłód i w tej samej chwili zapragnąłem przytulić się z powrotem do jej ciepłego ciała i zostać tam na zawsze. Ale cóż, ryba. Musiałem upiec rybę.

– Gabe... – jęknęła. – Wróć.

– Nie. Trzeba coś zjeść. – Cofnąłem się i zacząłem krzątać się po kuchni.

– Przeszkadza ci to? – Podała mi fartuszek.

Założyłem go przez głowę i spojrzałem na nią.

– To, że jestem bez koszulki? Nie.

Westchnęła i oparła się o blat.

– Nie o to mi chodzi. Wciąż mówię na ciebie Gabe.

Nie odpowiedziałem od razu.

– Poznałaś mnie jako Gabe'a. Znasz tylko jego. Dla ciebie jestem Gabe'em. I co z tego, że dla reszty świata jestem Ashtonem? On i ja to ta sama osoba, i obaj cię kochamy.

– Wygląda na to, że masz rozszczepienie osobowości – rzuciła zadziornie i szarpnęła troczki fartucha, przyciągając mnie do siebie.

– Dobrze wiedzieć, że kiedy doprowadzę cię do rozkoszy, krzycząc w ekstazie, będziesz miała do wyboru kilka imion.

Zarumieniła się.

– Nie przejmuj się. – Pocałowałem ją. – Najpierw coś zjemy.

– A później? – Głos jej drżał.

– A później... – Wzruszyłem ramionami. – Wieczność. Będziemy mieli dla siebie całą wieczność.

Rozdział 52

*Leczenie ran to długotrwały proces
i choć nadal czułem ból, tym razem
nie uciekałem przed nim, bo
przypominał mi o tym, że kiedyś
istniała. Przypominał mi, że żyła.
Zabawne, ale dawniej myślałem, że
gdy znieczulę się na ból, on zniknie.
Teraz wiem, że jedyny sposób, żeby
wyzwolić się od bólu, to działać
wbrew sobie i się z nim pogodzić. –
Gabe H.*

Gabe

Moje oczy patrzyły chciwie na jej usta. Nie potrafiłem oderwać od nich wzroku, kiedy popijając wodę, odchyliła się na krześle.

- Skończyłaś? – Wstałem i podszedłem do niej.
- Tak – westchnęła. – Nigdy więcej ryby.
- A jeśli chodzi – pomogłem jej wstać i wziąłem ją w ramiona – o ostatnią łzę...
- Ściągnęła brwi.
- Myślałam, że po rzucaniu rybą i gotowaniu nago

mamy to już za sobą. Poza tym, Gabe, oboje wylaliśmy
niemało łez.

– To prawda. – Pocałowałem ją. – Ale chcę mieć
pewność.

– Pewność?

– Tak. – Roześmiałem się. – Nie chcę, żeby pozostał
choć trochę wątpliwości.

– Jakich wątpliwości?

– W związku z tym, co do ciebie czuję. W kwestii nas
obojga. – Westchnąłem i puściłem jej rękę. Cofnąłem
się, żeby zebrać myśli. – Dziś był pogrzeb Księżniczki.
Ale Kimmy? Ona odeszła dawno temu. – Wzruszyłem
ramionami. – Myślałem, że po czymś takim nie
pobieram się do końca życia.

Saylor ani drgnęła.

– Ale – chodziłem przed nią w tę i z powrotem – Jest
inaczej. Z jakiegoś powodu po jej śmierci w końcu
odnalazłem spokój. Czuję, jakby wszystko zatoczyło
krąg. Czegóż jednak brakuje.

– Ryby? – podrzuciła Saylor.

– Rozkręcasz się – odparłem i przyskoczyłem do niej,
jakbym chciał się na nią rzucić.

– Wody?

– Przeginasz. – Ująłem ją pod brodę i zmusiłem, by
na mnie spojrzała.

– Łodzi?

– Z żaglami – westchnąłem. – I z załogą.

– Pogubiłam się.

– Saylor. – Pocałowałem ją. – Brakuje mi ciebie. Jesteś ostatnim elementem układanki, gwiazdką na czubku choinki.

– Zawsze chciałam być gwiazdą – zażartowała.

– Bądź poważna.

– To jeszcze raz nazwij mnie gwiazdką.

– Say... – wychrypiałem jej imię. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Objęła mnie za szyję i pocałowała raz, drugi, trzeci. Zaraz potem się odsunęła.

– Wiem, że jesteś młoda... – Cholera, gardło miałem wyschnięte. Głupie nerwy. – Ale pragnę rozpocząć z tobą nowe życie. Chcę być z tobą. Na zawsze.

Jej twarz pojaśniała.

– O co właściwie chciałeś zapytać?

– Oczekujesz, że ci to powiem, prawda?

Pokiwała głową.

Przyklęknąłem na jedno kolano.

I wtedy zaczęła szlochać.

– O rety, im bardziej staram się wszystko naprawić, tym częściej płaczesz. Jak tak dalej pójdzie, stanę się kłębkim nerwów.

Pokiwała głową i otarła oczy.

– Saylor. – Odchrząknąłem. – Wiem, że jesteś młoda. Wiem, że musisz skończyć szkołę. I bardzo dobrze, bo nie zamierzam się stąd gdziekolwiek ruszać. Chcę zbudować swoje życie tutaj, z tobą. Chcę, żeby nasza historia miała początek, środek i koniec. Pragnę tworzyć

z tobą muzykę. Chcę się tobą opiekować. Twoja miłość i oddanie są ostatnią rzeczą, na którą zasługuję. Wiem o tym... – Rozłożyłem ręce.

Zabawne. Do tej pory całe moje życie kręciło się wokół Księżniczki, a teraz nagle mogłem wybiec myślą w przyszłość. A tam widziałem Saylor. Bez niej moje życie nie miało sensu.

– Ale pragnę, żebyś była przy mnie. Chcę, żebyś za mnie wyszła. – Ująłem jej ręce w drżące dłonie. – Cholera, mam wrażenie, że robię to nie tak jak trzeba. –

Zdenerwowany, odwróciłem wzrok i jeszcze raz spojrzałem na jej idealną twarz. – Kocham cię. Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie. Nie chcę się nigdy z tobą rozstawać. I nigdy więcej nie chcę udawać. Proszę, zostań moją żoną. Proszę, zgódź się, proszę, powiedz „tak”. Proszę, nie odtrącaj mnie...

Saylor pokiwała głową i szarpnięciem postawiła mnie na nogi. Nasze usta się spotkały.

– Nie mogę się doczekać – szlochała – aż zaczniemy pisać naszą historię.

– Kochanie... – Pocałowałem jej miękkie wargi. – Nasza historia zaczęła się w dniu, kiedy cię zobaczyłem i kiedy wylądowałaś na pupie.

– Dzięki za przypomnienie.

– Prześladowczyni.

– Żółwik.

– Może z czasem wymyślimy dla siebie jakieś lepsze przyzwiska. – Przywarłem ustami do jej ust.

- Później. – Językiem rozchyliła moje wargi.
- Masz rację. – Jęknąłem i wziąłem ją na ręce. –
Później.

Epilog

Sześć miesięcy później

Gabe

– Żono! – Mój krzyk odbił się echem od ścian domu. Uśmiechnąłem się, gdy Saylor wyszła z za rogu z rękami na biodrach i rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Kiedy mówiłam o nowych przezwiskach, miałam na myśli coś bardziej seksownego.

– Przepraszam. – Bezradnie wzruszyłem ramionami.

– Żono... – dodałem niskim, zmysłowym głosem i zacząłem się rozbierać. Najpierw zdjąłem koszulkę, potem dżinsy, a na końcu bokserki.

Saylor wypuściła ze świstem powietrze, kiedy stanąłem przed nią zupełnie nagi.

– Mówiłaś coś? Żono?

Patrzyła na mój brzuch, nogi, ramiona – wszędzie tylko nie na moją twarz.

Pstryknąłem palcami.

– Hej, spójrz na mnie. Czeka nas poważna rozmowa.

– Że niby tak? – Wskazała na mnie i pisnęła.

- Tak. – Splotłem ramiona.
 - W porządku. – Zdjęła koszulkę.
 - Zaczekaj. – Podniosłem ręce. – Co ty wyprawiasz?
 - To gra dla dwojga. – Dotknęła dłońmi dzinsów.
- Byliśmy małżeństwem od dwóch dni. Dwóch. Dni.

Nie chcieliśmy czekać. Długi okres narzeczeństwa wydawał się bezsensowny, zwłaszcza że praktycznie mieszkaliśmy ze sobą.

Poza tym nauczyliśmy się, że nie istnieją obietnice dotyczące jutra, tylko te odnoszące się do dziś, tak więc wzięliśmy ślub.

– Say... – jęknąłem, kiedy spodnie opadły na podłogę.

Stała obok nich, ubrana w samą bieliznę, i sięgnęła rękami do haftek stanika.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. Moje oczy błędziły, nie wiedząc, na czym się skupić. – Nasza bardzo poważna rozmowa nie może się odbyć, jeśli oboje będziemy nadzy.

– Czyżby?

– Tak. – Powoli podszedłem do niej. – To wbrew regułom.

– A kto powiedział, że ty je ustalasz?

– Słonko, jestem pieprzonym Ashtonem Hyde'em.

– Ach. – Saylor pokiwała głową ze zrozumieniem. – Bawimy się w celebrytę... Pięknie.

– To jak z Kopciuszkiem. – Przechyliłem głowę i bezradnie rozłożyłem ręce. – Skoro pantofelek pasuje,

noś go.

– Uważaj, bo Gabe Junior może się zaraz stać celem lecącego pantofelka, a wszyscy wiemy, jak wrażliwy jesteś na punkcie idealnego działania całego układu.

Parsknąłem i przewróciłem oczami.

– Błagam, jakoś nie pamiętam, żebyś narzekała wczoraj wieczorem albo dziś rano.

– Mówisz jak męska dziwka.

– Jestem twoją osobistą dziwką – zauważyłem. – Wszystko dzieje się przecież w majestacie prawa.

– O co chodzi z tą rozmową? – Piersi niemal wyskoczyły jej z biustonosza, kiedy skrzyżowała ramiona, Czułem, że jeśli nadal będę tak rozproszony, przegram bitwę, którą sam przecież zacząłem. – Patrz na mnie. – Pstryknęła mi palcami przed nosem. – Masz trzy sekundy.

– Zmywarka. – Przyciągnąłem ją do siebie zafascynowany delikatnością skóry. – Nie załadowałaś jej.

– Bzdura. – Wypuściła powietrze i wygięła się w łuk. – To twoja działka, sprawdź grafik na ten tydzień.

– Sam go sporządziłem.

– Ashtonie Hydzie, czy ty wydymasz wargi?

– Nie – zaprzeczyłem wbrew prawdzie.

– A powiedz – zaczęła Saylor – dlaczego trzeba było stworzyć grafik.

Rzuciłem jej gniewne spojrzenie.

– Chyba nie dosłyszałam. – Przyłożyła dłoń do ucha.

Mruczając pod nosem, spuściłem wzrok i odparłem:

– Bo piekę zbyt dużo ciasteczek, karmię cię nimi i nie sprzątam po sobie w kuchni.

– Właśnie. – Pokiwała głową. – Tak więc nie ma o czym mówić.

– Niezupełnie. – Uśmiechnąłem się znacząco, sięgnąłem do tyłu i rozpiąłem jej stanik. – Znów jest.

– Czyżby? – Oparła ręce na biodrach, pozwalając, bym gapił się na nią z rozdziawionymi ustami. – Co przez to rozumiesz?

– Teraz możemy porozmawiać o tym, jaka jesteś piękna. – Pocałowałem ją w usta i się odsunąłem. –

Seksowna. – Skubnąłem zębami jej wargę. – I jak bardzo się cieszę, że kiedyś doczekam się ślicznej księżniczki, która będzie wyglądała dokładnie jak jej mama.

– Uwodziciel – westchnęła, gdy zsunąłem ostatni skrawek materiału, który dzielił nas od siebie.

Śmiejąc się, wziąłem ją w ramiona i posadziłem na kanapie. Całowałem się z nią i droczyłem na przemian, aż była gotowa zbesztać mnie albo nawet uderzyć.

Zmusiłem ją, żeby się położyła.

– Gabe...!

– Kocham cię. – Pochyliłem się nad nią, całując każdy skrawek jej ciała i rozkoszując się ciepłem skóry.

– Potrzebuję cię – jęknęła.

Czułem, że płonę – oto jak na mnie działała. Miałem ochotę całymi dniami tylko się z nią kochać, nie tracąc

życia na drobiazgi. Ale kiedy o tym wspomniałem, powiedziała, że jedynie prostytutki opierają karierę na seksie.

Stwierdziłem, że odkąd jesteśmy małżeństwem, nie ma to dla mnie znaczenia.

Odparła, że miałoby, gdyby pieniądze zmieniły właściciela.

Uśmiechnąłem się, pocałowałem ją w szyję i powoli w nią wszedłem. Nigdy nie znudzę się tym uczuciem – bycia jednością z ukochaną osobą.

Saylor jęknęła, gdy doprowadziłem ją na skraj rozkoszy, a wtedy znowu zwolniłem.

Drażnienie się z nią, nawet w najbardziej intymnych momentach, sprawiało mi prawdziwą frajdę.

– Gabe! – krzyknęła.

– Głośniej! – zachichotałem.

– Ja...

Nie pozwoliłem, by dokończyła, zamykając jej usta pocałunkiem. Chwilę później jej ciało naprężyło się niczym struna, a zaraz potem poczułem, jak wiotczeje.

Uważając, by nie przygnieść jej swoim ciężarem, położyłem się obok.

– Powiedz mi – szepnęła – jedną prawdziwą rzecz.

– Kocham cię. – Pocałowałem ją w policzek. –

Poczucie wiecznego trwania dni takich jak te to dla mnie za mało.

– Podoba mi się taka prawda.

– Tak, wiem. – Otoczyłem ją ramieniem. – Mnie też.

A ty? Jaką prawdę mi powiesz?

Odwróciła się w moją stronę.

– Kiedyś, kiedy będziemy mieli dzieci... kiedy na świat przyjdzie nasza mała księżniczka, myślę, że powinniśmy dać jej na imię Kimmy.

Odebrało mi mowę. Pokiwałem tylko głową, czując, że łzy napływają mi do oczu.

– Myślę... myślę, że ona by się cieszyła.

– Tak – Saylor westchnęła. – Ja też.

Ciszę przeciął dzwonek do drzwi.

Spanikowany zerwałem się na równe nogi, niemal zrzucając Saylor z kanapy.

– Kto tam? – zawołała zwyczajnym głosem, podczas gdy ja w pośpiechu szukałem ubrań. Natknąłem się jedynie na skarpetki. Jak miałem się ubrać w skarpetki?

Bez jaj.

– Pospieszcie się, strasznie tu zimno! – krzyknęła Lisa.

– Cholera! – Znalazłem spodnie i klapnąłem na tyłek, poślizgnąwszy się na koszulce. Zerknąłem na Saylor, do której zaczynało właśnie docierać, co się dzieje.

– Wtorkowe taco! – krzyknęliśmy jednocześnie.

– Ej, wy tam! Pospieszcie się! – Lisa uderzyła pięścią w drzwi.

– Wyluzuj! – odkrzyknąłem.

Saylor westchnęła i drżącymi rękami zaczęła zapinać spodnie.

Ja nie byłem tak szybki.

Byłem jak żółwik. Ha, nigdy nie pozbędę się tej przeklętej ksywki.

Kiedy w końcu otworzyliśmy, napotkaliśmy wzrok Wesa, Kiersten i Lisy.

Wes parsknął śmiechem na mój widok.

– Stary, założyłeś koszulkę tył na przód. Witaj w małżeństwie.

– Obrzydliwe. – Lisa okrążyła mnie szerokim łukiem.

Kiedy, gadając jedno przez drugie, wchodzili do domu, spojrzałem na zachód słońca, ten sam, który oglądałem każdego dnia. W ubiegłym roku przypominał mi o tym, co straciłem. A teraz? Przypominał mi o życiu.

– Hej, idziesz? – zawołała Kiersten.

– Tak. – Uśmiechnąłem się i zamknąłem drzwi. – Idę.

Podziękowania

Dochody z pierwszych dwóch tygodni sprzedaży książki zostaną przeznaczone na organizację non profit, założoną na cześć wujka Joboba.

Pragnę podziękować Bogu za liczne błogosławieństwa i za to, że każdego dnia mogę na nowo przeżywać swój sen.

Zabierając się do pisania pierwszej książki z obecnej serii *Zatraceni*, chciałam przybliżyć jedynie historię Wesa. Jak wiecie, zainspirowała mnie walka, którą mój wujek toczył z rakiem. Powodowana silnymi emocjami, zdecydowałam, że nie tylko napiszę o tym książkę i uczynię go jednym z bohaterów, lecz także przekażę część dochodów na pokrycie kosztów leczenia.

Wujek Jobob jest teraz wolny od bólu. Odszedł w listopadzie ubiegłego roku i choć bardzo przykro było patrzeć, jak cierpi, cieszę się, że uwolnił się od tej potwornej choroby, jaką jest rak. Wierzę, że mimo wszystko zwyciężył, bo walczył do samego końca.

Jeśli chodzi o historię Gabe'a, chciałam napisać o czymś, co jest mi niezwykle bliskie. Mój wujek pozostawił po sobie dwie córki. Jedna z nich, Kimmy, jest upośledzona umysłowo, ale to również najśłodsza

ze znanych mi istot! Właśnie ona zainspirowała mnie do stworzenia książkowej Kimmy, wokół jej postaci osnułam tę opowieść. Dziękuję moim najbliższym za zgodę na to, bym w swoich książkach wykorzystywała prawdziwe postaci i wydarzenia.

Kiedy zaczynałam pisać *Toxic*, nie byłam pewna, w jakim kierunku wszystko się potoczy. To znaczy, wiedziałam, kim jest książkowy Gabe, ale obawiałam się, że nie uda mi się opowiedzieć jego historii w taki sposób, na jaki zasługuje. Miałam w głowie pewne wyobrażenie, lecz z jakiegoś powodu nie potrafiłam przelać go na papier. W końcu zrobiłam sobie kilka tygodni przerwy i modliłam się. Naprawdę. Siedziałam przed komputerem i roniłam łzy, zadając sobie pytanie, dlaczego nic z tego nie wychodzi.

Ostatecznie dałam za wygraną. Pokręciłam głową i powiedziałam: „W porządku. Nic z tego nie będzie”. Zapłakana zadzwoniłam do mamy. Tak bardzo się bałam, że ludzie będą porównywali *Toxic* do *Utraty*, że tylko o tym myślałam. W końcu jednak mnie olśniło. W *Toxic* nie chodziło o Wesa. To miała być książka o Gabie. Skupiając się na Wesie, zachowałabym się nie fair wobec pozostałych bohaterów. Wesowi poświęciłam więc nowelę *Fearless* (Nieustraszony). Wiem, że niektórzy z czytelników chcieli poznać więcej szczegółów z życia Wesa i Kiersten. Stworzyłam *Fearless* specjalnie dla Was. No i dla siebie, bo jestem samolubna i również byłam ciekawa, jak potoczą się ich

losy!

Dziękuję za to, że oddajecie się lekturze moich książek i oceniacie je. Chcę, abyście wiedzieli, że czytam wszystkie recenzje, maile i komentarze, które zamieszczacie na Facebooku i Twitterze. Doceniam je i dziękuję za Wasze opinie!

Jeśli nie podobała Wam się ta książka, uzasadnijcie to. Jeśli pokochaliście bohaterów, też o tym napiszcie. Dzięki Waszym komentarzom my, autorzy, stajemy się lepsi. Wiemy też, co Wam się podoba, a co nie.

Jak zawsze pragnę podziękować blogerom i czytelnikom – to Wy mnie napędzacie do działania! Żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności za długie godziny, które spędzacie na blogowaniu. Dziękuję, że piszecie o mnie i oceniacie moje książki. Jestem pełna uznania dla tego, co robicie!

Czytelnicy, jesteście niesamowici!!! Uwielbiam dyskutować z Wami o literaturze! Dziękuję za Wasze nieustające wsparcie i oddanie!

W razie potrzeby znajdziecie mnie na www.facebook.com/rachelvandyken albo na Twitterze @RachVD.

Table of Contents

[Prolog](#)